www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 4 (1046)
20-26.01.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Marian Szamatowicz
In vitro zamiast aniołów

Paweł Kasprzak
Intelektualna impotencja opozycji

Wyzwolenie KL Auschwitz
Ofensywa Armii Czerwonej

Jarosław Makowski
Zielony katolicyzm

Sędzia Barbara Piwnik

Nikt mnie nie skusi i nie przestraszy

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 04 >
9 771509 311003

eprasa.pl/471467cce

NIEMIECKI KANDYDAT DO OSCARA

BŁĄD SYSTEMU

OPOWIEŚĆ O DESPERACKIM POSZUKOWANIU UWAGI, MIŁOŚCI I CZUŁOŚCI

Berlinale
Srebrny Niedźwiedź
Nagroda im. Alfreda Bauera
69 Internationale Filmfestspiele Berlin

Berlinale
69 Internationale Filmfestspiele Berlin
Konkurs Główny

TRANSATLANTYK
nagroda główna

FF W TAJPEJ
nagroda za najlepszy debiut, nagroda stowarzyszenia krytyków filmowych

MFF W TRANSYLWANII
nagroda publiczności

MFF W VUKOVAR
najlepszy film

MFF W ZURYCHU
najlepszy film

W KINACH OD 24 STYCZNIA

german films

AURORA

eprasa.pl 4f71467cce

CYTATY

DANIEL PASSENT,
komentator
W Polsce została zmieniona kolejność i najpierw chłosta, a potem wyrok.
„Polityka"

GEN. BRONI MIROSŁAW RÓŻAŃSKI,
były dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych
Prezydent Duda nie wypełnił swojej roli jako zwierzchnik sił zbrojnych.
„Dziennik Gazeta Prawna"

JOHN CRYAN,
irlandzki neurolog
To my, ludzie, pojawiliśmy się w środowisku bakteryjnym, a nie odwrotnie.
„Forum"

BARTOSZ ZMARZLIK,
żużlowy mistrz świata
Mam w sobie mocno zakodowane powiedzenie, że tylko głupi się nie boi.
„Angora"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Duda zamiast pekaesu

Jeździ od powiatu do powiatu. Zaliczył już wszystkie. Są nawet tacy, którzy w tej turystyce upatrują główny oręż prezydenta Dudy w walce o drugą kadencję. Duda znaleziony przez Jarosława Kaczyńskiego w drugim rzędzie polityków PiS bardzo zasmakował w *dolce vita*, jakie zafundowała mu ojczyzna. Gdzie jeszcze znaleźć w Europie urzędnika jego rangi, który porusza się w kawalkadzie luksusowych limuzyn bądź specjalnych samolotów! Urzędnika, który ma do wyłącznej dyspozycji kilka ekskluzywnych ośrodków, zamkniętych także przed jego wyborcami. Góry, morze, okolice Warszawy. Kucharze, pokojówki, kierowcy, tabun ochroniarzy. Żadnych rachunków do zapłacenia. Takie jest na co dzień życie prezydenta, który gdziekolwiek pojedzie, opowiada, jak pokornie służy Polsce. Ego ma już tak nadmuchane, że mógłby latać nad nami. A o tym, jak ważna jest jego osoba, sam przypomina rodakom. Nieustannie powtarza: ja jako prezydent, ja jako głowa państwa.

Zobaczmy więc, co dobrego w ciągu tych pięciu lat zrobił prezydent Duda. Jakie obywatele mają korzyści z jego pracy? Zapewniono mu przecież tak luksusowe życie, że można wiele wymagać. U progu kampanii prezydenckiej wiadomo, że Duda nie przekonał do siebie większości rodaków. Z tego, co obiecywał przed pięciu laty w kampanii, a co zrobił, można by złożyć grubą księgę memów. Niestety, żarty z Dudy nie zwrócą nam zmarnowanych przez niego lat.

A wracając do jego powiatowych występów, były dokładnie takie same jak Duda. Napuszone. Powtarzalne i wyreżyserowane według jednego schematu. Podlizywanie się zebranym na rynku, w halach sportowych czy szkołach. Parę zdań o chwalebnej historii okolicy, parę słów o patriotyzmie Polaków. Duda chwali i dziękuje. Wszystkim za wszystko. Urzędnicy przygotowują mu materiały na temat specyfiki regionu i jego problemów. Obiecuje wsparcie rządu i swoje. Zobaczmy więc, jaki jest los tych obietnic. Który z realnych problemów powiatowych, jakie mu zgłoszono w trakcie wizyt od 2016 r., doczekał się realizacji? Księga dokonań Dudy w powiatach jest bardzo, bardzo cieniutka. Przykry dowód przewagi ględzenia nad realnymi zmianami. Z głoszenia dobrych nowin nic sensownego nie wynikło. Zostały tylko liczne *selfie*. Po czterech godzinach pobytu gość wrócił do pałacu na degustację pracy kucharzy, a słuchacze do pytania, jak i za co żyć.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 4f71467cce

W NUMERZE

KRAJ

8 **Nikt mnie nie skusi i nie przestraszy**
– rozmowa z sędzią Barbarą Piwnik

14 **Jak zrobić Polskę bez PiS?**
– rozmowa z Pawłem Kasprzakiem

HISTORIA

18 **Wyzwolenie KL Auschwitz**
Zimowa ofensywa Armii Czerwonej

22 **Na ludzkiej ziemi Persów**
Armia Andersa w Iranie

ZAGRANICA

26 **Bez głosu w Ameryce**
Republikanie przeciw wyborcom

28 **Ruiny nadziei**
Talibowie odzyskują wpływy w Afganistanie

32 **Hiszpania walczy z przemocą wobec kobiet**
Eskalacja agresji domowej

PUBLICYSTYKA

34 **Jarosław Makowski**
Czyńcie sobie ziemię kochaną

ZDROWIE

38 **Zamiast aniołów in vitro**
– rozmowa z prof. Marianem Szamatowiczem

KULTURA

42 **Pośladki przemówiły ze sceny**
Podsumowanie teatralne 2019

46 **Qulturalia**

52 **Nocne życie Filmówki**
Wspomnienia Kazimierza Kutza

56 **Kompas Młodej Sztuki**

66 **Magical Dreams**

OBSERWACJE

48 **Czy gościni się rozgości**
Zmian w języku nie da się zadekretować

58 **W górach silna jak nigdzie**
Magda Lassota w Sudetach i Himalajach

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Duda zamiast pekaesu

13 **Jan Widacki**
Pana premiera język giętki

25 **Roman Kurkiewicz**
Pamiętajmy o Róży Luksemburg

31 **Tomasz Jastrun**
Warczymy na siebie

45 **Ludwik Stomma**
Ja – kacapski idiota

51 **Wojciech Kuczok**
Zamalować wszystko

55 **Edward Mikołajczyk**
Ile nas? Raz!

28
ZAGRANICA

RUINY NADZIEI
Talibowie odzyskują wpływy w Afganistanie

52
KSIĄŻKI

NOCNE ŻYCIE FILMÓWKI
Wspomnienia Kazimierza Kutza

58
OBSERWACJE

W GÓRACH SILNA JAK NIGDZIE
Magda Lassota w Sudetach i Himalajach

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4f71467cce

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Prof. Tadeusz Klementewicz
Kapitalizm po polsku

Sąd między księdzem a gosposią

Prof. Daniel Markovits
Stany Zjednoczone, czyli merytokracja

Tęsknota za dorszem

Kończmy z reprywatyzacją

Kto z opozycji jest w stanie pokonać Andrzeja Dudę? Kidawa-Błońska? Wolne żarty! Duda od kilku miesięcy jeździ po Polsce i przekonuje wyborców, a opozycja śpi. Może Biedroń zrobi trochę zamieszania, ale tylko tyle. Opozycja jest niemrawa i zachowuje się jak paw.

Kończmy z reprywatyzacją

PROF. JACEK RACIBORSKI

Bożena Barabasz

•

Lubię prof. Raciborskiego, ale on – trochę jak prof. Staniszkis – myli się w przepowiedniach. Oczywiście chciałbym, aby miał rację, i życzę Małgorzacie Kidawie-Błońskiej wygranej, ale nie będzie to raczej destrukcja osi PO-PiS, tylko w pewnym sensie jej umocnienie.

Wojciech Nockiewicz

•

Duda przegrałby, gdyby opozycja wystawiła jednego wspólnego kandydata. Niestety, betonowy elektorat PiS zagłosuje na Dudę, a głosy opozycji rozbiją się na poszczególnych kandydatów, robiąc z nich polityczny plankton.

Michał Czarnowski

Jurek Owsiak na prezydenta

Czy prezydentem nie powinien zostać Jurek Owsiak? On jeden udowodnił, że potrafi przemówić do Polaków i poruszyć ich najgłębiej skrywane czułe struny. Czy nie powinien powstać ruch, który by go powołał na odzyskanej godności urząd, nawet nie pytając o uprzednią zgodę? Uniesienie emocjonalne przez rzeczowość i kompetencję to rzadka cecha przywódcy, prawdziwy skarb. Nieprędko ktoś taki się pojawi. I bezwzględna niezależność od kogokolwiek. Czy Polacy nie marzą o takim prezydencie? Niechby nawet chodził w swojej bluzie. *Andrzej Lam*

Zabecz, Zenek, hajs na stole

Zabecz, Zenek, hajs na stole

Z muzyką jest jak z ubraniami. Fraki, surduty czy balowe suknie są niewątpliwie z wyższej półki, ale w szafach mamy zdecydowanie więcej zwykłych koszul, dżinsów czy (o zgrozo!) dresów. Wszystko w swoim czasie i na odpowiednią okazję. Czepianie się disco polo jest jak pretensja, że nie zakładamy fraka na bieganie po lesie. Ludzie mają przeróżne potrzeby związane z muzyką. Disco polo znakomicie spełnia funkcję dostarczyciela radosnej, beztroskiej zabawy. Opluwać jest najłatwiej. Nie mogę się doczekać, kiedy komuś uda się, zamiast tylko krytykować, zaproponować ambitniejszy rodzaj muzyki tanecznej i rozrywkowej, który porwie miliony do zabawy. A czy jest w ogóle jakiś kraj, który nie ma prostej, rozrywkowej muzyki? *Heloł*

Czy życie dzieci ma zależeć od zbiórek publicznych – post scriptum

Udało się zebrać 2 mln zł dla małej Julki z chorym serduszkiem. Termin operacji w Bostonie – 19 lutego 2020 r. *Zenon Imbierowski*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Między nami bratankami. Mateusz Morawiecki i Viktor Orbán podczas spotkania Grupy Wyszehradzkiej w praskim Muzeum Narodowym 16 stycznia.

FOT. FORUM

eprasa.pl 4f71467cce

120 tys. wolontariuszy zebrało w czasie 28. finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy pod batutą Jerzego Owsiaka **115 363 tys. zł, o 23 mln zł więcej niż podczas finału w ubiegłym,** rekordowym roku.

Sędziowie oraz przedstawiciele innych zawodów prawniczych z Polski i Europy demonstrowali pod hasłem „Prawo do niezawisłości. Prawo do Europy". W Marszu Tysiąca Tóg kilkanaście tysięcy osób protestowało przeciwko „ustawie kagańcowej" Ziobry.

Eugeniusz Kabatc, pisarz i tłumacz, prezes Polskiego Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), autor ponad 30 powieści i tomów opowiadań, przez 20 lat zastępca redaktora naczelnego „Literatury na świecie", radca kulturalny ambasady w Rzymie, **obchodzi 90. urodziny. *Ad multos annos*, Jubilacie.**

Prof. Adam Maciejewski z Centrum Onkologii w Gliwicach został wyróżniony **przez Amerykańskie Towarzystwo Chirurgii Rekonstrukcyjnej i Mikronaczyniowej** prestiżową **Nagrodą Godina za najlepszą operację 2019 r. – przeszczep narządów szyi u sześcioletniego chłopca.**

Paszporty „Polityki" 2019 otrzymali: **Bartosz Bielenia** (film), **Weronika Szczawińska** (teatr), **Dominika Słowik** (literatura), **Weronika Gęsicka** (sztuka wizualna), **Jakub Józef Orliński** (muzyka poważna), **Błażej Król** (muzyka popularna) i **Dawid Ciślak** (kultura cyfrowa). **Nagrodę specjalną „Polityki" – Kreatora Kultury** – otrzymała **Olga Tokarczuk.**

„Boże Ciało", film Jana Komasy z Bartoszem Bielenią w roli głównej, znalazło się w gronie **pięciu tytułów,** z których wybrany zostanie **najlepszy film międzynarodowy. Zwycięzca dostanie Oscara.**

1368 przypadków odry zgłoszono w Polsce w 2019 r., podczas gdy rok wcześniej było ich 126. Przyczyną tak wielkiego wzrostu zachorowań są działania antyszczepionkowców i przyjazdy przybyszów z Ukrainy, gdzie nie ma obowiązkowych szczepień.

Rada Etyki Mediów kierowana przez Ryszarda Bańkowicza uznała, że w materiałach wyemitowanych w „Wiadomościach" TVP o marszałku Senatu Tomaszu Grodzkim złamano siedem zasad Karty Etycznej Mediów. Autorami nagonki są: Konrad Wąż, Maciej Sawicki, Dominik Cierpioł, Damian Diaz, Maksymilian Maszenda i Bartłomiej Graczak.

Siedem osób, w tym matka sześciorga dzieci, **oskarżonych o zakłócanie lubelskiego Marszu Równości** i miotanie butelek oraz kamieni w stronę policjantów stanie przed sądem w Lublinie.

PRZEBŁYSKI

Kamienicy Banasia nie pokazali

Kasta ściśle powiązana z Ziobrą pogoniła Komisję Wenecką. Na miejsce spotkania z delegacją zaproponowano więzienie na Rakowieckiej. A przecież symboliczny dla rządów PiS jest inny obiekt – kamienica Banasia w Krakowie. Mogłaby zaciekawić nawet największych obieżyświatów. Poleżeć choć chwilę w pokojach na godziny w domu szefa NIK – to byłoby niezapomniane przeżycie. I jeszcze ta milutka obsługa w złotych łańcuchach. Nie mając u siebie takiego typa jak Banaś, Komisja Wenecka nie pojmie, jak bogato się żyje w Polsce partyjnej kaście.

Duda pomylił nazwiska

Kto to powiedział? „Wstyd mnie ogarnia, kiedy słyszę, że ktoś, kto mieni się premierem, może o polskim państwie poza granicami kraju opowiadać takie rzeczy. Po prostu wstyd. Wstyd za to, kto w ogóle został na ten urząd wybrany". Prezydent Duda! Ale nie o Morawieckim po jego wywiadzie dla niemieckiej „Die Welt". Duda tradycyjnie naujadał na Małgorzatę Gersdorf, pierwszą prezes Sądu Najwyższego.
Od pięciu lat Duda mówi jak Kali, bo myśli jak Kali. Wiadomo przecież, że jak PiS donosi na Polskę, to robi dobrze i patriotycznie. A opozycja? Swoimi donosami kala naszą umęczoną ojczyznę.

Paniska i ich pisarze

Widzisz Macierewicza, a na Facebooku czytasz tekst młodziutkiego Edmunda Jannigera. Tego, który lata sobie po świecie i mieszka w drogich hotelach na koszt Polskiej Fundacji Narodowej. Czyli nasz! Macierewicz, Morawiecki, Ziobro to w internecie tylko szyldy. Wpisy robią za nich „żołnierze wynajęci". Za premiera Morawieckiego tyra Mariusz Chłopik – dyrektor ds. marketingu sportowego w PKO BP. To chyba ten sam bank, w którym za prezesa robi kolega premiera z Solidarności Walczącej. Tak czy owak, też płacimy my. Obywatelu, nawet nie wiesz, ile możesz na nich wydać. A my skąd o tym wiemy? Z króciutkiej awarii Facebooka. Jak kiedyś walnie na dłużej, to będzie wesoło.

Duży słoik dla Gryglasa

Czytelniku, jeśli nie wiesz, gdzie stoją konfitury, do których warto się dobrać, to nic straconego. Orientuj się na Zbigniewa Gryglasa. Jest jednak pewien warunek. Skala sukcesu zależy od braku zahamowań. Im mniej skrupułów, tym większy słoik z konfiturami. Gryglas lubi takie wyzwania. Ten żwawy 55-latek psim swędem dostał się w 2015 r. do Sejmu. Z listy Nowoczesnej. Na plecach Petru, bo wyborcy Gryglasa nie wypełniliby większej sali. Ale co tam wyborcy. Gdy Petru wypadł z gry, Gryglas poszedł do dojnej zmiany. Za zdradę nagrodzili go posadą wiceministra aktywów państwowych. Jest tych wiceministrów aż ośmiu. A spółek skarbu państwa 200. Zapowiada się ostre dojenie.

FOT. YOUTUBE, GOOGLEMAPS, FACEBOOK

eprasa.pl 4f71467cce

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Na czym powinna opierać się polityka historyczna lewicy?

DR PAWEŁ SĘKOWSKI,
historyk, UJ, Stowarzyszenie „Kuźnica"

Powinna podkreślać wkład socjalistów i radykalnego ruchu ludowego w odzyskanie przez Polskę niepodległości, oczywiście bez umniejszania roli działaczy prawicowych i centrowych. Powinna też sprzeciwiać się idealizacji II RP, zwracając uwagę na występujące wówczas nierówności czy problemy gospodarcze i narodowościowe w dużej mierze spowodowane przez sanację, a wcześniej rządy z udziałem narodowej demokracji. W odniesieniu do II wojny światowej należy akcentować bohaterstwo żołnierzy gen. Berlinga obok podkreślania zasług nurtu podporządkowanego rządowi w Londynie. Jeśli mowa o PRL, trzeba dostrzegać jasne strony zrealizowanych reform, takie jak likwidacja analfabetyzmu, industrializacja, pewność zatrudnienia czy masowy awans społeczny, a także oddawać sprawiedliwość ludziom, którzy na różnych odcinkach pracowali wówczas na rzecz kraju. Bardzo ważne jest ponadto podkreślanie, że po 1956 r. Polska Ludowa nie była państwem totalitarnym, lecz autorytarnym, w którym nie było obowiązku wyznawania światopoglądu marksistowskiego, a Kościół katolicki był tolerowany jako siła społeczna. Trzeba również przypominać o wymiarze geopolitycznym PRL: o tym, że w tamtych realiach była to jedyna możliwa Polska, a gdyby nie ona, prawdopodobnie nasz kraj pod względem terytorialnym przypominałby Księstwo Warszawskie. Należy także akcentować wkład lewicy w pokojową transformację ustrojową oraz wstąpienie Polski do UE. Mówiąc ogólniej, opowieść o historii nie może być bajką dla dzieci. Róbmy politykę historyczną dla dojrzałego i rozumnego społeczeństwa.

DR HAB. KRZYSZTOF WASILEWSKI,
historyk i politolog, Politechnika Koszalińska

Przede wszystkim powinna opierać się na tym, co łączy Polaków jako wspólnotę. Zbyt często bowiem polityka historyczna prawicy prowadzi do podziałów, wykluczenia, dzieli na bohaterów i zdrajców. Jej lewicowa wersja powinna zatem opierać się na takich elementach jak odbudowa kraju po II wojnie światowej czy scalenie Ziem Zachodnich i Północnych z resztą państwa. Przecież w obu tych procesach brali udział ludzie z różną historią, różnymi poglądami, a mimo to dokonali wspaniałych rzeczy. Kolejny element to działalność niepodległościowa lewicy przed 1918 r. i jej dorobek w II RP, zepchnięty dziś na margines przez kult Józefa Piłsudskiego. Lista postaci i wydarzeń jest długa.

MARCIN GIEŁZAK,
publicysta, autor książki „Antykomuniści lewicy"

W warunkach polskich lewica albo będzie patriotyczna, albo nie będzie jej wcale. Należy zatem promować te jej tradycje, które oddały zasługi sprawie niepodległości, a negatywnie oceniać te, które były jej obojętne lub wrogie. Trzeba odnowić legendę „czerwonych" z powstania styczniowego, bojowców roku 1905, PPS-WRN; innymi słowy – trzeba mieć swoich „wyklętych". Tradycja militarna jednak nie wystarczy: powinno się promować wzorce osobowe społeczników, spółdzielców, zaangażowanej inteligencji, Judymów i Siłaczek. Pamiętamy o Polskim Państwie Podziemnym, ale kto dziś wie, że byliśmy jedynym krajem z podziemnym uniwersytetem i szkolnictwem?

ANDRZEJ B. IZDEBSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Na prawdzie, gdyż ją najtrudniej podważyć. Na otwartym przyznawaniu się do poglądów oraz intencji. Na krytycyzmie i otwartości na krytykę innych. Na podziale zadań – historią powinni zajmować się historycy, a polityką politycy. Nie wiem, dlaczego pytacie, gdy sami bardzo dobrze robicie lewicową politykę historyczną – zarówno w tygodniku, jak i w książkach.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 4f71467cce

Nikt mnie nie skusi i nie przestraszy

Sędzią nie może być ktoś, kto się boi lub na pierwszym miejscu stawia własne korzyści

Rozmawia Andrzej Dryszel

Mamy podział w środowisku sędziowskim: beneficjenci „dobrej zmiany", awansowani i nagradzani – i ci odsuwani na gorsze stanowiska, odwoływani z sądów wyższej instancji, ścigani postępowaniami dyscyplinarnymi. Czy to nie odbije się na jakości sądownictwa – bo jedni mogą orzekać nieco na złość władzy, a drudzy tak, by się jej przypodobać, mniej mając na względzie sprawiedliwość i dobro stron?

– Przede wszystkim należy się zastanowić, czy dla przedstawicieli trzeciej władzy, sędziów, w ostatnich czasach bardziej liczy się stanowisko czy sprawowanie tej trzeciej władzy – czyli orzekanie. Dziś, gdy dla wielu najważniejsze staje się stanowisko – prezesa sądu, przewodniczącego wydziału, wiceprezesa, członka Krajowej Rady Sądownictwa albo sędziego delegowanego do Ministerstwa Sprawiedliwości – to mnie, sędziego orzekającego, ogarnia smutek, że samo sprawowanie wymiaru sprawiedliwości schodzi na drugi plan. A to wartość najwyższa – wymierzać sprawiedliwość zgodnie z przepisami prawa, kierując się zasadami godności i uczciwości, w tym także chroniąc obywatela przed zagrożeniami ze strony pozostałych władz. Podzielam więc pana niepokój. Proszę zauważyć, co w ciągu ostatnich lat zdominowało dyskusję na temat wymiaru sprawiedliwości: kto został powołany, kogo odwołano, kto awansował, komu czym władza zapłaciła.

Sędziowie widzą, komu władza płaci stanowiskami.

– Jeśli ktoś w dyskusji o wymiarze sprawiedliwości zwraca uwagę głównie na to, kogo władza nagrodziła stanowiskiem, to pokazuje, że dla niego ważniejsze jest bycie na stanowisku, niż to, że wychodzi na salę rozpraw i w imieniu Rzeczypospolitej wydaje wyrok, który często dla obywatela może być najważniejszą sprawą w życiu. Sędzia decyduje o jego wolności, majątku, czasem przyszłości. To największa władza na świecie. Sędzia, który zachłystuje się tym, że został np. prezesem sądu lub przewodniczącym wydziału, powinien sobie odpowiedzieć, co jest dla niego istotne: stanowisko zależne od innej władzy czy władza wynikająca z powołania na stanowisko sędziego. Dla mnie jako sędziego zawsze największą wartością było to, że orzekam.

Choć zdecydowała się pani zostać ministrem sprawiedliwości.

– Gdy w 2001 r. składałam urząd sędziego, zostając ministrem, mówiłam, że do polityki idę z wizytą – i do sądu wrócę. Zdecydowałam się odejść z sądu głównie dlatego, że miałam nadzieję, iż dla orzekających sędziów będzie to szansa na wprowadzenie takich zmian, które dadzą im komfort właściwego wykonywania obowiązków i pomogą w tworzeniu korzystnego społecznie wizerunku trzeciej władzy. Jako minister zawsze miałam na względzie to, żeby nie wejść w konflikt z zasadami, którym hołduję – by możliwe było powołanie mnie znowu na urząd sędziego. I zostałam powołana, już nie przez Radę Państwa, ale przez prezydenta, wróciłam do sądu.

Dziś można odnieść wrażenie, że rządzący starają się mieć na kierowniczych stanowiskach w sądach ludzi sobie powolnych.

– Mogłoby to świadczyć o tym, że nie zdają sobie do końca sprawy, czym jest wymiar sprawiedliwości i jak funkcjonuje, tworząc w ten sposób jego niewłaściwy obraz w oczach społeczeństwa. Gdy chodzi o warunki wykonywania mojej pracy albo jakość stanowionego prawa, a także jako zwykłego obywatela, interesuje mnie, kto jest ministrem sprawiedliwości – ale nie wtedy, kiedy orzekam, czyli sprawuję trzecią z władz. Jeśli przedstawiciele innych władz wyobrażają sobie, że powołanie sędziego X na stanowisko prezesa sądu cokolwiek zmieni w moim orzekaniu, to muszą wiedzieć, że nic nie zmieni. Gdy wypełniam sędziowskie obowiązki i podejmuję decyzje, jestem niezawisła i niezależna. I mogę powiedzieć: co mnie obchodzi, kto jest ministrem sprawiedliwości albo przewodniczącym wydziału! Dla mnie, orzekającego sędziego, nie może to mieć żadnego znaczenia.

Niewykluczone jednak, że są sędziowie, dla których to ma znaczenie.

– Wtedy należy się zastanowić, jaka powinna być droga do zawodu sędziego, jak oceniać poszczególne kandydatury, kto i co powinien brać pod uwagę – aby mieć pewność, że osoby powołane na urząd sędziego nie zawiodą obywatela, gdyby jakiś reprezentant pozostałych władz chciał wkraczać w obszar zastrzeżony dla sądu. Jeżeli sędziami będą zostawać, jak nakazuje prawo, osoby o nieskazitelnym charakterze, mające przymioty, które dają możliwie największą gwarancję, że nie przestraszą się żadnej władzy i będą w razie potrzeby chronić obywatela przed jej zakusami – to ta niedobra władza, wynikająca z wyborów, przeminie. A trzecia władza – sędziowie powołani na stanowisko dożywotnio – pozostaną.

Sędziowie są tylko ludźmi i można sobie wyobrazić, że np. sędzia, który uniewinni osobę obwinioną o wykroczenie popełnione podczas manifestacji antyrządowej, będzie się obawiać konsekwencji ze strony władzy.

– Jeśli ktoś jest lękiem podszyty, na pewno nie powinien być sędzią – niezależnie od opinii Krajowej Rady Sądownictwa, decyzji prezydenta czy ocen, jakie wystawi mu sędzia wizytator badający jego pracę. To kwestia osobowości człowieka, któremu powierza się władzę sędziego, jego cech charakteru, wartości, jakie wyznaje. Jeżeli sędzia z jakiegoś powodu zacznie się bać podejmowania decyzji, powinien złożyć urząd.

eprasa.pl 4f71467cce

BARBARA PIWNIK

– sędzia Sądu Okręgowego Warszawa-Praga, minister sprawiedliwości i prokurator generalny w latach 2001-2002

Trudno mówić o nieskazitelnym charakterze kogoś, kto troszczy się o własne dobro, wtedy gdy ma decydować o najważniejszych dobrach obywatela. Niech ktoś taki spojrzy w lustro i zapyta, czy chciałby, żeby sprawę jego samego lub najbliższej mu osoby rozstrzygał zalękniony sędzia, taki jak on. Każdy rozsądny człowiek odpowie, że nie – i gdy zda sobie sprawę, że jest zalęknionym sędzią, zrozumie, że utracił przymioty konieczne w tym zawodzie. Jedyną możliwością będzie więc złożenie urzędu i podjęcie innej pracy – hodowli zwierząt czy handlu pietruszką. Sędzią nie może być ktoś, kto się boi lub na pierwszym miejscu stawia własne korzyści.

Taki byłby stan idealny...

– To nie żaden stan idealny! To stan oczywisty. Może on powstać dzięki dobrym, konsekwentnie egzekwowanym przepisom dotyczącym m.in. zawodu sędziego, tworzonym przez władzę ustawodawczą podlegającą światłej kontroli społecznej.

Światłej – czyli jakiej?

– Jeśli obywateli wprowadza się w błąd, stwarzając wrażenie – w wyniku niewiedzy bądź manipulacji – że prezes sądu, minister sprawiedliwości czy Krajowa Rada Sądownictwa mogą decydować o tym, jakie orzeczenia zapadają w sądach, to znaczy, że w Polsce konieczna jest edukacja prawna prowadzona od najwcześniejszych lat szkolnych.

Nie uważa pani, że minister Ziobro chciałby jednak czasami decydować o orzeczeniach sądu?

– Nie wiem, czego by chciał. Nie jestem Zbigniewem Ziobrą. Wiem natomiast, że jeśli chodzi o jakąś sprawę głośną medialnie, minister jako polityk może się nią zainteresować i zabrać głos. Na pewno jednak nie będzie jej rozstrzygać, bo to należy do kompetencji sądu. Obywateli trzeba zaś wprowadzać w tajniki funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości i poprawnie wyjaśniać im te kwestie. Wiedza o wymiarze sprawiedliwości i osobach, które go sprawują, powinna być taka, by obywatele przy urnach wyborczych mogli prawidłowo ocenić dwie pozostałe władze (ustawodawczą i wykonawczą), ich działania wobec władzy sądowniczej oraz stanowione prawo. Dzięki temu będą także dokonywać właściwych ocen dotyczących tego, kto może i powinien być sędzią, a kto nie.

Przecież obywatele nie mają wpływu na to, kto jest sędzią.

– Oczywiście, że mają. Trzeba jednak, zaczynając już w szkole podstawowej, przedstawić im wszystkie elementy składające się na poprawne funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości, jakiego mogą oni oczekiwać. Przedstawiciele władzy ustawodawczej, wchodząc w skład Krajowej Rady Sądownictwa i wybierając jej członków, mają wpływ na to, kto zostanie sędzią. A Sejm i Senat to przecież właśnie reprezentacja obywateli. Także obywatele wybierają prezydenta. Poprzez właściwą edukację i informację pozwólmy obywatelom uzmysłowić sobie, jaką wagę ma ich głos, jakich chcą zmian i za czym głosują, wybierając władzę ustawodawczą. Ciekawe, ilu z tych, którzy tak chętnie powołują się na konstytucję, zgłębiło jej tajniki. Obywatelowi należy dać rzetelną, wyczerpującą wiedzę, a to pozwoli mu dokonywać właściwych wyborów ludzi, którzy mają wpływ na kształtowanie trzeciej władzy. Chodzi o to, by wybierano takie osoby i stanowiono takie prawa, że bez względu na to, kto będzie sprawować władzę ustawodawczą i wykonawczą, ta trzecia, sądownicza, pozostanie opoką.

Opoką dziś osłabianą właśnie za sprawą władzy ustawodawczej – Sejmu wybranego przez obywateli, który już ma aż za duży wpływ na to, kto zostaje sędzią.

– Nie uważam, że jest za duży, bo sędziowie też mają na to wpływ. Przedstawiają Krajowej Radzie Sądownictwa kandydatury osób ubiegających się o stanowisko sędziowskie; kandydatury te są opiniowane także przez sędziów wchodzących w skład KRS. A o tym, kto zostaje sędzią, ostatecznie decyduje prezydent, nie władza ustawodawcza. Z niepokojem słucham stwierdzeń, że Krajowa Rada Sądownictwa „powołała na stanowisko sędziego". KRS nie powołuje sędziów, lecz opiniuje ich kandydatury i przedstawia prezydentowi. Informując o czymś obywateli, trzeba zachowywać precyzję. Niektórzy mówią, że teraz ustanawiane jest złe prawo, zagrażające obywatelowi, i nie ma gwarancji, że nawet jeśli w wyniku wyborów przyjdzie inna władza, to zmieni te przepisy – bo będzie chciała wykorzystać zło w nich tkwiące. Czyli my wszyscy mamy się bać obecnej i przyszłej władzy, bo uważamy, że wybieramy takich, którzy, nadużywając stanowisk, chcą wyrządzić krzywdę większości obywateli?

Wyrok dla obywatela może być najważniejszą sprawą w życiu. Sędzia decyduje o jego wolności, majątku, czasem przyszłości. To największa władza na świecie.

eprasa.pl 4f71467cce

Problem w tym, że wybierając, nie do końca wiemy, co nasi kandydaci zrobią, gdy już zostaną wybrani.

– Obowiązkiem władzy ustawodawczej, jakakolwiek by była, oraz wszystkich, którym przysługuje inicjatywa ustawodawcza, jest wysłuchanie sędziów – będących także obywatelami zgłaszającymi uwagi do stanowionego prawa – i ukształtowanie projektów zmian w taki sposób, by uwzględniały głos tego środowiska. Sędzia może wydać zły wyrok z różnych powodów, również dlatego, że pozostałe dwie władze się nie spisały, uchwalając złe prawo. Jeśli nie będziemy się nawzajem szanować i słuchać, nadal będzie tak, jak było. Dziś dzieli się sędziów na złych i dobrych – czyli głównie tych, którzy zostali powołani przed rokiem 1989 oraz po tej dacie. Tymczasem ci „źli z powodu daty urodzenia" mogliby wielu powołanych już w komforcie demokratycznego państwa prawa nauczyć, jak należy bronić interesów obywateli. Nie bez powodu pewien zasłużony opozycjonista powiedział mi, że w czasach, gdy ustrój w naszym kraju był nieludzki i wymierzony przeciw obywatelom, było grono sędziów, którzy starali się chronić obywateli poprzez wydawane orzeczenia – a teraz to się zmieniło. Tymczasem trzecia władza, niezależnie od wyników wyborów, powinna dawać obywatelowi poczucie bezpieczeństwa w sytuacji konfrontacji z pozostałymi władzami.

Wybory dopiero za cztery lata, władzę mamy, jaką mamy, a ona pokazuje, że potrafi utrudniać życie sędziom, i np. nęka ich zarzutami dyscyplinarnymi (rekordzistce postawiono 172).

– Przez ponad 40 lat pracy przeżyłam wszystko: nękanie, grożenie, stan wojenny w sądzie, kolejne władze, zmiany w prawie, niesłuszne dyscyplinarki, komisję śledczą, przesłuchiwanie przez prokuratora, który pytał, dlaczego zadałam przesłuchiwanemu świadkowi takie pytanie... Jeśli ktoś decyduje się zostać sędzią, niech zapomni o lekkim, łatwym i przyjemnym życiu. Nie ma obowiązku bycia sędzią i znoszenia ograniczeń właściwych temu zawodowi. Zawód sędziego to służba, a służba to także ryzyko i zagrożenia. Jeśli ktoś myśli, że spokojnie przeżyje życie, będąc sędzią z immunitetem, szybko się przekona, że jest odwrotnie. Wizerunku sędziego – i całego wymiaru sprawiedliwości – nie buduje wysokość zarobków czy kolekcjonowanie zaszczytów i tytułów. Jak wychodzę na salę rozpraw, to obywatel, który się ze mną styka, wie, że mnie, sędziego Piwnik, nikt nie skusi i nie przestraszy. Mogę powiedzieć każdemu sędziemu idącemu na salę rozpraw: swoje troski i lęki zostaw za drzwiami. Jeśli miałyby ci tam towarzyszyć obawy o plany życiowe i zawodowe, nie powinieneś na tej sali być. Gdybym miała odpowiadać karnie czy dyscyplinarnie, będzie to wyłącznie moja sprawa, a nie obywatela, który przede mną stoi – i nie będę w publicznej dyskusji szukać rozwiązania swojego problemu.

Czy nie przeszkadza pani to, jak przedstawiciele najwyższych władz odnoszą się do sędziów? Prezydent RP mówi: „Poziom zakłamania tego towarzystwa i jego hipokryzji mnie osłabia". Premier: „Nasz system sądowniczy trawi korupcja, jest wypełniony sędziami, którzy mają na sumieniu różne występki popełniane w czasach komunizmu". Były przewodniczący sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka, dziś sędzia Trybunału Konstytucyjnego: „Odsunąć od orzekania sędziów, którzy są zwykłymi złodziejami".

– Mnie jako sędziego nikt nie jest w stanie obrazić. Jeśli ktoś wypowiada swoje poglądy, nie mając wiedzy o tym, o czym mówi, to jest jego problem, nie mój. Ja poprzez sposób pełnienia swojej służby zasłużyłam sobie na to, że takie wypowiedzi wobec mnie nikomu nawet przez myśl by nie przeszły. One mnie nie dotyczą.

Padają też słowa, że sędziowie to kasta (niekoniecznie nadzwyczajna).

– Sędzia nie jest nadczłowiekiem, jest obywatelem jak każdy inny, może być pociągnięty do odpowiedzialności. Ale wolno mu trochę mniej niż innym – nie ma prawa postępować w sposób mogący osłabić zaufanie do wymiaru sprawiedliwości. Wymóg nieskazitelnego charakteru towarzyszy sędziemu przez całe życie zawodowe i prywatne. Także osoby najbliższe muszą mieć świadomość, że z uwagi na urząd i władzę sprawowaną wobec innych sędziemu nie wolno mieć tych słabości, które na

co dzień są typowe dla wielu współobywateli. Z zasad etyki tego zawodu wynika, że sędzia ma obowiązek reagować na niewłaściwe zachowanie innego sędziego. Nie wiem, czy taka reakcja i odwaga w prezentowaniu poglądów jest szanowana, czy stanowi powód do izolacji i podziałów wśród sędziów. Trzeba dyskutować o tym w środowisku, by mogło ono prawidłowo oceniać zachowania swoich przedstawicieli.

Na co należy zwracać uwagę w tych ocenach?

– Sędziowie muszą mieć świadomość, że obywatele obserwują ich pracę i to, jak traktują oni innych. Nie mogą zachowywać się niewłaściwie, okazywać lekceważenia słowami, gestami, wyrazem twarzy. Ekstrawaganckie stroje, zaniedbane fryzury, niewyczyszczone buty także szkodzą wizerunkowi sędziego. Podobnie jak prezentowanie na forach społecznościowych swoich kontrowersyjnych upodobań, zamieszczanie zdjęć typu „mój trawnik po deszczu" albo nawiązywanie znajomości na portalach randkowych (bo można trafić na podsądnego). Na licytacji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy wystawiono spotkanie z pierwszą prezes Sądu Najwyższego, zjedzenie obiadu w towarzystwie jej oraz sędziów, zwiedzanie z rzecznikiem prasowym miejsc w gmachu SN, które na co dzień są niedostępne. A przecież taką licytację może wygrać np. kierujący grupą przestępczą – zapłaci najwięcej,

eprasa.pl 4f71467cce

Marsz Tysiąca Tóg, Warszawa, 11 stycznia 2020 r.

zje obiad z pierwszą prezes i zamieści w internecie zdjęcia z tego dnia spędzonego w Sądzie Najwyższym. Wizerunkowi SN w oczach obywateli oraz ich edukacji prawnej lepiej służyłoby wystawienie na licytacji pięknie wydanego egzemplarza konstytucji z autografami wszystkich sędziów Sądu Najwyższego.

Prawo i Sprawiedliwość rządzi od czterech lat, o zreformowaniu sądownictwa mówi jeszcze dłużej, ale żadnych reform (oprócz wymiany kadr) nie wprowadza.

– Minister Ziobro sam nie pisze zmian w prawie. Przez te cztery lata niejednokrotnie mówiłam, co utrudnia pracę sędziom i jak należałoby to zmienić, czując się w tym osamotniona. Może ministrowi należy przedstawić propozycje zmian, które zyskają poparcie obywateli i będą zgodne z wiedzą i doświadczeniem sędziów? Są sędziowie na delegacjach w Ministerstwie Sprawiedliwości, uczestniczą w nadawaniu kształtu nowym przepisom. Niech mają odwagę przedstawić rozwiązania prawne oparte na ich własnej praktyce, wezmą udział w dyskusji publicznej. Tylko to powinna być wieloletnia, codzienna praktyka na sali rozpraw, a nie na urzędniczej delegacji w ministerstwie. Nie może być tak, że ktoś, będąc przez parę lat na delegacji w Ministerstwie Sprawiedliwości, awansuje na wyższe stanowisko sędziowskie, choć nie orzeka. Tacy sędziowie stają się urzędnikami, zgadującymi oczekiwania władzy, żeby tylko pozostać w ministerstwie. Chcą być urzędnikami? Niech składają urząd sędziego. Delegacje są konieczne, poszerzają wiedzę i horyzonty sędziów, ale powinny zostać skrócone do roku, najwyżej dwóch lat. Chętnie wysłuchałabym propozycji stowarzyszeń sędziowskich, dotyczących zwłaszcza ścieżki zawodowej i awansowej sędziów oraz zmian usprawniających procedurę. Niech nie dzielą się ze społeczeństwem gorzkimi doświadczeniami ani nie organizują marszów, lecz spróbują przekonać ludzi do potrzebnych i oczekiwanych rozwiązań prawnych – takich, które obywatele chcieliby wyegzekwować od osób wybranych na posłów, senatorów czy na prezydenta.

Jakie mogłyby to być rozwiązania?

– Od lat mówię, jak należy zmienić system kształcenia aplikantów. Gdy ocenia się kandydata na sędziego, należy brać pod uwagę to, jak funkcjonuje w życiu zawodowym i środowisku, w którym żyje. Ktoś, kto nie jest otwarty na wiedzę i świat, nie ma cierpliwości, by wysłuchać drugiego człowieka, nie powinien sprawować tego urzędu. Jeszcze jak byłam ministrem sprawiedliwości i przedstawiano mi plany utworzenia szkoły kształcącej aplikantów, mówiłam: nie. Szkoła powstała, a ja nie zmieniłam zdania. Prowadzenie zajęć w taki sposób jak w Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury: w oderwaniu od codzienności sądowej, koncentrując się na przywiązaniu do treści zapadłych orzeczeń, a nie na samodzielności w podejmowaniu decyzji i prezentowaniu własnych poglądów, nie ułatwia także kandydatowi odpowiedzi na pytanie, czy jego konstrukcja psychiczna oraz wyznawane wartości pozwolą mu zmierzyć się z zagrożeniami, jakie niesie ten zawód.

Co powinno być zwieńczeniem kariery zawodowej sędziego?

– Powiem, co było nim dla mnie. W ubiegłym roku podszedł do mnie mężczyzna i powiedział: „Pani mnie sądziła, nim jeszcze została pani ministrem. Były to błędy młodości, zostałem skazany – ale przemyślałem to, co wtedy pani powiedziała, i zmieniłem swoje życie. Zrozumiałem, co naprawdę jest w nim ważne. Dzięki pani mam dziś dobre, udane życie". Mojej młodszej koleżance, sędziemu, powiedziałam, że dzisiejsi młodzi sędziowie nie usłyszą podobnych słów po 20 czy 30 latach pracy, jeśli nie będą otwarci na człowieka, który staje przed sądem. Trzeba mu jasno powiedzieć, dlaczego w jego sprawie zapada takie, a nie inne rozstrzygnięcie. Niech każdy sędzia sobie odpowie, czy pod koniec kariery zawodowej ważniejsze dla niego będzie, że został prezesem sądu lub przewodniczącym wydziału, czy to, że usłyszał, iż dzięki niemu człowiek, którego osądził, ma dobre życie – i że stało się to z pożytkiem dla tego człowieka oraz dla społeczeństwa. Mówię o tym, bo starsi sędziowie, przygotowując mnie do zawodu, pokazali mi, że wychodzę na salę rozpraw po to, by załatwić ważną sprawę człowieka, który trafił do sądu, a nie po to, żeby zakreślić numerek statystyczny.

W czym wcześniejsza metoda przygotowania do zawodu była lepsza od tej, jaka jest stosowana w KSSiP?

Sędzia może wydać zły wyrok z różnych powodów, także dlatego, że pozostałe dwie władze się nie spisały, uchwalając złe prawo.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 4f71467cce

– Gdy byłam na aplikacji, to przy każdej decyzji podejmowanej w pokoju narad, podczas rozmów sędziów, w prokuraturze czy u komornika, padało pytanie patrona: a jakie jest zdanie aplikanta? W ten sposób przez dwa lata aplikant musiał być zawsze przygotowany, nabierał nawyku precyzyjnego wyjaśniania swojego stanowiska i codziennego posługiwania się przepisami, przestawał się bać formułowania własnych wniosków, przedstawiania poglądów. A przede wszystkim mógł się przekonać, czy nadaje się do tego zawodu, umie podejmować decyzje, stać go na ciągły wysiłek intelektualny, radzi sobie z presją i odpowiedzialnością. Tego wszystkiego dziś brakuje. Sędziowie, którzy byli moimi patronami, codziennie pracowali w sądzie, także w dni, w których nie mieli sesji. Ja również tak pracuję, bo zawsze mogą się pojawić sprawy, które powinnam na bieżąco załatwiać. Dziś aplikant jest w sądzie gościem.

Niejednokrotnie mówiłam, co utrudnia pracę sędziom i jak należałoby to zmienić, czując się w tym osamotniona.

Sędziowie dość często narzekają na obciążenia związane z pisaniem uzasadnień wyroków.

– Narzekają, bo w przygotowaniu do zawodu zabrakło nauki zwięzłości i przedstawiania skomplikowanej prawnie sytuacji językiem zrozumiałym dla obywatela. Przegadane, niezrozumiałe uzasadnienia pojawiły się wraz ze zmianą sposobu kształcenia sędziów, są wynikiem wieloletniej złej praktyki. Niedawno znalazłam swoje, aplikanckie jeszcze, uzasadnienie wyroku z 1979 r., dotyczące kilkuosobowej sprawy o rozbój. Na niespełna siedmiu stronach maszynopisu jest wszystko: stan faktyczny, omówienie dowodów, logiczny wywód, rozstrzygnięcie co do winy, kary, powództwa cywilnego. Nie było wtedy kopiowania innych uzasadnień, robienia skrótów akt, przywoływania dziesiątków orzeczeń. Dziś to wszystko znajdziemy w uzasadnieniach, ale często nie wynika z nich, skąd się wzięła decyzja sądu. Od grudnia narzucono nam formularz, na którym nie da się prawidłowo sporządzić uzasadnienia wyroku w skomplikowanej sprawie karnej. Trudno z niego cokolwiek zrozumieć (nawet doświadczeni sędziowie mają z tym kłopoty), nie można prześledzić toku myślenia sędziego. A przecież powinniśmy tak wykonywać obowiązki, aby obywatel poznał przesłanki wydania wyroku i wyszedł z sądu z poczuciem, że trafił na mądrego, sprawiedliwego sędziego. Przedstawiciel trzeciej władzy musi się komunikować z ludźmi zrozumiałym, jasnym językiem. Orzeczenia nie mogą zostawiać marginesu na niejasności i niepewność. Uzasadnienia orzeczeń Sądu Najwyższego sprzed 30, 40 lat w krótkiej formie zawierają głęboką myśl zrozumiałą dla laika, nawet w zawiłych sprawach.

Sąd Najwyższy się odmładza, więc wzorce sprzed 30 lat odchodzą tam w niepamięć.

– Istotnie, nie jest dobrym rozwiązaniem, że w Sądzie Najwyższym mogą zasiadać 40-latkowie z 10-letnim stażem np. na stanowisku prokuratora. Odpowiedzmy sobie, czy chcemy mieć sędziów Sądu Najwyższego, których w wieku 65-70 lat będzie się wysyłać w stan spoczynku, czy takich, którzy przekroczyli już ten wiek i boją się tylko sądu boskiego, nie oczekując kolejnych zaszczytów zawodowych? Zasiadanie w Sądzie Najwyższym należy proponować osobom o uznanym autorytecie, np. sędziom, pracownikom nauki czy adwokatom, ze względu na ich wielki dorobek, doświadczenie, osiągnięcia zawodowe, cechy charakteru. Gdy propozycję przyjmą, powinna ruszać procedura powołania na stanowisko. Wtedy głos Sądu Najwyższego miałby taką wagę, że nikt nie śmiałby go podważyć. Nabór do SN nie może wyglądać tak jak teraz: że na wolne miejsca zgłaszają się anonimowi dla społeczeństwa ochotnicy z zaledwie 10-letnim stażem w zawodzie np. sędziego czy prokuratora.

A jak pani ocenia system losowego przydziału spraw sędziom?

– Uważałam i uważam, że system losowego przydziału spraw jest zły, spowalnia i utrudnia nam pracę. Sędzia, który za chwilę może wylosować sprawę mającą 100 tomów akt i 20 aresztów do przedłużenia, musi sobie zostawić dwa, trzy dni bez wyznaczonej sesji, aby mieć rezerwę czasową na podejmowanie decyzji. Nie jest więc w stanie należycie zaplanować chociażby terminów rozpraw. Gdy nie było przydziału losowego, nie zdarzało się, by ten sam sędzia dostał kolejne sprawy, w których stosowane jest tymczasowe aresztowanie, co zmusza do niezwłocznego wyznaczenia terminu rozpraw – i nie wiedział, którą wyznaczyć jako pierwszą.

Mamy wyrok Sądu Najwyższego, a w jego uzasadnieniu znamienne stwierdzenia, że obecna Krajowa Rada Sądownictwa nie daje wystarczających gwarancji niezależności od organów władzy przy powoływaniu sędziów, a nowa Izba Dyscyplinarna SN nie jest sądem. Czego można oczekiwać w wyniku tego orzeczenia?

– Tego, że nadal emocje będą przesłaniać interes ogólny – i nie uda się usiąść razem, by rozpocząć spokojną rozmowę o kondycji wymiaru sprawiedliwości. Problem w tym, czy środowisko sędziowskie samo wyjdzie z propozycjami zmian, czy zostanie zmuszone do realizacji zmian złych – a będą złe, jeśli będą wprowadzane tak jak ostatnio. Doświadczeni sędziowie powinni proponować takie zmiany publicznie, w dyskusji poszerzającej wiedzę obywateli. Należałoby się skupić przede wszystkim na rozwiązaniach dotyczących sądów powszechnych, do których obywatele przychodzą codziennie. Zamiast robić rewolucję, szukajmy w dotychczasowych przepisach oraz w utartej praktyce tego, co dobre i co złe – i na tej podstawie proponujmy rozwiązania na przyszłość. Wymaga to głębokiej wiedzy i znajomości problemu, nie rewolucji.

Jakie jest pani zdanie na temat nowelizacji paru ustaw, rozszerzającej odpowiedzialność dyscyplinarną sędziów (mówi się o nowelizacji „kagańcowej")?

– Warto dobrze poznać już obowiązujące prawo, stwarza ono daleko idące możliwości.

A co zrobić, żeby nie zapadały wyroki sprzeczne z podstawowym poczuciem sprawiedliwości, co niestety się zdarza?

– Wszystko, o czym mówimy w tym wywiadzie, stanowi odpowiedź na to pytanie.

Andrzej Dryszel

eprasa.pl 4f71467cce

Z Galicji

Jan Widacki

Pana premiera język giętki

Pisał kiedyś wieszcz: „Chodzi mi o to, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa". Problemem wieszcza było to, że język nie potrafił czasem wysłowić tego, co głowa wymyśliła. Nasz problem jest inny, dużo poważniejszy – aby politycy najpierw pomyśleli, a potem mówili. Aby zanim uruchomią jęzor, użyli mózgu. Bo bardzo często tego nie robią.

Weźmy niedawną wypowiedź premiera Morawieckiego, który w wywiadzie dla „Die Welt" powiedział, że reforma sądownictwa w Polsce jest konieczna, bo obecni sędziowie zostali wychowani przez sędziów komunistycznych. Pomijam już fakt, że wbrew doktrynie swojego obozu politycznego pan premier skarży na państwo polskie za granicą. Treść skargi jest tak niemądra, że ośmiesza nie tylko jego, ale i pośrednio państwo, przekonując, że premierem może w nim być osoba wygłaszająca publicznie tak niemądre zdania.

Do niedawna pan premier twierdził, że w sądach polskich orzekają sędziowie postkomunistyczni, powołani jeszcze w PRL, a dodatkowo zbrukani w stanie wojennym. Środowisku sędziowskiemu przypisano także zbrodnie sądowe, wyroki wydawane w czasach stalinowskich, również na „żołnierzy wyklętych". Ktoś z otoczenia premiera widać się zorientował, że Stalin umarł w 1953 r., stalinizm skończył się ostatecznie w roku 1956, stan wojenny ogłoszono 13 grudnia 1981 r., a „komunizm" upadł 4 czerwca 1989 r. Zestawienie tych dat zająć musiało sporo czasu, a odjęcie liczb 1953, 1956, 1981 i 1989 od 2020 jeszcze więcej. Ale tę skomplikowaną pracę ktoś w otoczeniu premiera wykonał i okazało się, że od śmierci Stalina minęło 67 lat, od października 1956 r. – 64 lata, od wprowadzenia stanu wojennego 39 lat, a od „końca komunizmu" – 31. Co więcej, ktoś zapewne przypomniał, że sędzią zostaje się nie wcześniej niż w wieku 29-30 lat. Jeśli zatem brnąć będziemy w te rachunki, do każdej z tych liczb należałoby dodać co najmniej 29.

Sędziowie z czasów stalinowskich – gdyby żyli – musieliby mieć lat sto i więcej, ci najmłodsi ze stanu wojennego przekraczaliby właśnie siedemdziesiątkę. Tymczasem średnia wieku sędziów w Polsce wynosi nieco ponad 40 lat. Ministerstwo Sprawiedliwości na pewno dysponuje stosownymi danymi, ale ich nie ujawnia. Mimo to bez ryzyka dużej pomyłki można powiedzieć, że wśród sędziów orzekających tych, którzy orzekali w stanie wojennym, jest bardzo niewielu. W dodatku większość orzekała nie w sprawach karnych, ale w cywilnych, rodzinnych, z prawa pracy. A ci, którzy orzekali w sprawach karnych, na ogół zachowywali się przyzwoicie, o czym zaświadczyć mogą osoby, które w tym czasie z przyczyn politycznych stawały przed sądem. Na pewno przyzwoiciej niż sekretarz egzekutywy organizacji partyjnej w prokuraturze, prokurator okresu stanu wojennego, niejaki Piotrowicz. Jego przeszłość jakoś nie była przeszkodą w karierze w szeregach PiS.

Wykonane powyżej rachunki są może zbyt skomplikowane, wyciągnięcie z nich wniosków zbyt trudne dla twardego elektoratu PiS, a świadectwo moralności wystawione panu Piotrowiczowi przez Jarosława Kaczyńskiego zamyka sprawę. Jednak wychodzenie za granicę z takimi idiotyzmami jak rzekoma konieczność dekomunizacji sądownictwa jest ryzykowne. Na użytek zagranicy pan premier zmodyfikował swoją teorię. Obecni polscy sędziowie są uczniami komunistycznych sędziów – stwierdził. Uznał też, że czytelnik „Die Welt" i cała zachodnia opinia publiczna jest złożona z samych idiotów i taka argumentacja ich przekona. Logiczne konsekwencje teorii pana premiera są takie, że wszyscy poza reemigrantami, którzy okres PRL przeżyli za granicą (w dodatku za właściwą), są uczniami „komunistycznych" nauczycieli, absolwentami „komunistycznych" uniwersytetów, pracowali w „komunistycznych" firmach, służyli w „komunistycznym" wojsku. Kolejny logiczny z tego wniosek jest jeden. Trzeba pilnie wymienić społeczeństwo. Nie tylko elity, ale od nich trzeba zacząć. Zostawić jedynie tych, którzy urodzili się po 1989 r., w dodatku z rodziców, którzy nie chodzili do „komunistycznych" szkół, nie kończyli „komunistycznych" uniwersytetów, nie pracowali w „komunistycznej" administracji ani „komunistycznym" przemyśle, nie służyli w „komunistycznym" wojsku. Mało tego, trzeba wyeliminować tych, którzy wprawdzie urodzili się po 1989 r. z właściwych, nieskażonych „komunistycznym" państwem rodziców, ale byli wychowywani przez skażone przedszkolanki, nauczycieli, profesorów, dowódców, majstrów…

Z grzechu pierworodnego skażenia komunizmem oczyszcza wyłącznie świadectwo moralności wystawione przez kierownicze gremia PiS, a najlepiej, jak w wypadku pana Piotrowicza, przez samego Jarosława Kaczyńskiego. Nie wiem tylko, kto z grzechu pierworodnego skażenia komunizmem obmył doradcę pana prezydenta, dr. hab. Zybertowicza, w młodości działacza komunistycznego, który jeszcze w latach 80., mając złe zdanie o Solidarności, chciał reformować PZPR, a czynił to z nie mniejszym zapałem, niż teraz zwalcza postkomunizm. Czy zrobił to pan prezydent osobiście, czy także Jarosław Kaczyński?

Panie premierze, do pańskich wypowiedzi, ich prawdziwości, sensu już przywykliśmy. Ale niech pan nie ośmiesza się za granicą, bo przy okazji ośmiesza pan nasze państwo, a więc nas wszystkich.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4f71467cce

Jak zrobić Polskę bez PiS?

Intelektualna impotencja jest po stronie demokratycznej

Rozmawia Robert Walenciak

PAWEŁ KASPRZAK
– inicjator i lider grupy Obywatele RP, działacz opozycji demokratycznej i Solidarności w czasach PRL, członek Pomarańczowej Alternatywy oraz grupy Wolność i Pokój.

Patrzę na sondaże i widzę ponad 40% poparcia dla Andrzeja Dudy...

– Różne elektoraty na to się składają. Są tacy, którzy bardzo lubią Dudę, podziwiają jego świętość. A znaczna część ma charakter elektoratu negatywnego – ci mówią: „Na tych złodziei w życiu nie zagłosuję!”.

Dlatego zagłosują na Dudę?

– Złodzieje to w ich mniemaniu różnego rodzaju „kasty”, klasa polityczna, która się skompromitowała, którą utożsamiają z PO. Na tych ludzi nie wpłyniemy. Układ sił pokazały wybory parlamentarne. PiS zdobyło większość w Sejmie, ale więcej wyborców głosowało na partie opozycyjne. Było 48:43. To pokazuje stan względnej równowagi. I tu bez żadnego przełomu wiele się nie zmieni.

Wizja potrzebna od zaraz

A w przełom pan wierzy?

– Mamy czwórkę kandydatów opozycyjnych. Na dzisiaj największe szanse starcia z Dudą w II turze ma Małgorzata Kidawa-Błońska. Nie chcę jej oceniać. Po pierwsze, uważam, że jest to osoba przyzwoita, po drugie – niegłupia. Jej poglądy mi nie odpowiadają, ale to są wybory prezydenckie, tutaj partyjne poglądy nie powinny mieć znaczenia. Natomiast nie uważam, że to pewniak, kandydatka, która porwie ludzi swoją wizją, bo ona na razie żadnej wizji nie przedstawiła.

A wizja musi być?

– A jak inaczej? Ta cała logika, którą słyszymy od pięciu lat, że najpierw odsuniemy PiS, a potem naprawimy Polskę, jest nieskuteczna. To każdy widzi.

W Platformie tego nie widzą.

– No tak. Znakiem szczególnym klasy politycznej, z którą mamy do czynienia po demokratycznej stronie, jest impotencja intelektualna.

Mocne słowa!

– Już wyjaśniam. Myślę, że na dłuższą metę nie da się wygrać polskiej wojny bez jej przełamania śmiałą wizją. Jeżeli w tych wyborach Małgorzata Kidawa-Błońska, najpoważniejszy kandydat opozycji, wystartuje bez takiej wizji – to raczej przegra. A jeżeli wygra, czemu kibicuję, to z minimalną przewagą. Proszę sobie przypomnieć wybory w 2015 r. Jak wtedy Duda zdołał się przedstawić – jako człowiek spoza establishmentu, z ludu, pomazaniec nieżyjącego Lecha Kaczyńskiego itd. Do tej pory nie mamy na to wartościowej odpowiedzi. Minęło pięć lat i nie potrafiliśmy sformułować etosu demokraty, który by kogokolwiek porwał, zaraził entuzjazmem.

Kandydaci będą mieli swoje programy.

– Gdy się patrzy, jak do tego się zabierają… To gadanie, które słyszę od polityków, znowu o służbie zdrowia, jest dołujące. Służba zdrowia, z całym szacunkiem, nijak się ma do wyborów prezydenckich! Do programów opozycji parlamentarnej też średnio pasuje.

Dlaczego?

– To, że jest na pierwszym miejscu postulatów partyjnych – wynika z sondaży. Bo w nich służba zdrowia jest na pierwszym miejscu trosk obywatelskich. Ale te same badania pokazują, że 80% respondentów absolutnie nie wierzy, że wybory parlamentarne mogą coś w tej dziedzinie zmienić. „Decyzje polityczne nie przekładają się na poprawę mojego losu”, mówi przeciętny Kowalski. I ma rację.

Przecież 500+, efekt decyzji politycznej, przełożyło się na poprawę jego losu.

– Dostał je wprost do kieszeni. Ale zwróciłbym uwagę na godnościowy charakter tego procesu. Bo przeciętny Kowalski cieszy się nie tylko ze swojego 500+, ale także z korzyści innych ludzi, których – jego zdaniem – system skrzywdził w III RP, a teraz władza im pomaga. PiS powiedziało Kowalskiemu, że jego potrzeby, jego aspiracje są realizowane.

Co może prezydent?

A potrzeby liberałów, lewicy?

– Prezydent może tu odegrać wielką rolę. Jednym z jego uprawnień jest inicjatywa referendalna. A dwa-trzy dobrze dobrane, kluczowe pytania referendalne, mogą naprawdę odwrócić polską politykę. Na tym polega wyjątkowa dziś władza, którą może mieć prezydent. To jak w bajce o złotej rybce – trzy marzenia, które się spełnią i zmienią rzeczywistość.

eprasa.pl 4f71467cce

Jakie na przykład?

– No, właśnie w tym rzecz, że w ciągu czterech lat biadolenia na PiS nikt nie sformułował choćby listy marzeń dla Polski – poza marzeniem o Polsce bez PiS. My, Obywatele RP, występujemy chociażby z projektem referendum w sprawie aborcji. Żeby tego nie zamiatać pod dywan. Wiemy, jak wygląda społeczeństwo, ja rozumiem, że na postulatach liberalizacyjnych można stracić, ale tu można powiedzieć coś, co jest prawdą dla każdej ze stron, niezależnie od poglądów na kwestię aborcji – że w tych sprawach przez wszystkie lata III RP politycy uzurpowali sobie władzę, której nie powinni mieć. Że to powinno być zostawione do decyzji narodowi, w bezpośredniej demokracji, czyli w referendum. Referendum po brexicie kojarzy się wyjątkowo źle, ale jesteśmy też po doświadczeniach irlandzkich. Tam referendum poprzedziły panel obywatelski i debata publiczna we wszystkich mediach – odpowiedzialna i bardzo głęboka. Po czym nastąpiło referendum – i nie było populistyczne. Mówię tak nie dlatego, że jego wynik był po linii moich poglądów. Niech się kończy, jak chce! Ważne, że ludzie zdecydowali.

Prezydent mógłby zabierać władzę politykom i dawać ją ludziom?

– Tak, ja bym właśnie tak przedstawił wizję naprawy Polski i jestem przekonany, że ona by trafiła do ludzi po obu stronach dzisiejszej wojny. Jak się wymieni punkty zapalne, które są takimi kawałkami frontu w polskiej wojnie, to myślę, że można je rozbroić właśnie w ten sposób. Jeśli np. pisowcom się powie: „Bracia i siostry, obie nasze strony są wodzone za nos przez liderów politycznych, toczymy tę wojnę w ich interesie”, to oni rozumieją to bardzo dobrze.

Nie są oddani Jarosławowi?

– Są. Dokładnie tak samo jak my jesteśmy oddani naszym liderom.

Opozycja nie ma jednego lidera.

– Nie ma. Jest z tym kłopot. Mateusz Kijowski miał być takim liderem – ale trochę PO na to nie pozwoliła, trochę sam się przyłożył. Potem szukaliśmy zjednoczenia opozycji pod wodzą Grzegorza Schetyny. Mieliśmy zdumiewającą skłonność do wybaczania mu wszystkich wad. Jest, jaki jest, ale trudno, jego mamy, jego popierajmy. Zresztą sam dzisiaj z wielkim niesmakiem patrzę na flekowanie Schetyny. Najczęściej przez tych samych ludzi, którzy jeszcze pół roku temu wołali, że wszystko jest w porządku. Flekowany jest dokładnie za to, czego od niego się domagano! Miała być jedność opozycji? Była! Przywództwo PO? Było! Czego więc od niego chcecie?

Komu wierzą wyborcy?

O tym wszystkim możemy myśleć, ale najpierw demokraci muszą pokonać Andrzeja Dudę. Jak? Demonstracjami pokazać, że jest marionetką prezesa?

– Uważam, że w tej kwestii zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy zrobić.

My – czyli kto? Obywatele RP czy demokraci?

– Demokraci. Nasze media mówią o wpadkach Dudy raczej bez ogródek. O nim wiadomo wszystko. Kto chciał – wie. Jak ktoś nie wie, to znaczy, że nie chciał słuchać. Teraz trzeba szukać pozytywów po naszej stronie, ważnych spraw, które ludzi by porwały. A tego brakuje.

Demokraci nie potrafią porwać ludzi?

– To bardzo trudne w naszym przypadku, dlatego że nam mało kto wierzy. W dalszym ciągu ludzie bardziej wierzą politykom PiS, co jest zdumiewające po czterech latach ich rządzenia! Ale to jest ich osiągnięcie. W opinii społecznej nie są jeszcze aparatczykami władzy, tylko w dalszym ciągu odnowicielami polskiej polityki. Im to się udało, a nam nie!

Dlaczego?

– A kto po naszej stronie przejmował się tzw. szóstką Schetyny albo treścią postulatów programowych? Wszyscy byli przekonani, że to jedynie sztuczka socjotechniczna. Sprytnie dobrane postulaty, które przekonają tych innych wokół mnie, bo mnie nie bardzo, zresztą mnie przekonywać nie trzeba, ja w programy i obietnice nie wierzę. Było tego typu myślenie! Był sondaż pokazujący motywację wyborców poszczególnych partii. Wynikało z niego, że wśród wyborców zarówno PO, jak i PiS dominują motywacje negatywne. Ci od PiS mówili: „Na tych złodziei z PO nigdy nie zagłosuję!”. A ci z opozycji: „Na tych idiotów? Nigdy w życiu!”. Jedynie wyborcy lewicy byli inni, oni odpowiadali, że zagłosują na swoich, bo są przekonani o słuszności i wartości lewicowego programu. Ja bym właśnie to budował – takie pozytywne przesłanie. Pamiętajmy, że wciąż jest prawie 40% niegłosujących. Intuicja mi podpowiada, że ci ludzie nie chodzą na wybory, bo im polityka po prostu śmierdzi. Dlatego trzeba robić nieśmierdzącą politykę.

W ciągu czterech lat biadolenia na PiS nikt nie sformułował choćby listy marzeń dla Polski – poza marzeniem o Polsce bez PiS.

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

MACIEJA GÓRSKIEGO

wybitnego dyplomaty, byłego ambasadora w Grecji i we Włoszech,
doradcy prezydenta RP do spraw międzynarodowych,
wiceministra obrony narodowej.

Żegnamy dobrego człowieka,
zasłużonego dla Polski i jej międzynarodowej pozycji.

Rodzinie i Najbliższym
składamy wyrazy współczucia

w imieniu Rady, Zarządu i pracowników Fundacji Amicus Europae
Aleksander Kwaśniewski, Andrzej Majkowski i Ireneusz Bil

eprasa.pl 4f71467cce

„Jak PiS było silne, policja nas gniotła". Paweł Kasprzak wynoszony spod Sejmu, 20 lipca 2017 r.

Kluczowe jest dotarcie przynajmniej do części wyborców Andrzeja Dudy. I odbicie ich.

– Tę robotę wykonuje Konfederacja. Oni docierają do tamtej bańki skuteczniej niż my. Jak słucham tego, co mówią, nabieram przekonania, że to jest cholernie skuteczne. Widzę, że ciężko pracują. Jest program telewizyjny, który trwa godzinę, a Bosak gada w nim dwie minuty – te dwie minuty zostają pieczołowicie wydłubane i puszczone jako osobne materiały we wszystkich mediach społecznościowych itd. Ich zasięg i widownia rośnie. Oni punktują PiS w sporej części tak samo, jak my byśmy to robili, tylko są o wiele bardziej przekonujący dla odbiorców prawicy. Dlatego, że nie są nami. Punktują też z tego specyficznego dla nich punktu widzenia. Mówią krytycznie o NATO, o Ameryce itd. A tych deklaracji, że Jezus Chrystus królem Polski, albo wcale nie wygłaszają, albo gdzieś na końcu. Tak, że generalnie nikogo to nie boli.

No, jak słucham liderów Konfederacji, to robi mi się nieswojo.

– Wiele razy rozmawiałem z wyborcami Konfederacji. I wydaje mi się, że dla większości te patriotyczno-katolickie deklaracje, albo nawet jawnie faszystowskie, są rytualnym zaklęciem. Antysemityzm jest czymś, co do nich przemawia, ale ma mniejsze znaczenie. Nie sądzę, żeby wśród wyborców Konfederacji 80% było przekonanych, że całkowity zakaz aborcji jest OK. Na sali konwencji Konfederacji – to tak! Wszyscy są za. Kaja Godek jest ich bohaterką, Żydzi są paskudni, te wstrętne rzeczy powtarzają z ogniem w oczach. Natomiast wyborcy są trochę inni.

Ale wybieramy tych, którzy są na konwencji. Czyli tych prawdziwych antysemitów, antyaborcjonistów. A wybierają ich ci bardziej umiarkowani. Demokraci nie mogą ich pozyskać?

– Moim zdaniem mogą. Ale większe szanse mają konfederaci, bo są nowi i z tego powodu im się wierzy. I ich elektorat rośnie. Od zawsze miałem przekonanie, że jak się PiS zawali, potykając o własne nogi, co w polskiej polityce jest najbardziej prawdopodobne, to demokraci też mogą nie dać rady. Bo będą sparaliżowani strachem przed populistyczną falą, która będzie tuż za rogiem. I ta populistyczna fala w końcu przeważy – i będzie strasznie.

PiS z ludem

Dlaczego politykom PiS tak się udaje? Cztery lata rządzą, a wyborcy uważają, że są mniej skorumpowani i bardziej ideowi? Inni niż ci z PO?

– Bo są inni! Ja to widziałem! Kiedy ruchy obywatelskie występują z projektem jakiegokolwiek działania, z reguły spotykają się z odmową ze strony polityków opozycji. I to arogancką. Z próbą przemilczenia, na ogół skuteczną, i z taką solidarną, raczej spontaniczną, cenzurą w mediach. Nowe idee się nie przebijają, krytyka też nie. A jak coś podobnego dzieje się po pisowskiej stronie, to…

To co?

– Byłem świadkiem, jak ustawę wymierzoną przeciw nam, o zgromadzeniach publicznych, pisali – wbrew powszechnym przekonaniom – nie jacyś stratedzy w sztabie Kaczyńskiego, tylko ludzie na ulicy. „Smoleńskie dziady", które tam chodziły po ulicy – one to pisały, na kolanie, na serwetkach itd. Byliśmy w ciężkim szoku, kiedy w pierwszym projekcie PiS zobaczyliśmy te same sformułowania. Później trochę to w Sejmie wyczyszczono. Stąd wiem, że tak się dzieje! Widziałem w samorządowej kampanii wyborczej wielkie banery w Wołominie – jakiś komitet to wymyślił – „Pisowscy kandydaci, żądamy ronda…" i tu był napisany adres tego ronda. Jak to zobaczyłem, opadła mi szczęka. Bo jeśli my byśmy coś takiego napisali Trzaskowskiemu w kampanii wyborczej w Warszawie, rozszarpano by nas jako zdrajców demokratycznej sprawy! A u nich to było normą. To jest kompletnie inny świat – ich relacje z wyborcami.

Inny od waszego? Ruchów obywatelskich?

– Ja to wypominam akurat politykom opozycji: przepraszam, gdzie wy jesteście, kiedy są łamane moje prawa obywatelskie? Mówię np. o barierkach wokół Sejmu. Przypomnijcie sobie, pan poseł Pięta złamał nogę na barierkach przy Pałacu Prezydenckim. Oni, politycy PiS, jak było trzeba, byli z ludem. I lud to pamięta. Dziwić się temu? Oni w rytualnych, symbolicznych sytuacjach dalej są z ludem! I w tych codziennych też bywają.

A z wami ktoś jest?

– Nie. Jeżeli potrzebujemy od nich jakichś konkretnych przedsięwzięć, to z symbolicznymi wyjątkami nie ma nikogo. I ludzie to widzą. Jeżeli więc pada pytanie, dlaczego PiS wciąż chodzi w aurze odnowicieli, to pew-

Dwa-trzy dobrze dobrane, kluczowe pytania referendalne mogą odwrócić polską politykę.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ADAM JANKOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 4f71467cce

nie trochę z tego powodu. Wiem też, że pisowscy wyborcy nie wybaczają imposybilizmu. Dla tego elektoratu ważna jest omnipotencja tej władzy. Jak się nagle dowiadują, że Kaczyński czegoś nie może, bo Europa albo, nie daj Boże, prawo – jęk zawodu jest straszny.

Lud musi czuć, że coś może?

– Od atmosfery bardzo wiele zależy. A jak było na manifestacjach? Jak PiS było silne, policja nas gniotła. Jak było widać, że słabnie – to i oni robili się mili. Na własnych plecach to czułem.

Czyli nie bez powodu Kaczyński wciąż opowiada, że muszą nas się bać, muszą z nami się liczyć.

– O, tak! Podam egzotyczny przykład. Otóż przed kampanią samorządową powiesiliśmy na budynku Sądu Najwyższego, za zgodą pani prezes, monstrualnych rozmiarów flagę z napisem „Konstytucja". Powiesiliśmy ją w ramach pomysłu, żeby oznaczyć te instytucje, na które PiS nie ma wpływu. Chcieliśmy wieszać takie napisy na budynkach urzędów miast jako znak oporu – ponieważ to było przed wyborami samorządowymi, miało również wyborcze znaczenie. PO tego nie chciała, bo uważała, że to scementuje pisowski elektorat.

I powiesiliście tylko na Sądzie Najwyższym.

– Nie tylko, ale rzeczywiście niewiele urzędów gmin to zrobiło, a liczyliśmy, że działanie będzie masowe. Ale reakcja na Sąd Najwyższy była kapitalna! Tylko to powiesiliśmy i natychmiast wszystkie prawackie tytuły poniosły wrzawę: „Skandal! Gersdorf wiesza konstytucję! Gdzie jest policja?". I na końcu tych tekstów, pierwszego dnia, pojawiała się informacja, że Komenda Stołeczna Policji z przykrością informuje, że nie ma, niestety, na to wpływu. To było porażające. Normalnie taka afera trwałaby ładnych parę tygodni. A tu następnego dnia zniknęły wszelkie informacje. Właśnie z tego powodu, że oni, biedaki, nic nie mogą zrobić. Dlatego widzę ogromny potencjał w awanturze o tę poronioną pisowską ustawę.

Kagańcową...

– Oni muszą to przegrać. Unijne instytucje grożą im postanowieniami tymczasowymi, z sankcjami za ich złamanie. A w centrum tych postanowień tymczasowych jest neo-KRS i Izba Dyscyplinarna, czyli centrum demolki sądownictwa. To będzie wielki cios dla PiS. Przegrają to! PiS jest bezradne. Bo nie wyjdzie z Unii. Są w obliczu spektakularnej klęski.

Mogą iść w zaparte. Robić swoje.

– Sędziowie są przeciwko nim. Nie podporządkują się PiS. Dlatego my powinniśmy szybko napisać swój projekt obywatelski, zebrać te 100 tys. podpisów, jakimś cudem, w szybkim tempie, korzystając ze wzmożenia przed kampanią, w trakcie kampanii wyborczej zawieźć te kartony z podpisami do Sejmu i kazać PiS przełknąć tę żabę. Chcecie odrzucać? Kolejny społeczny projekt ustawy? To są takie rzeczy, które budują poczucie sprawstwa, z udziałem ludu! Tych tysięcy, które na demonstracje przyjeżdżały, które zbierały podpisy. Buduje się wśród nich poczucie, że uczestniczą w czymś autentycznie, że piszą historię przez duże H. Tego potrzeba! A nie takiego ględzenia, że rozsądnie zadecydujemy, rozsądnie zagłosujemy. Nie! Należy głosować z wiarą i z entuzjazmem.

Robert Walenciak

Nie da się wygrać polskiej wojny bez śmiałej wizji.

DROGI CZYTELNIKU,

• JEŚLI CHCESZ,
BY DZIECI I WNUKI ROZUMIAŁY TWOJE WYBORY ŻYCIOWE,
• JEŚLI CHCESZ,
BY POZNAŁY HISTORIĘ BEZ KŁAMSTW I WIEDZIAŁY WIĘCEJ NIŻ TO, CO GŁOSI IPN, ZADBAJ O ICH WIEDZĘ.

SPREZENTUJ IM ELEKTRONICZNĄ PRENUMERATĘ

Do końca stycznia PRZEGLĄD na cały rok tylko

~~119,90 zł~~ 99,99 zł

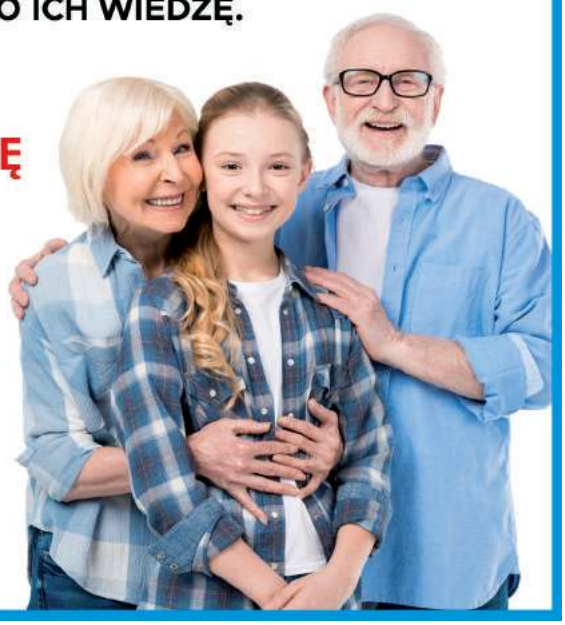

Skontaktuj się z nami: **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**
sklep@tygodnikprzeglad.pl, tel.: 22 635 84 10 wew. 107

Przegląd

eprasa.pl 4f71467cce

Wyzwolenie KL Auschwitz

Obok zbiorowej mogiły ostatnich ofiar obozu znajduje się obelisk z napisem: „Żołnierzom Armii Radzieckiej – oswobodzeni 1945”

Bohdan Piętka

Wyzwolenie KL Auschwitz 27 stycznia 1945 r. położyło kres przeszło czteroipółletniej historii największego niemieckiego i nazistowskiego obozu koncentracyjnego i obozu zagłady. Obozu, który pochłonął życie 1,1 mln ofiar, głównie Żydów, ale także ok. 70 tys. Polaków, 21 tys. Romów, 15 tys. jeńców radzieckich i tysięcy więźniów innych narodowości (Białorusinów, Czechów, Francuzów, Jugosłowian, Niemców, Rosjan, Ukraińców i in.). Obozu, który stał się na zawsze symbolem barbarzyństwa nazistowskiego totalitaryzmu.

Zimowa ofensywa Armii Czerwonej

Ostatni etap historii KL Auschwitz rozpoczął się pod koniec czerwca 1944 r., kiedy Armia Czerwona przystąpiła do letniej ofensywy. Wojska radzieckie dotarły do linii Wisła-Wisłoka i od Oświęcimia dzieliło je niecałe 200 km. Władze niemieckie wzięły wówczas pod uwagę możliwość likwidacji obozu w przypadku dalszego posuwania się frontu. Podjęto w związku z tym wstępne działania ewakuacyjno-likwidacyjne. W ich ramach od końca czerwca 1944 r. do połowy stycznia 1945 r. stopniowo przenoszono więźniów KL Auschwitz do obozów koncentracyjnych w głębi Rzeszy, takich jak Buchenwald, Dachau, Flossenbürg, Gross-Rosen, Mauthausen, Mittelbau-Dora, Natzweiler, Neuengamme, Ravensbrück i Sachsenhausen. Ta wstępna ewakuacja objęła ok. 65 tys. więźniów. W połowie stycznia 1945 r. przebywało w KL Auschwitz jeszcze ok. 67 tys. więźniów – ponad 31 tys. w obozie macierzystym KL Auschwitz I oraz w obozie KL Auschwitz II-Birkenau, ponad 35 tys. w podobozach znajdujących się w prowincji górnośląskiej, a ok. 600 osób w trzech podobozach funkcjonujących na Morawach.

12 stycznia 1945 r. rozpoczęła się ofensywa zimowa Armii Czerwonej. Szybkie postępy tej ofensywy spowodowały, że wyższy dowódca SS i policji we Wrocławiu SS-Obergruppenführer Ernst-Heinrich Schmauser wydał rozkaz ewakuacji więźniów KL Auschwitz. Ogółem w dniach 17-23 stycznia 1945 r. ewakuacją – głównie pieszą – objęto ponad 58 tys. więźniów z obozu macierzystego KL Auschwitz I, obozu Birkenau i 29 podobozów. W dwóch głównych obozach oświęcimskich i kilku podobozach pozostało niespełna 9 tys. więźniów, przeważnie krańcowo wyczerpanych i ciężko chorych, a także więźniarski personel szpitali obozowych.

Ewakuacja KL Auschwitz pochłonęła życie od 9 tys. do 15 tys. więźniów.

Ostateczna ewakuacja więźniów oświęcimskich stanowiła jeden z najtragiczniejszych rozdziałów historii KL Auschwitz. Przemarsze kolumn ewakuacyjnych przez Górny i Dolny Śląsk nazwano marszami śmierci. Zaśnieżone i oblodzone drogi zostały usłane zwłokami więźniów zmarłych z wyczerpania i wskutek przemarznięcia, a w jeszcze większej liczbie – zastrzelonych przez konwojujących ich esesmanów. Większość ewakuowanych skierowano dwiema głównymi trasami. Pierwsza, licząca 63 km, wiodła z Oświęcimia do Wodzisławia Śląskiego. Ewakuowano nią ok. 25 tys. więźniów. Druga, 55-kilometrowa, wiodła z Oświęcimia przez Mikołów do Gliwic. Przeszło nią co najmniej 17 tys. więźniów oświęcimskich. Ci, którzy do Wodzisławia Śląskiego i Gliwic dotarli, zostali odprawieni transportami kolejowymi do obozów koncentracyjnych w głębi Rzeszy. Jedną z najdłuższych tras – liczącą 250 km – przebyło 3,2 tys. więźniów z podobozu Neu-Dachs w Jaworznie, których ewakuowano w pieszym marszu do KL Gross-Rosen na Dolnym Śląsku. Ogółem ewakuacja KL Auschwitz pochłonęła życie od 9 tys. do 15 tys. więźniów.

Dzieci wyzwolone z KL Auschwitz, 27 stycznia 1945 r.

Teren obozu macierzystego KL Auschwitz I i obozu Birkenau był strzeżony przez stałe posterunki SS do 20 bądź 21 stycznia 1945 r. Wtedy pełniący jeszcze służbę na wieżach strażniczych esesmani w większości opuścili obóz. Nadal jednak teren obozowy patrolowały liczne oddziały SS. Przejeżdżały tamtędy również oddziały Wehrmachtu. 20 stycznia wysadzono budynki krematoriów II i III, natomiast 26 stycznia krematorium V. SS-Obergruppenführer Ernst-Heinrich Schmauser rozkazał unicestwić więźniów, którzy nie zostali objęci ewakuacją. Rozkaz ten nie został wykonany prawdopodobnie z powodu pośpiesznej ucieczki esesmanów,

eprasa.pl 4f71467cce

jednak doszło do kilku masakr na pozostałych więźniach.

20 lub 21 oraz 25 stycznia 1945 r. w obozie Birkenau zostało zamordowanych od 300 do 400 żydowskich więźniów i więźniarek przez specjalnie przybyłe w tym celu, nierozpoznane bliżej oddziały SS i funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa (SD). Masakr dokonano też w dniach 19-27 stycznia na ok. 400 więźniach podobozów oświęcimskich w Blachowni Śląskiej, Czechowicach, Gliwicach, Rydułtowach i Wesołej.

Wyzwoliciel z łagru

Zadanie wyzwolenia KL Auschwitz przypadło 60. armii 1. Frontu Ukraińskiego, gdy nacierała ona lewym brzegiem Wisły od Krakowa w kierunku Górnego Śląska. Wojska radzieckie otrzymały bliższe informacje o KL Auschwitz dopiero po wyzwoleniu Krakowa 18 stycznia 1945 r. i dlatego nie dotarły do Oświęcimia przed 27 stycznia. Na rozkaz dowódcy 60. armii gen. Pawła Kuroczkina trzy jej dywizje oskrzydliły formacje niemieckie w Oświęcimiu. Najszybsza była 100. dywizja strzelecka ze 106. korpusu. W sobotę, 27 stycznia, przed południem pierwsi jej zwiadowcy zjawili się we wschodnim rejonie Oświęcimia, gdzie znajdował się podobóz Monowitz. Tego samego dnia dotarła do miasta od północy 148. dywizja piechoty 106. korpusu, a od południowego wschodu 322. dywizja 28. korpusu 60. armii. Do centrum Oświęcimia żołnierze radzieccy weszli wczesnym popołudniem 27 stycznia. Następnie skierowali się w stronę obozu macierzystego i obozu Birkenau. Tylko przy pierwszym napotkali opór cofających się oddziałów niemieckich, który szybko przełamali. Oba obozy zajęli około godz. 15.

W bezpośrednich walkach o wyzwolenie Auschwitz, Birkenau i podobozu Monowitz oraz Oświęcimia i okolicy poległo 231 żołnierzy radzieckich.

W bezpośrednich walkach o wyzwolenie podobozu Monowitz, obozu macierzystego, obozu Birkenau oraz Oświęcimia i okolicy poległo 231 żołnierzy radzieckich, z których 60-70 zginęło w starciach w strefie obozowej. Znajdowali się wśród nich m.in. ppor. Gilmudin Badryjewicz Baszirow, narodowości tatarskiej, oraz dowódca 472. pułku piechoty, płk Siemen Lwowicz Biesprozwannyj. Większość poległych spoczęła na cmentarzu miejskim w Oświęcimiu. W obozie macierzystym, obozie Birkenau i podobozie Monowitz wyzwolenia doczekało ok. 7 tys. więźniów, w tym ponad 400 dzieci w wieku od kilku dni do 15 lat. Około 500 więźniów zostało wyzwolonych przed 27 stycznia w podobozach oświęcimskich w Blachowni Śląskiej, Jawiszowicach, Jaworznie, Libiążu, Starej Kuźni, Świętochłowicach i Wesołej. Na terenie obozowym KL Auschwitz i KL Birkenau żołnierze radzieccy znaleźli ok. 600 zwłok więźniów zastrzelonych przez esesmanów w trakcie wycofywania się z Oświęcimia oraz zmarłych w tym czasie z wycieńczenia.

Dowódca dywizji wyzwalającej Auschwitz, płk Fiodor M. Krasawin, w 1938 r. został skazany na 12 lat obozów pracy przymusowej.

Wyzwolenie KL Auschwitz było zasługą głównie 100. Lwowskiej Dywizji Strzeleckiej. Stała się ona bohaterką światowych mediów 27 stycznia 2015 r., kiedy ówczesny minister spraw zagranicznych Polski Grzegorz Schetyna ogłosił, że KL Auschwitz wyzwolili Ukraińcy. Z faktu, że dywizja miała w nazwie przymiotnik lwowska i działała w ramach 1. Frontu Ukraińskiego, minister wyciągnął bowiem wniosek, że służyli w niej głównie Ukraińcy. Jednakże dywizja miała nazwę lwowska dlatego, że pod koniec lipca 1944 r. zdobyła Lwów i została w ten sposób wyróżniona przez dowództwo, natomiast nazwa frontu była związana z kierunkiem operacyjnym jego działania, a nie z narodowością żołnierzy.

Żołnierze służący w 100. Lwowskiej Dywizji Strzeleckiej byli różnych narodowości, ponieważ ZSRR był państwem wielonarodowościowym. Dziennikarskie śledztwo sprowokowane przez szefa polskiej dyplomacji ustaliło, że 60% jej składu stanowili Rosjanie. Dywizja ta została sformowana 18 marca 1942 r. w Wołogdzie z żołnierzy pochodzących z obwodów wołogodzkiego, archangielskiego i autonomicznej Republiki Komi. Na pewno nie byli to więc Ukraińcy, którzy wcielani mogli być dopiero wtedy, gdy dywizja weszła do walk na Ukrainie. Początkowo 100. dywizja walczyła na Froncie Woroneskim, a następnie brała udział w operacjach: woronesko-kastornieńskiej, żytomiersko-berdyczowskiej, proskurowsko-czerniowieckiej, lwowsko-sandomierskiej, sandomiersko-śląskiej (podczas której wyzwoliła KL Auschwitz), morawsko-ostrawskiej i w praskiej operacji strategicznej, w czasie której uczestniczyła w wyzwoleniu Opawy i Pragi (6-11 maja 1945 r.). Od 28 stycznia 1944 r. do 11 maja 1945 r. dowódcą dywizji był płk Fiodor M. Krasawin, awansowany w listopadzie 1944 r. na stopień generała majora.

Późniejszy wyzwoliciel Auschwitz urodził się w 1896 r. w rodzinie rosyjskich chłopów w guberni jarosławskiej. Podczas I wojny

eprasa.pl 4f71467cce

światowej walczył w armii rosyjskiej, a podczas wojny domowej – w Armii Czerwonej. Po jej zakończeniu został zawodowym oficerem. W 1933 r. ukończył Akademię Wojskową Armii Czerwonej im. M. Frunzego. Tak jak wielu oficerów Armii Czerwonej stał się ofiarą Wielkiego Terroru (1937-1938). Aresztowano go w lipcu 1938 r. Trybunał wojskowy skazał go pod fałszywymi zarzutami na 12 lat obozów pracy przymusowej. W czerwcu 1940 r. Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR złagodziło ten wyrok do pięciu lat. Z łagru uwolniła go agresja Niemiec na ZSRR w 1941 r. Klęski i straty ponoszone przez stronę radziecką w pierwszej fazie wojny spowodowały, że Stalin sięgnął po kadry oficerskie uwięzione w GUŁagu. Fiodor Krasawin doczekał się zwolnienia z łagru w lutym 1942 r. i od razu został wysłany na front.

Dowodził m.in. 263. dywizją piechoty, która walczyła w Karelii, a następnie 100. dywizją strzelecką. Za wyzwolenie KL Auschwitz został odznaczony Orderem Aleksandra Newskiego. Po wojnie dowodził m.in. 26. Homelską Brygadą Strzelecką i garnizonem w Kazaniu. Na tym stanowisku gen. Krasawin zmarł w październiku 1948 r. w wieku 52 lat z powodu niewydolności serca. W 1968 r. został pośmiertnie zrehabilitowany przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR.

Szpitale dla więźniów

Część wyzwolonych więźniów oświęcimskich będących we względnie dobrym stanie fizycznym niezwłocznie opuściła obóz i udała się do rodzinnych miejscowości. Większość wymagała jednak natychmiastowej pomocy medycznej. Pośpieszyły im z pomocą radziecka wojskowa służba medyczna oraz społeczeństwo polskie. Szczególną rolę odegrał przy tym aktyw Polskiego Czerwonego Krzyża z Oświęcimia, Brzeszcz i Krakowa. Z Krakowa przybyła na teren KL Auschwitz najliczniejsza grupa ochotników PCK, wśród nich uczestnicy powstania warszawskiego. Dzięki nim na terenie byłego obozu obok radzieckich szpitali wojskowych powstał Szpital Obozowy PCK. Jego kierownictwo objął dr Józef Bellert. Wieloma chorymi więźniami zaopiekowały się też siostry serafitki w Oświęcimiu, przyjmując ich do swojego zakładu. Pod opieką tych szpitali znalazło się ponad 4,5 tys. byłych więźniów – obywateli ponad 20 państw. Wśród nich było ok. 960 obywateli polskich. Dużą grupę, 160-170 osób, stanowiły Polki wywiezione do KL Auschwitz z Warszawy podczas powstania warszawskiego. Wycieńczonych głodem pacjentów stopniowo przyzwyczajano do jedzenia, dawkując im posiłki niemal jak leki, np. zupę z przecieranych ziemniaków trzy razy dziennie po łyżce, a po pewnym czasie po kilka łyżek. Przez wiele tygodni po wyzwoleniu pielęgniarki znajdowały pod siennikami i materacami chleb, chowany obozowym zwyczajem przez niektórych chorych na następny dzień w niedowierzaniu, że wkrótce otrzymają nowe porcje. Niestety, nie wszystkich chorych udało się uratować.

Płk Fiodor M. Krasawin

Większość ocalonych więźniów opuściła radzieckie szpitale i Szpital Obozowy PCK w ciągu trzech-czterech miesięcy po wyzwoleniu. Setki osób, pochodzących spoza Polski, przewieziono do repatriacyjnych punktów zbornych i sanitarnych, które przygotowały polskie instytucje społeczne w Bielsku, Katowicach i Krakowie. Zanim ludzie ci udali się do swoich miejsc zamieszkania, zwrócili się do światowej opinii publicznej z kilkoma rezolucjami, w których piętnowali zbrodnie hitlerowskie, ostrzegali przed niebezpieczeństwem ich powtórzenia oraz wzywali do przeciwdziałania temu zagrożeniu. W jednej z takich rezolucji – podpisanej przez 27 osób reprezentujących inteligencję różnych krajów – czytamy w zakończeniu: „Jako wyzwoleni więźniowie zawdzięczamy życie bohaterskiej Armii Czerwonej i prosimy międzynarodową społeczność i wszystkie rządy o przyjęcie tego do wiadomości i wyrażenie wdzięczności w naszym imieniu”[1].

Faktu tego negować nie można. Hołd wyzwolicielom KL Auschwitz – niezależnie od takich czy innych ocen wyzwolenia ziem polskich w latach 1944-1945, formułowanych czy to przez historyków, czy przez dziennikarzy, czy przez polityków – oddaje stała ekspozycja na wystawie rosyjskiej w bloku 14. w Muzeum Auschwitz-Birkenau. Nieopodal zbiorowej mogiły ostatnich ofiar KL Auschwitz przy ulicy Więźniów Oświęcimia znajduje się też obelisk z napisem: „Żołnierzom Armii Radzieckiej – oswobodzeni 1945”. Jest to chyba ostatni albo jeden z ostatnich pomników Armii Czerwonej w Polsce. Nikt dotychczas nie zarzucił, że propaguje on totalitaryzm.

Zbrodnia w Przyszowicach

Jeśli jednak mówimy o wyzwoleniu przez Armię Czerwoną i jej zwycięstwie nad niemieckim nazizmem, to – nie podważając tego faktu – trzeba również powiedzieć o jego drugiej stronie. Wymaga tego uczciwość historyczna. Tego samego 27 stycznia 1945 r., kiedy czerwonoarmiści otwierali bramy KL Auschwitz, ich koledzy dokonali zbrodni wojennej w Przyszowicach w powiecie gliwickim. Przyszowice były ostatnią polską wsią przed granicą z Niemcami, przyłączoną do

Jako wyzwoleni więźniowie zawdzięczamy życie bohaterskiej Armii Czerwonej i prosimy międzynarodową społeczność i wszystkie rządy o przyjęcie tego do wiadomości.

eprasa.pl 4f71467cce

Macierzy po plebiscycie w 1921 r. Mieszkało tu wielu powstańców śląskich i działaczy plebiscytowych. Czerwonoarmiści pomylili kierunki i wkroczyli do Przyszowic od strony Gliwic. Wydawało im się, że są na terytorium przedwojennych Niemiec i będą mogli wziąć odwet na ludności za agresję Hitlera na Związek Radziecki. Do wychodzących im na powitanie mieszkańców strzelali bez ostrzeżenia i bez tłumaczeń. Zginęło co najmniej 69 osób w wieku od 10 do 78 lat, w tym kilku Żydów węgierskich i włoskich – więźniów KL Auschwitz – których Polacy z Przyszowic ukryli podczas marszu śmierci. W pobliskich Gierałtowicach czerwonoarmiści wymordowali siedmioosobową rodzinę, a w Gliwicach i okolicy od stycznia do końca wiosny 1945 r. aż 800 osób – Niemców i Ślązaków. Do podobnych zbrodni doszło też w Miechowicach koło Bytomia, w Raciborzu i innych miejscowościach. Żądni odwetu na Niemcach żołnierze radzieccy mordowali niejednokrotnie słowiańską ludność Górnego Śląska[2].

Na terenie byłego KL Auschwitz powstały dwa obozy NKWD. Pierwszy funkcjonował w byłym obozie macierzystym KL Auschwitz I od wiosny do jesieni 1945 r. i przetrzymywano w nim wyłącznie jeńców niemieckich. W nomenklaturze NKWD określany był jako łagier nr 22. Drugi – formalnie też jeniecki, określany jako łagier nr 78 – został założony w obrębie byłego obozu kobiecego na odcinkach Bla i Blb KL Auschwitz II-Birkenau. Istniał od wiosny 1945 do wiosny 1946 r. Jednakże do przełomu lata i jesieni 1945 r. więziono w nim także osoby cywilne pochodzące z Górnego Śląska i Podbeskidzia. W obozach tych przebywało łącznie nie mniej niż 25 tys. osób. Ich komendantem był pułkownik o nazwisku Masłobojew. Były to obozy przejściowe, w których umieszczano głównie jeńców niemieckich przed ich deportacją do łagrów w ZSRR.

Wiosną 1945 r. polskie władze wojewódzkie w Katowicach zostały poinformowane przez internowanych, którzy potajemnie wysłali list do wojewody śląskiego, gen. Aleksandra Zawadzkiego, że w obozach NKWD w Oświęcimiu przebywa 12 tys. Polaków – osób cywilnych i jeńców byłej armii niemieckiej. W rezultacie interwencji wojewody Zawadzkiego w drugiej połowie sierpnia i we wrześniu 1945 r. Rosjanie zwolnili dużą liczbę (podobno 10 tys.) internowanych cywilów i jeńców wojennych.

Napis na obelisku przy ul. Więźniów Oświęcimia.

W Oświęcimiu istniał też po wyzwoleniu obóz powiatowego urzędu bezpieczeństwa publicznego. Utworzono go niedaleko dworca kolejowego, na terenie byłego Gemeinschaftslagru, w którym w latach wojny przebywali robotnicy polscy pracujący przymusowo przy pracach budowlanych na terenie KL Auschwitz. Według zapisów zgonów w księgach parafii rzymskokatolickiej Matki Bożej Królowej Polski w Oświęcimiu-Brzezince od 20 kwietnia 1945 r. do lutego 1945 r. odnotowano w obozie PUBP śmierć prawie 150 osób, pochodzących głównie z okolic Bielska-Białej i z Górnego Śląska[3].

•

Mówiąc o wyzwoleniu KL Auschwitz, trzeba widzieć całość – nie tylko bohaterskich czerwonoarmistów wyzwalających obóz, ale także powstałe na terenie wyzwolonego KL Auschwitz obozy NKWD oraz masakry Armii Czerwonej na ludności słowiańskiej i niemieckiej pobliskiego Górnego Śląska. Jedno nie unieważnia drugiego i nie odbiera chwały wyzwolicielom KL Auschwitz. Musimy zrozumieć całą złożoność tych wydarzeń, a nie wybierać z nich tylko jeden element, jak robi to z jednej strony polska polityka historyczna, która chciałaby widzieć przeważnie negatywne strony działań Armii Czerwonej na ziemiach polskich, a z drugiej – rosyjska polityka historyczna, wedle której bohaterskie czyny Armii Czerwonej mają zmazać czyny haniebne i zbrodnie radzieckie.

Historia nigdy nie jest czarno-biała. Zawsze jest trudna, czasem skomplikowana w stopniu przekraczającym wyobrażenia i oczekiwania osób, które widzą w historii jedynie narzędzie propagandy uzasadniającej jakąś politykę. Tak też jest z historią Polski w latach 1944-1945 i później. Czarno-biała jest historia tylko dla polityki historycznej, która z wielu wątków wybiera pasujący jej i na nim buduje tendencyjną narrację. Prezydent Bronisław Komorowski podczas uroczystości rocznicowych wyzwolenia Kołobrzegu w marcu 2015 r. trafnie zauważył, że żołnierze Armii Czerwonej nie mogli przynieść wolności, ponieważ sami nie mieli jej w ojczyźnie, ale powinniśmy ich szanować za trud żołnierski i – dodam – za uwolnienie spod niosącej śmierć okupacji niemieckiej, w tym za wyzwolenie KL Auschwitz. Nie oznacza to jednak, że mamy milczeć na temat tego, co nie przyniosło im ani ich ówczesnemu państwu chwały. Szkoda, że tym tropem nie poszła polska polityka historyczna po 2015 r.

Bohdan Piętka

W Przyszowicach radzieccy żołnierze strzelali do wychodzących im na powitanie mieszkańców. Zginęło co najmniej 69 osób w wieku od 10 do 78 lat.

[1] Cyt. za: A. Strzelecki, *Ewakuacja, likwidacja i wyzwolenie KL Auschwitz,* Oświęcim 1982, s. 222-223.

[2] *Zbrodnie wojenne Armii Czerwonej na Ślązakach – pierwsze śledztwa*, www.wiadomosci.wp.pl, 6.10.2005; *IPN: zbrodnie Armii Czerwonej w Gliwicach do umorzenia*, www.tvp.info, 23.01.2009.

[3] A. Cyra, *Obozy NKWD i UB w Oświęcimiu*, Wprawnym Okiem Historyka, www.cyra.wblogu.pl; M. Jankowski, *Sierp i młot nad Oświęcimiem*, „Focus Historia" 11/2016.

FOT. EAST NEWS, ARCHIWUM PRYWATNE, ARCHIWUM

eprasa.pl 4f71467cce

Na ludzkiej ziemi Persów

Żołnierze Andersa i ich rodziny w Iranie czuli się po prostu dobrze. Wielka w tym zasługa miejscowej ludności

Krzysztof Wasilewski

Dziesiątki tysięcy polskich tułaczy, których wojenna zawierucha rzuciła do Iranu w połowie 1942 r., wspominało ten kraj z sentymentem. Nie tylko dlatego, że mogli tam w końcu najeść się i odpocząć. Także dlatego, że w Iranie czuli się po prostu dobrze. Wielka w tym zasługa miejscowej ludności, która po początkowych oporach otworzyła się na polskich uchodźców.

Ewakuacja

„W Iranie klimat oraz zapewniona pomoc amerykańsko-brytyjska dałyby może w krótkim czasie przyjść ludziom do siebie i sformować silną armię", zasugerował gen. Władysław Anders podczas rozmowy z Wiaczesławem Mołotowem 3 grudnia 1941 r. W tym czasie możliwość wyprowadzenia polskiej armii z ZSRR traktowano jeszcze jako straszak, którym chciano wymusić na władzach radzieckich lepszą aprowizację polskiego wojska. Strategia Andersa zadziałała jedynie na chwilę. Mimo początkowej poprawy w zaopatrzeniu polskich oddziałów wkrótce problemy wróciły ze zdwojoną siłą, podobnie jak choroby. W rezultacie podczas wizyty u Stalina 18 marca 1942 r. Anders ponownie nawiązał do pomysłu ewakuacji polskiej armii do Iranu, na co przywódca ZSRR chętnie się zgodził.

Skąd ta zmiana na Kremlu? Między grudniem 1941 r. a marcem 1942 r. znacząco poprawiła się pozycja militarna Związku Radzieckiego. Ofensywa niemiecka została zatrzymana, Armia Czerwona zaczęła przejmować inicjatywę w niektórych miejscach, wreszcie też pojawiła się alternatywa dla polskiego rządu na wychodźstwie i jego wojska. Jak trafnie zauważył historyk prof. Andrzej Paczkowski, „kierownictwo Kremla uznało, że z politycznego punktu widzenia nieobecność armii polskiej na froncie wschodnim będzie dla ZSRR dogodniejsza: rozwiązał się problem niechcianego sojusznika, co – w ich przekonaniu – zwalniało z jakichkolwiek zobowiązań wobec Polski". W ten sposób rozpoczęła się epopeja kilkudziesięciu tysięcy wojskowych i cywilów, która przywiodła ich do Iranu.

Centrum polskiego życia na Bliskim Wschodzie

Na przełomie marca i kwietnia 1942 r. irański port Pahlawi stał się centrum polskiego życia na Bliskim Wschodzie. To tutaj przybijały kolejne transporty z żołnierzami armii gen. Andersa i ich rodzinami. Łącznie do końca czerwca na perskiej ziemi znalazło się ok. 70 tys. wojskowych i 40 tys. ludności cywilnej. Miejscowi nigdy wcześniej nie widzieli takiej mieszanki narodowości i języków. „Element uchodźczy jest rozmaity – pisała polska prasa. – Przybyli Polacy i Żydzi, jest też pewna ilość Ukraińców i Białorusinów. (...) Należy podkreślić, że opieka Delegatury nad uchodźcami jest pod względem traktowania jednakowa. Takie samo miejsce w obozie zajmuje chłop, robotnik, jak profesor uniwersytetu. Z punktu widzenia politycznego nie ma absolutnie żadnych różnic. Tak samo nie ma żadnych różnic wyznaniowych czy narodowościowych. Wszyscy są traktowani równo".

Do końca czerwca 1942 r. na perskiej ziemi znalazło się ok. 70 tys. polskich żołnierzy i 40 tys. ludności cywilnej.

Nastroje panujące wśród Polaków i reakcje na ich przybycie ze strony Persów możemy poznać dzięki zapiskom st. szer. Franciszka Machalskiego, absolwenta orientalistyki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. „Pociągami i statkami, poprzez surowe stepy Kazachstanu, żółte piaski pustyni Karakorum i Morzem Kaspijskim podążano do Iranu. Podróż z Krasnowodzka wybrakowanymi okrętami odbywała się wśród torsji choroby morskiej i ustawicznego lęku przed nalotami bombowców niemieckich", zaczynał swoją opowieść Machalski.

Każda koszula to skarb

Po przybyciu do Iranu wszyscy musieli odbyć kwarantannę w specjalnych obozach, znajdujących się pod kontrolą Brytyjczyków. Większość żołnierzy i cywilów, którzy trafili do Iranu, była poważnie niedożywiona, wielu cierpiało na różne choroby, a prawdziwą plagę stanowiły szkorbut i krwawa biegunka. Część, zwłaszcza dzieci, zapadła na tyfus plamisty, którego wyleczenie graniczyło w ówczesnych warunkach z cudem. Wszyscy zaś bez wyjątku – chorzy i zdrowi – musieli sobie radzić z brakiem żywności i ubrań. Machalski wspominał: „Wszystek niemal czas wypełniała naszym ludziom pogoń za jedzeniem, walka ze wszawicą i świerzbem oraz niemal bójki o każdy kawałek świeżej odzieży, zastępującej brudne i śmierdzące łachmany".

O niełatwych początkach Polaków w Iranie pisała również emigracyjna prasa. W maju 1942 r. „Gazeta Polska" wydrukowała reportaż z obozów, apelując o pomoc dla uchodźców: „Wielką ulgę dla pozbawionych bielizny uchodźców stanowić będzie fakt sprowadzenia do obozów 300 maszyn do szycia. Będą tam zatrudnione krawczynie, których – przypadkowo – jest na miejscu spora ilość. Niemniej pomoc z innych ośrodków uchodźczych jest konieczna i powinna jak najrychlej doprowadzić do wysyłki nieodzownej bielizny. Każda koszula to dla uchodźcy skarb! Uchodźcy nie mają bielizny na zmianę, a często w ogóle bielizny nie mają".

Równie poważny problem stanowiło zaopatrzenie w żywność. „Każdy przydział żywności był ewenementem: biały chleb, australijska margaryna, daktyle, ser żółty, konserwy mięsne i ryby, ryż i jajka gotowane, wreszcie papierosy – rzeczy

eprasa.pl 4f71467cce

nieoglądane przez wiele długich miesięcy, a przez niektórych widziane pierwszy raz w życiu", zapisał Machalski. Dla tysięcy wygłodniałych ludzi swobodny dostęp do jedzenia stał się symbolem wolności, z której chcieli natychmiast czerpać pełnymi garściami. Szybko jednak okazało się, że cierpieć można nie tylko z braku jedzenia, ale również od jego nadmiaru: „Euforia pierwszych dni spędzonych w nowych zupełnie warunkach została rychło zmącona nawrotną falą udręki. Nagła zmiana pożywienia i względna obfitość pokarmów odbijały się fatalnie na zdrowiu wojennych tułaczy. Szczególnie mocno cierpiały kobiety i dzieci".

Zupę w obozie w Pahlawi gotowało się w wielkich kotłach, kwiecień 1942 r.

Ewakuacja Armii Andersa, 1942 r.

Polskie miasteczka

Mimo początkowych trudności Polacy szybko przywykli do nowych warunków. W jednym z reportaży z maja 1942 r. Józef Czapski, żołnierz armii Andersa, później związany z paryską „Kulturą", notował: „Ostatnie wrażenia z podróży nagrodziły mi wiele trudnych chwil w życiu. Odwiedziłem obozy nasze pod Teheranem. Kobiety i dzieci polskie tam zebrane zgotowały mi przyjęcie bardzo serdeczne. Widziałem przy tym, że większość z nich, po przebytych trudach podróży, dzięki bardzo dobremu odżywianiu, doszła do bardzo dobrego wyglądu fizycznego. Największą radość sprawił mi wygląd dzieci – wesoły i zdrowy".

Dzięki pomocy Brytyjczyków i sprytowi Polaków „polskie miasteczka" szybko stały się najlepiej zaopatrzonymi miejscami w całym Iranie. Trudno zatem się dziwić, że miejscowa ludność podchodziła do przybyszów z nieufnością, a często nawet z wrogością. Prof. Anna Krasnowolska z Instytutu Orientalistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego przypomina, że „gdy do Iranu weszła armia polska, a wraz z nią wielotysięczna rzesza cywilnych Polaków ocalonych z rosyjskich łagrów i zsyłek, dochodziło do codziennych kontaktów z miejscową ludnością na wielu płaszczyznach. Były to jednak kontakty zazwyczaj powierzchowne ze strony Irańczyków, często podszyte niechęcią, jaką żywili do aliantów, ze strony Polaków – negatywnymi stereotypami dotyczącymi świata islamu".

Miejscowa prasa obwiniała polskich uchodźców o topniejące zapasy żywności, a w konsekwencji o rosnące ceny, których Irańczycy nie byli w stanie zapłacić. „Jest rzeczą bezbożną czynić dar z lampy niezbędnej w domu lub w meczecie", upominała gazeta „Mehr-e Iran" („Słońce Iranu"), sugerując, że przy ogólnych trudnościach aprowizacyjnych, zamiast wspierać przybyszów, należało się skupić na własnych potrzebach. Przeciwko goszczeniu armii gen. Andersa wypowiadali się także niektórzy członkowie irańskiego parlamentu. Największe nasilenie antypolskiej akcji propagandowej nastąpiło na przełomie października i listopada 1942 r. Później głosy nieprzychylne polskim uchodźcom nadal były słyszalne w debacie publicznej, lecz starano się je wyciszać.

Dla tysięcy wygłodniałych ludzi swobodny dostęp do jedzenia stał się symbolem wolności.

Rywalizacja o kobiety

Kolejnym powodem niesnasek była męska rywalizacja o płeć piękną. Jak wspominał Machalski, „kobiety polskie cieszyły się u Irańczyków wielkim zainteresowaniem. Toteż sporo z nich korzystało chętnie z towarzystwa perskich młodzieńców. W niejednym wypadku kończyło się to wyjściem za mąż za Persa. Los małżeństw polsko-perskich był i jest do dzisiaj bardzo różny, nieraz bardzo daleki od wymarzonego przez młodą dziewczynę polską ideału w postaci bogactwa, ułatwionego życia itp. Jedne rozpadły się po krótszym lub dłuższym okresie, inne utrzymały się do dziś".

Swobodne zachowanie kobiet – zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę ogrom tragedii, które przeszły – budziło zazdrość i niepokój męskiej części polskiej społeczności. Pewien wojskowy zapisał w czerwcu 1943 r.: „Smutną osobliwością naszego wygnania są liczne obławy na polskie kobiety uciekające z obozów bez przepustek i pozostające w mieście nocą po godzinach dozwolonych. Policja wojskowa polska i angielska wyławia takie kobiety poszukujące

FOT. FUNDACJA OŚRODKA KARTA

eprasa.pl 4f71467cce

przygód w gorącym klimacie Iranu podczas ciemnych nocy, wsadza bezceremonialnie do policyjnego auta i odstawia do właściwego obozu, gdzie amatorki niedozwolonych uciech idą pod klucz na czas jakiś. Traktowanie tych kobiet przez policję angielską jest szczególnie brutalne. Aresztantkom golą z zasady włosy".

Przedsiębiorcze Polki

Chociaż mężczyźni narzekali na kobiety, właśnie one szybciej i lepiej przystosowały się do nowych warunków. Gdy tylko zatem minął okres kwarantanny, wiele Polek najęło się jako szwaczki lub służba u bogatych miejscowych rodzin. Była to nie tyle doskonała okazja do zarobienia pieniędzy, ile przede wszystkim możliwość wyrwania się z obozowej rzeczywistości i powrotu do życia we względnie normalnych warunkach. Jedna z takich przedsiębiorczych Polek, Maria Maciąg, zapisała w pamiętniku: „Jestem w prawdziwie perskim domu. (...) Piękne posadzki, lustra, dywany, wspaniałe wygodne fotele, na biurkach stoją elektryczne wiatraczki do wachlowania, duże okna, firanki – Europa! Pan D. bardzo uprzejmie mię przywitał, był zażenowany, że zna słabo francuski, a zupełnie nie zna rosyjskiego. (...) Kalecząc język, powiedział mi po francusku, że jest bardzo zadowolony, że zgodziłam się być w jego domu, że postarają się, by mi było dobrze. Odpowiedziałam coś równie uprzejmego, że będę się starała ich zadowolić. Miał on na sobie brązowy, jedwabny szlafrok, luźny – nogi bose – i nic pod szlafrokiem, co stwierdziłam przypadkowo w godzinę później, gdy spał po obiedzie".

W innym miejscu pamiętnika niczym zawodowa etnografka zanotowała: „Dom, w którym obecnie jestem, to Persja w miniaturze. Państwo opływają w dostatki, a służba głoduje, chodzi w łachmanach. I co dziwniejsze – obie strony uważają to za rzecz normalną. Dziś przyjechała do nich jakaś kuzynka, ale chyba biedna, bo ma połatane suknie. Przyjrzałam się im, gdy je prałam. Mówi trochę po rosyjsku. Mieszkała dawniej w Baku i w Tyflisie. Moje panie śmieją się z niej, wąchają jej suknię, krzywią się, odrzucają ze wstrętem, że czuć ją potem, że brudna".

Mówi się po polsku

O poprawne stosunki między swoimi podwładnymi a Irańczykami starał się zadbać gen. Anders. Tuż po przylocie do Teheranu generał spotkał się z szachem, aby omówić warunki pobytu Polaków. „Podziękowałem mu za życzliwość, z jaką władze i naród perski przyjęły naszą ludność cywilną i żołnierzy. Na ulicach Teheranu można było już spotkać grupki Polaków. Kiedy pytałem, jakie jest ich najsilniejsze przeżycie w nowych warunkach, wszyscy odpowiadali, że po latach ciągłej zmory poczucie, że są na wolności", wspominał już po wojnie.

Pozytywny obraz stosunków polsko-irańskich rysowały doniesienia emigracyjnej prasy. Być może na wyrost reportażysta „Gazety Polskiej" przekonywał swoich czytelników: „Społeczeństwo perskie daje też pomoc materialną uchodźcom. W perskich lokalach rozrywkowych rozbrzmiewa polska muzyka, na oknach wystawowych sklepów widnieją napisy: »Mówi się po polsku«. Jest to jedyny wyjątek, gdyż w Persji mówi się wyłącznie po persku".

W miarę upływu czasu relacje między polskimi uchodźcami a Irańczykami znacznie się poprawiały. W liście do redakcji „Gazety Polskiej" Maria Baake pisała: „A gościnność perska, ich niezwykła życzliwość dla wielotysięcznych rzesz obywateli polskich, zwłaszcza w ciężkich, wojennych czasach, przechodzi wszelkie oczekiwanie i czyni ten, nieznany dotąd bliżej, naród najlepszym przyjacielem, którego serdeczności i życzliwości, okazywanej nam na każdym kroku, nie zapomnimy nigdy. Ta gościna tysięcy Polaków w Persji – już teraz to widzimy – zadzierzgnęła między tymi dwoma narodami najwyższe i najprawdziwsze węzły sympatii i przyjaźni: ze strony narodu perskiego sympatia ta popierana jest stale mnóstwem dowodów, ze strony ludności polskiej objawia się przede wszystkim w głębokiej wdzięczności, a następnie w szczerym pragnieniu zbliżenia się do tego gościnnego kraju i poznania go, jego miast i pamiątek, jego muzeów i architektury, jego starej, wspaniałej sztuki i kultury".

Największe nasilenie antypolskiej akcji propagandowej nastąpiło na przełomie października i listopada 1942 r.

Początek przyjaźni

Na potwierdzenie coraz lepszych stosunków w 1943 r. powołano do życia Towarzystwo Polsko-Irańskie. Na jego czele stanął gen. Fathollah Nur Esfandijari, a jego zastępcą został poseł Karol Bader. Wśród głównych celów działalności wymieniano pogłębianie współpracy oraz popularyzację wiedzy o obu krajach. Kończąc działalność jesienią 1945 r., Towarzystwo Polsko-Irańskie mogło się pochwalić organizacją ponad 90 wykładów, które każdorazowo przyciągały liczne grono słuchaczy. Biblioteka założona i prowadzona w ramach działalności towarzystwa miała około tysiąca woluminów.

Większość żołnierzy Andersa i towarzyszących im cywilów z sentymentem wspominała pobyt w Iranie. Zdołano nawiązać co najmniej poprawne relacje, które bez wątpienia zaważyły na przyszłych pozytywnych stosunkach między oboma państwami. Jako podsumowanie perskiego etapu wojennej tułaczki mogą posłużyć słowa artykułu opublikowanego we wrześniu 1946 r. na łamach emigracyjnego „Skauta": „Stara perska gościnność pozwoliła nam czuć się w kraju Lwa i Słońca jak najlepiej. Mimo pozorów, narzucanych warunkami politycznymi i wrogą nam propagandą, Persowie w głębi duszy byli od początku i pozostali do końca niezmiernie nam życzliwi. Wrodzona u Persów nieufność do obcych w zetknięciu z Polakami okazywała się często bardzo giętka. Płynęło to na pewno z przekonania, że nas z nimi nic właściwie nie dzieli, przeciwnie – wiele łączy. Toteż wspomnienie słonecznego kraju i gościnnych ludzi pozostanie w sercach naszych na całe życie".

Krzysztof Wasilewski

Bibliografia

Franciszek Machalski, *Z ziemi perskiej do Polski. Wybór tekstów*, Kraków 2016.

Polacy w Iranie 1942-1945, t. 1, oprac. Andrzej K. Kunert, Warszawa 2002.

eprasa.pl 4f71467cce

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Pamiętajmy o Róży Luksemburg

Była jedną z najbardziej niezwykłych przedstawicielek swojego pokolenia, wykształconą, odważną, nieprzeciętną w skali Europy, pierwszą Polką z doktoratem z ekonomii – drugą z doktoratem w ogóle – kiedy jeszcze w większości krajów europejskich kobiety nie miały wstępu na studia (a słowo studentka było bardzo śmieszne, bo nie istniały takie osoby). Jest do dzisiaj jedną z dwóch najbardziej (wyłącznie) powszechnie rozpoznawalnych Polek w historii świata (obok Marii Skłodowskiej-Curie). Przed dwoma laty w akcie kretyńskiej, analfabetycznej kulturowo dekomunizacji skuto ze ściany domu w jej rodzinnym Zamościu tablicę upamiętniającą jej istnienie. Była autorką słów „Socjalizm albo barbarzyństwo". Została zamordowana w 1919 r. w Berlinie, wydana po aresztowaniu przez policję skrajnie prawicowym bojówkarzom, którzy – choć nieanonimowi – nigdy nie ponieśli żadnej odpowiedzialności. Po chwili budowali z Hitlerem niemiecki faszyzm.

Róża Luksemburg. Nad jej życiem, śmiercią i dziełem (tysiącami zapisanych w kilku językach stron) trwa w Polsce grobowa cisza. Ale w tym milczeniu nie ma przypadku. Była socjalistką, rewolucjonistką, działaczką ruchu robotniczego, krytyczką Lenina, działaczką antywojenną, myślicielką. Właściwie każde z tych słów opisuje jej dzisiejszą nieobecność w polskiej debacie, historii. Jej ogromną, dojmującą nieobecność. Wszystko, co było dla niej ważne, a co w wyniku ponadstuletnich walk, strajków, za cenę prześladowań udało się wywalczyć dla świata ludzi pracy – jest w Polsce od dawna metodycznie i w świetle dnia demolowane: prawa pracownicze, równościowe reguły uczestniczenia w polityce, rozwiązania oparte na sprawiedliwości społecznej. W miejsce takiej wizji – emancypacyjnej, równościowej – mamy „wolnorynkowy" wyścig szczurów, uprzywilejowanie najpotężniejszych i najbogatszych, niesprawiedliwość podatkową, zmasakrowane prawa pracowników, czarny rynek pracowników z Ukrainy, zapaść mieszkaniową i powiększające się zastępy „pracujących ubogich".

Oczywiście nie mam złudzeń, że sama pamięć o Czerwonej Róży byłaby wystarczającym remedium na bolączki polskiego narodowo-katolickiego kapitalizmu. Ponieważ jednak staje się coraz bardziej konieczne podjęcie próby zmiany tego kursu, samo przypomnienie, przypominanie, nowe odczytanie i obecność jej postaci wydają się ważne i niezbędne. Z drugiej strony nasza bezradność opiera się też na dojmującej irracjonalności polskiej polityki lub pozornej irracjonalności, za którą skrywają się tak naprawdę potężni aktorzy, którym ta irracjonalność nie krępuje w żaden sposób ruchów w rosnącej wykładniczo „akumulacji kapitału", żeby użyć tytułu komentowanej do dziś na światowych uniwersytetach pracy Róży z Zamościa.

W ostatnich dniach byliśmy świadkami niezbyt znaczącego, wydawałoby się, wydarzenia, jakim w szerokim kontekście i globalnym wymiarze jest zmiana na stanowisku szefowej jednej z komisji sejmowych w polskim parlamencie. Magdalena Biejat z Lewicy, pełniąca dotąd funkcję przewodniczącej Komisji Polityki Społecznej i Rodziny, została głosami pisowskiej większości odwołana pod absurdalnymi zarzutami. Bo „nie ma doświadczenia parlamentarnego", źle organizuje prace komisji – choć większość komisji zarządzanych przez PiS pracuje rzadziej i wolniej, ma złe, niepolskie, niekatolickie poglądy na rodzinę – choć samą rodzinę ma OK. Zmusza też posłów do pracy, wyobraźcie to sobie, w piątki o godz. 15, a Konfederacja Przedsiębiorców i Pracodawców Lewiatan krytykuje prospołeczne projekty Lewicy dotyczące wypłacania najniższej, minimalnej emerytury w wysokości 1,6 tys. zł najuboższym emerytom. Dla propagandowo „prospołecznego" PiS Lewiatan jest partnerem, a posłanka Lewicy, wybrana w uzgodnieniach międzyklubowych – absolutnie nie. Na jej miejsce powołano Urszulę Rusecką, partyjną, leniwą działaczkę o skrajnie konserwatywnych poglądach: krytykującą strajk nauczycieli, przeciwniczkę aborcji – aborcję uważa za największe zagrożenie dla światowego pokoju, w przemówieniach powołuje się na matkę Teresę, katolicką świętą...

Można by zapytać, co ma piernik do wiatraka, co ma Biejat do Luksemburg. Ano ma to, że dzieło pokoleń, które zapłaciły za tę walkę o ucywilizowanie pracy w kapitalizmie, o prawo do strajku, odpoczynku i ludzkich warunków pracy, o ośmiogodzinny dzień pracy, latami więzienia, zsyłek, własnym życiem – jest wyrzucane na śmietnik. Że nasze prawa jako pracowników są demolowane systematycznie i krok po kroku. Róża Luksemburg z tym walczyła. Mam głębokie przekonanie, że dzisiejsza Lewica odrobi tę lekcję. I że Magdy Biejat uciszyć się nie da, zabierając jej stanowisko głosami konformistycznych aparatczyków.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4f71467cce

Bez głosu w Ameryce

Administracja Donalda Trumpa robi wszystko, by ograniczyć prawa wyborcze wielu obywateli USA

„Zarejestruj się wcześnie, żeby zagłosować", inaczej możesz mieć z tym problem.

Mateusz Mazzini

W Stanach Zjednoczonych kampania prezydencka trwa w najlepsze. Polityczny cyrk obwoźny z napisem „Reelekcja Donalda Trumpa" ruszył w kraj, spotykając się nie tylko z potencjalnymi wyborcami, ale przede wszystkim z darczyńcami i grupami zawodowymi mogącymi wesprzeć kampanię. I właśnie podczas takiego spotkania, trochę przez przypadek, wyszedł na jaw jeden z fundamentów planu obozu obecnego prezydenta na pozostanie w Białym Domu na kolejne cztery lata.

21 listopada 2019 r. w Wisconsin ze sztabowcami Trumpa spotkali się przedstawiciele stanowego oddziału Republikańskiego Zrzeszenia Prawniczego. Jednym z głównych prelegentów był Justin Clark, wpływowy doradca prezydenta, znany z bezkompromisowej taktyki politycznej i kontrowersyjnych wypowiedzi. Już po kilku minutach wystąpienia udowodnił, że miano lidera ofensywy kampanijnej w obozie republikańskim nie zostało mu nadane przypadkowo. Opowiadając o taktyce na tegoroczne wybory, bez ogródek powiedział, że będzie oparta na jak najbardziej wyrafinowanym utrudnianiu oddania głosu całym grupom społecznym. Dodał też, że nie widzi w tym nic złego, bo „republikańską tradycją jest opieranie się na ograniczaniu praw wyborczych w celu zdobycia przewagi w Waszyngtonie i chronienia w ten sposób swojego elektoratu".

Justin Clark, doradca Trumpa, powiedział, że taktyka wyborcza będzie oparta na utrudnianiu oddania głosu całym grupom społecznym.

Clark natychmiast zaprzeczył, że takie słowa padły, co zabrzmiało o tyle niewiarygodnie, że został w Wisconsin nagrany, a w posiadanie taśmy weszła agencja Associated Press. Co więcej, choć wypowiedź Clarka była politycznie niepoprawna i mogła go kosztować miejsce w sztabie wyborczym, większość amerykańskich ekspertów i komentatorów politycznych jest akurat zgodna, że powiedział prawdę. Zresztą niemal od razu potwierdziły to decyzje sądowe w wielu miejscach Ameryki.

28 grudnia, niecały miesiąc po głośnym wystąpieniu Clarka, sąd federalny w stanie Georgia wydał wyrok w sprawie tamtejszych spisów wyborców. Położony na południu stan, będący symbolem walki czarnych obywateli USA o ich prawa obywatelskie, od zawsze uchodził za miejsce, w którym głos w wyborach oddać najtrudniej w całym kraju. Zwłaszcza jeśli jest się przedstawicielem mniejszości etnicznej lub innej marginalizowanej grupy społecznej. Tym razem postępowanie sądowe dotyczyło decyzji władz stanowych o wykreśleniu ponad 313 tys. mieszkańców Georgii (ok. 2% populacji całego stanu) z rejestrów wyborczych. Podstawą było wprowadzone z inicjatywy republikańskiego sekretarza stanu Brada Raffenspergera nowe prawo o tzw. kontakcie ze stanem. Jeżeli osoba zarejestrowana jako wyborca w Georgii nie weszła w interakcję z władzami stanowymi ani razu w ciągu ostatnich siedmiu lat – nie płaciła tu podatków, nie głosowała stąd w wyborach federalnych – wówczas zostaje pozbawiona praw wyborczych na tym terenie.

Przeciwko ustawie Raffenspergera zaprotestowała Stacey Abrams, polityczka Partii Demokratycznej i jedna z najaktywniejszych działaczek na rzecz powszechnego prawa wyborczego w całych Stanach Zjednoczonych. Za pomocą założonej przez siebie grupy wpływu Fair Fight Action (Akcja na rzecz Uczciwej Walki) natychmiast zaskarżyła dokument do sądu federalnego, argumentując, że narusza

eprasa.pl 4f71467cce

on konstytucję i prawa obywateli do wyboru prezydenta i przedstawicieli w Kongresie. Jej zdaniem na liście sporządzonej przez Raffenspergera było co najmniej 120 tys. osób, które zostały wpisane na podstawie fałszywych lub niepełnych danych. Osoby te powinny więc zostać przywrócone do spisu wyborczego. Apelacja została jednak odrzucona, bo sędziowie nie znaleźli podstaw do powtórnej analizy danych wyborczych.

Decyzja z Georgii jest o tyle ważna w kontekście walki republikanów z demokratami, że jest to jeden z najrówniej podzielonych politycznie i spolaryzowanych stanów, w którym Afroamerykanie stanowią aż 31% populacji. Szacunki Fair Fight Action pokazują też, że na liście Raffenspergera było więcej zarejestrowanych demokratów niż republikanów. Już na pierwszy rzut oka widać, że jest to miejsce, gdzie Donald Trump mógłby się potknąć na tegorocznym szlaku wyborczym. Wprawdzie aż od 2004 r. we władzach stanowych dominują republikanie, ale za każdym niemal razem wygrywają bardzo niewielką przewagą głosów. Chociażby dlatego muszą zrobić wszystko, by szala nie przechyliła się na drugą stronę.

Cas Mudde, holenderski politolog i jeden z najlepszych na świecie ekspertów zajmujących się współczesnym populizmem, ocenia, że w przypadku działań administracji Trumpa zastosowanie ma stara zasada o wyborach w krajach pozornie demokratycznych. Jeśli władza chce je wygrać, ma na to dwa sposoby: sama zdobyć więcej głosów albo ograniczyć liczbę tych oddanych na przeciwnika. Jak widać na przykładzie Georgii, republikanie są raczej zwolennikami tej drugiej opcji.

Ustawa Raffenspergera nie jest pierwszym dowodem na prawdziwość tej tezy. Jak wyliczył dziennik „The Guardian", od 2012 r. z rejestrów wyborczych w Georgii wykreślono prawie 1,5 mln osób. Oczywiście w niektórych przypadkach – ludzi, którzy przeprowadzili się na stałe do innego stanu, oddawali głos w wyborach gdzieś indziej lub stracili prawa wyborcze w wyniku wyroków sądowych – zabieg ten był jak najbardziej zasadny. Niemniej jednak większość to obywatele, którzy stracili prawo głosu, bo nie nadążają za ciągle zmieniającymi się regulacjami definiującymi, kto i na jakiej podstawie może zagłosować w wyborach.

Obecny gubernator Georgii, Brian Kemp, jest absolutnym mistrzem w wymyślaniu sposobów na odebranie możliwości głosowania. Od ubiegłego roku szefuje stanowej administracji, wcześniej przez 15 lat był jej członkiem legislatorem i sekretarzem stanu. W tym czasie wprowadził wiele zmian do stanowego kodeksu wyborczego. Zmienił m.in. katalog dokumentów uznawanych za ważne dowody tożsamości przy głosowaniu. W pewnym momencie, aby móc wziąć udział w wyborach w Georgii, trzeba było mieć stanowe prawo jazdy. Automatycznie dyskwalifikuje to osoby prowadzące auta na papierach z innego stanu lub nieposiadające prawa jazdy w ogóle. Akceptowanym dokumentem nie jest też amerykański paszport. Udowadnia on co prawda obywatelstwo, ale nie reguluje przynależności stanowej. Jedynym dowodem tożsamości, który na liście figuruje niezmiennie, jest dokument wydany przez władze stanowe. Co jakiś jednak czas zmieniają się jego parametry, a dokładnie – wymagania wobec zdjęcia. Komisja wyborcza ma prawo odmówić możliwości oddania głosu osobie, której zdjęcie nie spełnia wymogów stanowych. Jeśli dodać do tego personalny aspekt sporu – Kemp wygrał ubiegłoroczne wybory właśnie ze Stacey Abrams – widać jak na dłoni, że ograniczanie praw wyborczych to naprawdę fundament republikańskiej taktyki politycznej.

Georgia nie jest pod tym względem wyjątkiem w skali kraju. Brennan Center for Justice, prawnicza organizacja pozarządowa zajmująca się badaniem praw obywatelskich, wylicza, że w ostatniej dekadzie aż 25 stanów, czyli połowa, wprowadziło nowe restrykcje w czynnym prawie wyborczym. Spośród nich 15 zmieniło katalog akceptowalnych dokumentów, w tym w sześciu zmiany dotyczyły zdjęcia identyfikującego obywatela. 12 stanów zmieniło zasady rejestracji wyborczej (w USA głosujący muszą rejestrować się na nowo przed wyborami) oraz czas i reguły głosowania korespondencyjnego. Wreszcie aż 14 stanów ograniczyło prawa wyborcze po raz pierwszy właśnie w wyborach prezydenckich z 2016 r.

Autorzy raportu Brennan Center podkreślają jednak, że wykluczanie całych populacji z głosowania odbywa się nie tylko poprzez nowe ustawy i kruczki prawne. W wielu kontrolowanych przez republikanów stanach ogranicza się liczbę komisji wyborczych, przez co aby zagłosować, trzeba często odbyć długą i męczącą podróż. Nie wspominając o tym, że wybory w USA są organizowane zawsze w dzień roboczy, więc pójście do lokalu wyborczego oznacza najczęściej konieczność brania wolnego lub wiele godzin spędzonych w wieczornych kolejkach. Kosztowne jest też regularne wyrabianie nowych dokumentów czy robienie zdjęć identyfikacyjnych. Jednym słowem, wyborcze wykluczenie odbywa się również za pomocą pieniędzy.

Jeśli dodać do tego prawie 6 mln skazańców, którzy zdaniem inicjatywy Sentencing Project nie mogą w praktyce głosować w wyborach ogólnokrajowych (rzadziej z powodu wyroków, częściej z powodu braku komisji czy możliwości wyrobienia nowego dokumentu), ogólna liczba osób z ograniczonym czynnym prawem wyborczym w USA może wynosić 10 mln, czyli ok. 4% wszystkich uprawnionych do głosowania. Ta statystyka pokazuje najlepiej, że amerykańska demokracja jest już powszechna tylko na kartach konstytucji. ■

Liczba osób z ograniczonym czynnym prawem wyborczym w USA może wynosić 10 mln.

W ostatniej dekadzie aż 25 stanów wprowadziło nowe restrykcje w czynnym prawie wyborczym.

FOT. ANNIE BOLIN/UNSPLASH

eprasa.pl 4f71467cce

Żołnierze Bundeswehry w ramach ISAF wspierają lokalne siły policyjne w prowincji Badachszan.

Ruiny nadziei

W regionach Afganistanu, gdzie jeszcze niedawno żołnierze Bundeswehry budowali szkoły, wpływy odzyskują talibowie

Wojciech Osiński

21 grudnia 2019 r., Fajzabad, 100-tysięczne miasto w północno-wschodnim Afganistanie. Na położonym w lesie cmentarzu powoli zaczyna brakować miejsca. Pogrzeby odbywają się prawie codziennie. Tego wyjątkowo zimnego poranka znów zebrały się tutaj setki Afgańczyków, aby pożegnać kolejnego dzielnego żołnierza, który poległ w walce z talibami. 43-letniego Aydena lubili wszyscy. Był niezłomny i nieustraszony, a zarazem wrażliwy oraz troskliwy. Potrafił dodać kolegom odwagi.

Nad owiniętym zieloną chustą ciałem sędziwy imam odmawia modlitwę pożegnalną. Następnie krewni Aydena kładą go ostrożnie do wykopanego wcześniej grobu. Dół jest bardzo wąski, trzeba oszczędzać miejsce. Tylko w ostatnich dwóch tygodniach pogrzebano tu 10 Afgańczyków. Kiedy pogrzeb Aydena dobiega końca, 100 m dalej rozpoczyna się kolejna ceremonia, w której uczestniczy zaledwie kilka osób. Chowają Karima. 17-letni chłopiec walczył po stronie talibów. Jego rodzinę ośmiu ochroniarzy oddziela kordonem od kilkunastu oburzonych osób. Ostatnią modlitwę dla Karima odmawia jednak ten sam imam, który wcześniej żegnał Aydena. – Cholera, ten dół powinien być węższy – napomina współpracowników mężczyzna, który nadzoruje przebieg pogrzebów w Fajzabadzie.

Ayden i Karim pochodzili z tej samej małej wsi nieopodal miasta. Mieszka tam nie więcej niż 100 osób. Wszyscy się znają, wielu jest ze sobą spokrewnionych. Lecz na tym skrawku ziemi więzi rodzinne nie przeszkadzają we wzajemnym zabijaniu.

Kipiący kocioł

To głównie w okolicach Fajzabadu, w prowincji Badachszan, dochodzi ostatnio do najzacieklejszych starć pomiędzy wspieranymi przez rząd w Kabulu żołnierzami a radykalnymi talibami, którzy odzyskują kawałek po kawałku północne tereny Afganistanu. Żołnierzom często udaje się ich przepędzić, ale nieustępliwi islamiści powracają. Na początku stycznia w prowincji Kunduz w wyniku ataku talibów na bazy sił rządowych zginęło ponad 30 osób. Tylko w 2019 r. wojna domowa w Afganistanie pochłonęła ok. 2 tys. ofiar śmiertelnych. W ostatnich dniach jest trochę spokojniej, gdyż nadeszła sroga zima, uniemożliwiająca starcia. Przy czym gdyby Stany Zjednoczone nie zaopatrzyły armii rządowej w nowoczesną broń, krótkofalówki oraz wielozadaniowe samochody terenowe typu Humvee, sytuacja na północy wyglądałaby znacznie gorzej. Mróz oraz nacisk obecnych jeszcze w Afganistanie sił USA przynoszą pewne efekty. 7 stycznia w prowincji Badachszan poddało się ok. 100 talibów.

Sytuacja w Afganistanie kojarzy się z kipiącym kotłem – na wierzchu ciężka amerykańska pokrywka, a pod spodem gotują się plemienne animozje. Zarazem kraj ów przypomina dziś pacjenta w agonii, podtrzymywanego przy życiu dzięki kroplówce USA. Gdyby prezydent Donald Trump zdecydował się ją odłączyć, pacjent mógłby zapaść w głęboką polityczną śpiączkę. Ostatnie posunięcia

eprasa.pl 4f71467cce

Waszyngtonu w Iranie oraz Iraku każą myśleć, że taki scenariusz jest całkiem prawdopodobny. Zresztą Trump już krótko po wyborczym zwycięstwie w 2016 r. oznajmił, że zamierza stopniowo zmniejszać kontyngenty w regionie Hindukuszu.

Tylko w 2019 r. wojna domowa w Afganistanie pochłonęła ok. 2 tys. ofiar śmiertelnych.

Niedawno powtórzył, że „18 lat amerykańskiej pomocy" wystarczy. Co więcej, od około roku administracja Trumpa bez udziału prezydenta Afganistanu Aszrafa Ghaniego prowadzi rozmowy z talibami. Taki warunek postawili czołowi przedstawiciele islamskich fundamentalistów. Te ustępstwa ze strony Waszyngtonu pokazują dobitnie, po której stronie Stany widzą ostatecznego zwycięzcę tego konfliktu.

Opieszała stabilizacja

Na początku września 2019 r. gospodarz Białego Domu miał przyjąć w rezydencji Camp David kluczowych przedstawicieli talibów. Najwyraźniej jednak ktoś z jego otoczenia odwiódł go od tego pomysłu. Wszak tuż przed 18. rocznicą zamachu na World Trade Center spotkanie z byłymi przyjaciółmi szefa Al-Kaidy Osamy bin Ladena ściągnęłoby na prezydenta USA falę niechęci. Trump nagle oświadczył, że nie zamierza w ogóle rozmawiać z talibami. Po czym, już po rocznicy, poinformował opinię publiczną, że wznowił negocjacje. To nie pierwsze sygnały, które każą przypuszczać, że przywódca Stanów Zjednoczonych nie potrafi działać inaczej niż pod wpływem doraźnych impulsów.

Zasadnicze pytanie brzmi: co dalej z Afganistanem? Pierwotnie Biały Dom zakładał, że po żmudnej mediacji rozmowy między Kabulem a talibami zakończą się rozejmem. Najpóźniej wtedy Trump zamierzał wycofać amerykańskich żołnierzy, co jednak osłabiłoby pozycję Kabulu w dalszych pertraktacjach z talibami. Wprawdzie nie mogą oni w pełni odzyskać dawnych wpływów, dopóki Stany będą finansować wojska rządowe i bombardować islamistów z powietrza, ale obecność tysięcy żołnierzy USA, a także innych państw wchodzących w skład Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa (ISAF), tylko nieznacznie ustabilizowała sytuację.

Poza tym obie strony konfliktu mają na koncie działania godne potępienia. Według ustaleń ONZ wspierani przez USA afgańscy komandosi zabili w pierwszej połowie 2019 r. więcej cywilów niż islamscy bojownicy czy inne grupy powstańcze razem wzięte. Odpowiedzialność za 52% z 1,4 tys. ofiar śmiertelnych przypisuje się wojskom sterowanym z Kabulu.

Sytuacja polityczna w Afganistanie jest bardzo niestabilna. Oficjalnie wybory we wrześniu 2019 r. ponownie wygrał prezydent Aszraf Ghani, ale obecny premier Abdullah Abdullah, który zajął drugie miejsce, zarzuca ludziom głowy państwa manipulacje przy liczeniu głosów. W rezultacie obaj oświadczyli, że to oni są zwycięzcami. Zresztą do urn poszło zaledwie 19% uprawnionych. W obliczu tak niskiej frekwencji talibowie właściwie nie muszą przeprowadzać zamachów, aby podważać autorytet rządzących.

Wysoka cena

Każdy zachodni rząd, który w ostatnich kilkunastu latach angażował się w Afganistanie, niechętnie przyznaje się do tego, że wysiłki militarne i finansowe przyniosły więcej strat niż zysków. Nie wiadomo, gdzie się podziały miliardy dolarów, które zachodnie mocarstwa przelały na konta wysoko postawionych osób w Kabulu. Co się z nimi stało zwłaszcza na północy kraju, gdzie talibowie nie zamierzają odpuszczać, mimo stałej obecności Bundeswehry?

Od około roku administracja Trumpa bez udziału prezydenta Aszrafa Ghaniego prowadzi rozmowy z talibami.

W obozie nieopodal miasta Kunduz wciąż przebywa ok. 100 niemieckich żołnierzy. Jest to dziś jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na świecie, o czym świadczy choćby fakt, że w latach 2013-2019 nie odważył się tam polecieć żaden minister obrony RFN. Dopiero nowa szefowa niemieckiego MON Annegret Kramp-Karrenbauer odwiedziła Kunduz na początku grudnia 2019 r. Obóz ten jest narażony na ataki rakietowe. W 2019 r. talibowie ostrzelali go dwukrotnie. Dotąd w Afganistanie zginęło ok. 60 żołnierzy Bundeswehry. – To uzmysławia wysoką cenę, którą tutaj płacimy – zaznaczyła Kramp-Karrenbauer podczas wizyty. Tyle że Niemcy tak szybko tego skrawka ziemi nie opuszczą. Już poprzedniczka AKK w resorcie obrony, obecna szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, zdecydowała w 2018 r. o przedłużeniu misji w Afganistanie i zgodziła się nawet na zwiększenie liczebności niemieckiego kontyngentu. Liczba obecnych na terenie całego kraju żołnierzy z RFN ma wzrosnąć z 980 do 1,3 tys. – Pogarszający się stan bezpieczeństwa w Afganistanie nie pozostawia złudzeń, że trzeba się wykazać cierpliwością – mówiła wówczas von der Leyen.

Po oficjalnym zakończeniu operacji wojskowej w 2015 r. Niemcy służą w Afganistanie jeszcze w ramach misji szkoleniowej Resolute Support. Mają tam trzeci co do wielkości – po amerykańskim i włoskim – kontyngent. Choć z drugiej strony są w bezpieczniejszym położeniu niż np. siły USA. Widać to choćby w Kunduzie, gdzie stacjonują wraz z amerykańskimi i afgańskimi żołnierzami. I to ci ostatni wyruszają w teren, podczas gdy Niemcy zajmują się głównie logistyką i medycyną ratunkową, pomagając poszkodowanym.

Niemiecki etos pracy

Niemieccy żołnierze są obecni także w prowincji Badachszan, nieopodal Fajzabadu, w ostatnich tygodniach szczególnie narażonego na ataki talibów. Dlatego zagranicznym dziennikarzom odradza się wyjazdy zarówno do Kunduzu, jak i Fajzabadu. W miarę bezpiecznym miejscem jest jeszcze Talukan, stolica prowincji Tachar. Talukan wydaje się oddalony od głównych linii frontu. Na ulicach bawią się dzieci, a dobrze prosperujący rynek

FOT. SASCHA SCHUERMANN

eprasa.pl 4f71467cce

przyciąga ludzi z całej prowincji. Widać tu wyraźne ślady niemieckiej obecności. Sąd rejonowy, szpital, linie energetyczne oraz szkoły zostały zbudowane przez niemieckich fachowców. Niemcy zainwestowali też w życie naukowe w Talukanie. Na lokalnym uniwersytecie studiuje ok. 7 tys. osób, w tym ok. 2 tys. kobiet. Obecnie powstają również przedszkola i nowe budynki administracyjne, a na placach budowy uwijają się robotnicy i inżynierowie w mundurach Bundeswehry.

Będąc w Talukanie, trudno uwierzyć, że 200 km stąd toczą się regularne krwawe walki z talibami. W miejscowości Baharak na wschodzie sytuacja wygląda bowiem zupełnie inaczej. – Nikt nam nie pomaga, nawet Amerykanie nie chcą się tu pofatygować. A nocą jest tu całkowicie ciemno. Czasem nie wiemy nawet, do kogo strzelamy. Nie wiemy, czy to wróg, czy nie – oburza się Idris, który w okolicach Baharaku od miesięcy odpiera ataki talibów. Słuchając go, trudno się dziwić, dlaczego w tym konflikcie ginie tylu afgańskich cywilów. 32-letni Idris jest zły także na żołnierzy Bundeswehry. – Gdyby Niemcy nie odebrali nam broni i sprzętu, walczylibyśmy z większym powodzeniem – irytuje się. W istocie kilka lat temu żołnierze z RFN odebrali Afgańczykom ok. 1 tys. kałasznikowów, twierdząc, że talibowie już nie wrócą. Obecność Niemców miała być wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa. – Teraz nie mamy tu ani broni, ani Niemców. I co z tą gwarancją? – pyta Idris.

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: czytanka dla prezydenta Dudy przed rocznicą wyzwolenia Auschwitz.

Puste zapewnienia

Jednak pierwotne założenie Niemców wydawało się rozsądne. Po oficjalnym zakończeniu misji wojskowej Bundeswehry władza (i monopol na broń) oraz zwierzchnictwo nad wojskiem miały pozostać w rękach rządu nowego, powracającego do demokracji państwa afgańskiego. Lecz do takich miejscowości jak Baharak to nowe państwo nigdy nie dotarło. Zamiast tego wraz z odwrotem Niemców powrócili nieugięci talibowie. Odtąd nad Baharakiem i okolicą zapanowały niepewność i strach. Kilka tygodni temu obok bawiącej się na ulicy dziewczynki upadł granat ręczny. Co prawda, nie wybuchł, ale sześcioletnie dziecko doznało takiego szoku, że od tego czasu nie mówi, nie je i nie pije. A mieszkańcy Baharaku starają się nie wychodzić na ulicę także w ciągu dnia. W przeszłości talibowie atakowali raczej nocą. – Terroryści spalili najważniejsze budynki w naszej miejscowości, choćby urząd miejski – opowiada Idris. Urząd mieścił się niedaleko fabryki tkanin i wełny Spinzar, która zatrudniała niegdyś ok. 5 tys. pracowników. Hale tej fabryki również legły w gruzach. W Baharaku stoją więc symboliczne ruiny nadziei na lepszą przyszłość, którą Afganistan kiedyś faktycznie miał. – Potrzebne nam są przede wszystkim noktowizory, aby w ciemności rozpoznać przeciwnika. Ale słyszymy jedynie puste zapewnienia, że afgański rząd stoi za Baharakiem, i nikt nie śpieszy nam z pomocą – denerwuje się Idris. Afgańczyk twierdzi, że jego rodacy mają już dość tej wojny: – Amerykanie wycofują się z Afganistanu, ale bez USA nasza armia upadnie. Jedynym rozwiązaniem jest zgoda z talibami.

Na północy kraju coraz więcej mieszkańców uważa, że rządzący w Kabulu grają na czas. – Utrzymują się u władzy dzięki amerykańskiej kroplówce, która niedługo i tak się skończy – puentuje Idris. Prezydentowi Ghaniemu i jego poprzednikowi Hamidowi Karzajowi powierzono odgórnie misję utworzenia państwa, którego sami nie musieli wywalczyć. W oczach Afgańczyków, którzy nie załapali się na beneficja z nowej demokracji, rząd w Kabulu rozzuchwalił się w swojej bezkarności i nadal jest zajęty plądrowaniem zasobów, które dostał na tacy. Owszem, wielu Afgańczyków dostrzega, że cele talibów są haniebne, ale w przeciwieństwie do polityków z Kabulu islamiści nie są ze sobą skłóceni ani pogrążeni w korupcji. Potrafią zewrzeć szeregi w walce o nadrzędny cel, jakim jest odzyskanie władzy.

Niewiadoma przyszłość

Powtarzaną od lat na Zachodzie opinię, że siły talibów są na wyczerpaniu, można zatem między bajki włożyć. Nie zależy to bowiem tylko od pieniędzy i sprzętu wojskowego. Siły rządowe są wciąż o wiele lepiej wyposażone, a jednak talibowie nie napotykają na swojej drodze do władzy większych trudności. Dla wielu Afgańczyków na północy kraju Amerykanie czy Niemcy pozostają elementem obcym i są uważani za znacznie większych wrogów niż talibowie. Ci posługują się tym samym językiem co miejscowi, a pod ich panowaniem sytuacja nie była gorsza niż dzisiaj. – My chcemy tylko pokoju. Talibowie zabraniają co prawda nosić dżinsy, ale dziś tolerują już nawet szkoły dla dziewczynek. Jedynie fryzjerzy będą mieli znów mniej roboty, bo nie będą przycinali bród – tłumaczy Jusef, właściciel sklepu w miejscowości Isari niedaleko Fajzabadu.

A jednak większość mieszkańców prowincji Badachszan żywi nadzieję, że rządy fundamentalistów już nie wrócą. Choć trudno przepowiadać, kto w przyszłości będzie rozdawał karty w Afganistanie. Wydaje się, że wszyscy chcą zakończyć tę wojnę, ale nikt nie mówi konkretnie, w jaki sposób.

Negocjacje i starcia na północy kraju trwają, lecz afgańskim grabarzom pracy przybywa. Na małym cmentarzu na leśnych obrzeżach Fajzabadu, na którym w grudniu pochowano walczących po dwóch stronach Aydena i Karima, odstępy między grobami talibów i żołnierzy rządowych są coraz mniejsze. Co kilka dni trzeba bowiem wykopywać kolejne doły. Coraz węższe.

Wojciech Osiński

eprasa.pl 4f71467cce

Oko w oko

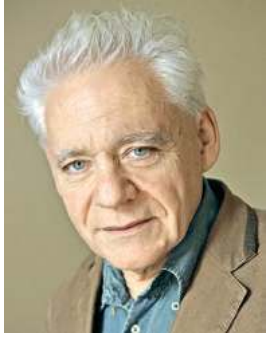

Tomasz Jastrun

Warczymy na siebie

Dwie migawki. W TVN 24 gra Wielka Orkiestra, zbliża się finał, płonie światłami i piosenką wielka scena na placu Bankowym, przeskakuję w celach poznawczych na TVP Info. Tam nie ma transmisji, widzę natomiast nadobne oblicze Zenona Martyniuka, króla disco polo. Ta muzyka ma dać odpór Wielkiej Orkiestrze, która pod przykrywką miłości do dzieci promuje wrogie dla ducha narodu treści. A disco polo jest swojskie, ludowe, narodowe.

A teraz mały kalejdoskop podłości i kuriozów: tajne służby polują na marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, wysyła się za nim publiczny list gończy – donosiciele zostaną nagrodzeni. Większą podłością jest już tylko mordować. Ale istnieje też zbrodnia kłamstwa i manipulacji.

•

Mateusz Morawiecki dla „Die Welt": „Komunistyczni sędziowie wychowali sobie następców". Tak nasz premier, bankier i wybitny historyk wybrnął z pytania, jak to możliwe, by w Polsce sędziowie byli dawnymi komunistami, skoro większość z nich ma 40 lat. Gdzie indziej premier mówi, że Polskę czekają cztery wyścigi. Trzeci to wyścig o pamięć, a czwartym „jest wyścig o duszę naszej wspólnoty, ducha narodu polskiego (…). To walka o budowę wspólnoty celów, walka o tożsamość, o tradycję i jednocześnie nowoczesność". Pomysł, że państwo ma budować pamięć narodu, pachnie totalitaryzmem. I jaka to nowoczesność? To odmrażanie przedwojennego endeckiego udźca.

Do rzeki pisowskiej propagandy wpada wzburzony strumień Radia Maryja.

Do rzeki pisowskiej propagandy wpada wzburzony strumień Radia Maryja. Ojciec Rydzyk twierdzi, że ekolodzy działają wbrew naturze. Nazywa ich ekoterrorystami. W studiu aż się kłębiło od ataku na te wszystkie klimatyczne głupoty, jakieś tam globalne ocieplenia – kpiny, że nad krówkami i zwierzętami futerkowymi się użalają. Ekologizm to część inwazji na Polskę, głosi ojciec dyrektor, atakują nas ze wschodu i zachodu. Sytuacja jest poważna, nie wiadomo, czy uda nam się inwazję odeprzeć. PiS zawodzi, bo jest, wedle ojca dyrektora, za mało radykalne.

•

U Wieśka Uchańskiego w Iskrach, jak zawsze serdecznie. Wydał niedawno książkę wspomnieniową Andrzeja Werblana, z którym rozmawia Robert Walenciak. Waham się, czy ją brać. Werblan, przez kilkadziesiąt lat wysoki funkcjonariusz PZPR, źle mi się kojarzy, też z Marcem '68. Ale biorę i potem nie żałuję. To niezwykłe oglądać tamten czas z drugiej strony barykady. Sędziwy Werblan jest inteligentny, wiele pamięta. Ale czy chce pamiętać wszystko? Zawsze idealizujemy własną przeszłość. Zdumiewające, jak po latach nawet to, co się zdawało koszmarem i złem, jest już tylko wydmuszką. Kiedy tkwimy w strumieniu zdarzeń, mamy fałszywą perspektywę, jesteśmy za blisko; po latach stoimy za daleko, a tam, gdzie były rany, są blizny już porośnięte trawą.

Niewiele, ale ciekawie mówi Werblan o antysemickich nastrojach w partii, w Polsce. W czasie okupacji nie było go w kraju, jak wrócił, zdumiał się, że jest większy antysemityzm niż przed wojną. Skierowany wobec kogo? Tej garstki, która cudem ocalała. Ważnym psychologicznym czynnikiem było przejęcie mienia milionów ludzi, polski lud to po prostu rozgrabił – co miało się zmarnować. Trudno tu nie mieć poczucia winy, bo jak to się ma do chrześcijańskiej moralności, do każdej moralności? Ale jak było tego nie brać – diabelska pokusa. Więc jednak grzech. Poczucie winy tego typu łatwo przeradza się w niechęć, nawet w nienawiść do tych, wobec których się zawiniło. To było głębokie uczucie, skoro uparcie płonie w następnych pokoleniach, o czym przypomina choćby internet. Tam aż się roi od antysemickich zwierzeń, nierzadko w stylu hitlerowskim. Gdziekolwiek jest w internecie jakiś motyw żydowski, od razu mnożą się czyraki antysemickie.

•

Po latach znowu obejrzałem film „Czarny łabędź" z Natalie Portman – co za rola! Dostała za nią Oscara. To film o balecie, o sztuce, jak bliska bywa szaleństwa. Moja kuzynka, młoda baletnica, popełniła samobójstwo, więc dla mnie ten obraz ma drugie dno. Czytam w internecie jakiś tekst o Portman i od razu pojawiają się antysemickie komentarze. Urodziła się w Jerozolimie, ma złe pochodzenie, wystarczy. Paranoicy nie mogą się powstrzymać. Wzmożenie patriotyczne, jakie funduje nam PiS, szukanie wroga, sianie nienawiści, zasila potężnie tę czarną rzekę. A to, że Konfederacji rośnie społeczne poparcie, też jest znakiem. PiS ma, jak wiadomo, dramat z tą Konfederacją, bo mu podżera narodowy elektorat. Warczą więc wzajemnie na siebie. Już wszyscy warczymy na siebie.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4f71467cce

Tomasz Skowronek

Hiszpania walczy z przemocą wobec kobiet

106 sądów zajmuje się wyłącznie sprawami przemocy ze względu na płeć. Działają nawet w weekendy i święta

W samym 2019 r. w Hiszpanii aż 55 kobiet poniosło śmierć z rąk obecnych bądź byłych partnerów. Tak złych statystyk nie odnotowano od pięciu lat. Pierwsza, Rebeca Alexandra Cadete, miała zaledwie 26 lat, gdy została zadźgana nożem przez swojego chłopaka. Ostatnią ofiarą roku była 41-letnia Julia S. zamordowana przez byłego męża. Obie kobiety były matkami, Rebeca osierociła synka, a Julia troje dzieci. Żadna nigdy nie zgłaszała przemocy organom państwowym.

Na razie jest za wcześnie, żeby wyjaśnić przyczyny wzrostu przemocy wobec kobiet. Nie wiadomo też, czy mamy do czynienia z tendencją stałą. Przemoc ze względu na płeć to zjawisko złożone, ale wielu specjalistów uważa, że jednym z czynników, które ją nasiliły, jest antykobieca postawa skrajnie prawicowej partii VOX.

Lidia Gracia przez wiele miesięcy była nękana przez byłego partnera, który nie mógł się pogodzić z rozstaniem. W końcu zgłosiła sprawę policji. „Musi trzymać się przynajmniej 500 m ode mnie", mówi mieszkanka Madrytu. Jej prześladowca od trzech lat nosi elektroniczną bransoletę, a odbiornik sygnałów Lidia ma stale przy sobie. „Wiem, gdzie on jest w każdej chwili, więc jeśli się do mnie zbliży, uruchomi się alarm i automatycznie wezwie policję", mówi kobieta. Od tego czasu przestała być atakowana, dzięki opasce jest o wiele spokojniejsza i bez obaw może wychodzić z domu. W całej Hiszpanii ok. 1350 kobiet jest chronionych przez tego typu urządzenie. Przynosi to wymierne efekty. Żadna korzystająca z niego Hiszpanka nie została zabita ani pobita.

Od 15 lat Hiszpania walczy w sposób zinstytucjonalizowany z przemocą wobec kobiet. Od dwóch lat przeznacza 200 mln euro rocznie na kampanie społeczne i pomoc ofiarom. Wokół tej kwestii jednoczą się wymiar sprawiedliwości, urzędnicy, stowarzyszenia i media. W kraju działa wiele grup prokobiecych. Dzięki uświadamianiu społeczeństwa liczba zabójstw kobiet w Hiszpanii spadała. Można powiedzieć, że Hiszpanie wręcz stali się pionierami w walce o prawa kobiet.

W 2004 r. socjalistyczny rząd José Zapatera opracował pierwszą ustawę zwalczającą przemoc ze względu na płeć. Projekt ustanowił środki ochronne dla ofiar, takie jak pomoc społeczna, prawna i zmiany na szczeblu sądowym. Wprowadzono również VioGén – skomputeryzowany system monitorowania i ochrony ofiar przez policję. W zależności od stopnia ryzyka każda ofiara otrzymuje spersonalizowany plan bezpieczeństwa i przypisuje się jej funkcjonariusza. W samym Madrycie jest 380 agentów specjalizujących się w działaniach w przypadku przemocy ze względu na płeć. Ponad 1,7 tys. kobiet ofiar przemocy korzysta w tym mieście z pomocy policji. „Ustawa wprowadzona przez rząd Zapatera umożliwiła szkolenie funkcjonariuszy sądowych i społecznych, aby lepiej

eprasa.pl 4f71467cce

Protest przeciwko przemocy wobec kobiet w Madrycie.

rozumieli okoliczności tych zbrodni", informuje Marisa Soleto, prawniczka i dyrektorka Fundacji Kobiet.

W całej Hiszpanii istnieje 106 wyspecjalizowanych sądów, które zajmują się wyłącznie sprawami związanymi z przemocą ze względu na płeć. Sądy działają każdego dnia, nawet w weekendy i święta. Często skargę składa samo państwo, po otrzymaniu sygnału od sąsiadów lub po interwencji policji. W takiej sytuacji sędziowie mają 72 godziny na przesłuchania oraz 15 dni na zorganizowanie procesu.

„Dzięki ustawie z 2004 r. Hiszpania naprawdę stała się wzorem walki z »męską szowinistyczną przemocą«. Władze intensywnie próbują rozwiązać problem przemocy w kulturze macho. Trzeba raz na zawsze skończyć z dziedzictwem dyktatury Franco", wyjaśnia Anne-Claire Sanz-Gavillon z uniwersytetu w Rouen, badająca ruchy kobiece w Hiszpanii i Chile.

Dlaczego iberyjskie państwo tak walczy z przemocą wobec kobiet? Wydarzeniem, które do tego doprowadziło, była tragiczna śmierć matki ośmiorga dzieci, Any Orantes z Andaluzji. 17 grudnia 1997 r. 60-letnia kobieta została spalona żywcem przez byłego męża. Dziesięć dni wcześniej opowiadała w lokalnej telewizji o piekle, które przechodziła przez prawie 40 lat, o biciu, atakach, upokorzeniu i izolacji. Na wizji Ana Orantes powiedziała, że po tym jak w 1981 r. hiszpańskie prawo zalegalizowało rozwody, złożyła przeciwko mężowi co najmniej 15 skarg, ale nie dostała żadnego wsparcia ze strony państwa. Kiedy w końcu w 1996 r. uzyskała rozwód, sędzia zmusił ją do dzielenia domu z byłym mężem. Jej śmierć była narodową traumą, morderstwo poruszyło całą Hiszpanię. „To był fundamentalny moment, początek świadomości", mówi Pilar Álvarez Molero, dziennikarka „El País" pisząca o kobietobójstwach (hiszp. *feminicidios*).

Ten dramat zrodził głęboką refleksję w społeczeństwie i wśród hiszpańskich przywódców politycznych. Pod naciskiem ruchów feministycznych opracowano „plan działania przeciwko przemocy domowej". Najpierw konserwatywny rząd José Maríi Aznara utworzył w 2001 r. jednostkę monitorującą problem *feminicidios* pod zwierzchnictwem Rady Sądownictwa. Trzy lata później, już za rządów Zapatera, wprowadzono wspomnianą ustawę zwalczającą przemoc ze względu na płeć.

Również media zdecydowanie więcej uwagi zaczęły poświęcać przemocy wobec kobiet. Od 2003 r. za każdym razem, gdy kobieta jest zabijana przez aktualnego lub byłego partnera czy męża, dziennikarze aktualizują roczny licznik przestępstw *macho*. W telewizji, radiu, prasie o zabójstwie kobiet nie mówi się ani nie pisze „zginęła kobieta", lecz „kobieta została zamordowana przez mężczyznę".

„Rozpoczęcie takich działań było fundamentalne", mówi Carmen Benito, prezeska stowarzyszenia Mujeres Unidas contra el Maltrato (Kobiety Zjednoczone Przeciwko Maltretowaniu), dodając: „To, czego nie można zobaczyć, nie istnieje. Musieliśmy wizualizować te zbrodnie, aby głośno i wyraźnie powiedzieć, że każdego dnia kobiety są bite i mordowane przez mężczyzn, którzy uważają, że są ich właścicielami. Dzięki temu, gdy pojawi się nowa sprawa, wywołuje duże protesty w kraju".

Anne-Claire Sanz-Gavillon. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez dziennik „El País", nieco ponad 64% osób poniżej 25. roku życia zadeklarowało się jako feministki.

Na demonstracjach zwołanych w Dzień Kobiet w 2019 r. pojawiło się ok. 350 tys. protestujących w Madrycie i 200 tys. w Barcelonie. We wrześniu 2019 r., po serii głośnych spraw o gwałty, organizacje kobiece zainicjowały protesty w ponad 250 hiszpańskich miastach, aby ogłosić „feministyczny stan wyjątkowy".

Pod koniec listopada dziesiątki tysięcy Hiszpanek maszerowało w ramach mobilizacji 25-N, czyli Międzynarodowego Dnia Eliminacji Przemocy wobec Kobiet (25-N, zwołany w celu upamiętnienia sióstr Mirabal, zabitych przez dyktatora Rafaela Trujillo w Dominikanie w 1960 r.). Protestom sprzeciwiała się skrajnie prawicowa partia VOX, która konsekwentnie zaprzecza, że istnieje zjawisko przemocy ze względu na płeć.

Przemoc mężczyzn wobec kobiet stała się gorącym tematem politycznym. Protestujący najpewniej nadal będą się mobilizować. VOX, która po ostatnich wyborach stała się trzecią

Tylko w 2019 r. w Hiszpanii aż 55 kobiet straciło życie z rąk obecnych lub byłych partnerów.

Tak było choćby w przypadku zbiorowego gwałtu na 18-latce podczas uroczystości Sanfermin w Pampelunie w lipcu 2016 r. Pięciu pochodzących z Sewilli 30-latków (wśród nich wojskowy i agent Guardia Civil), którzy na whatsappowej grupie nazywali siebie La Manada – wataha, zaprowadziło dziewczynę do bramy i zmusiło ją do seksu oralnego. W 2018 r. pięciu napastników zostało skazanych w pierwszej instancji na dziewięć lat więzienia za „wykorzystanie seksualne", a nie za gwałt, a następnie zwolnionych za kaucją. Po demonstracjach w całym kraju i doniesieniach medialnych wyrok został zmieniony w czerwcu 2019 r. – mężczyzn skazano na 15 lat więzienia.

„Zdolność do mobilizacji feministycznej jest w Hiszpanii dość niezwykła. W ostatnich latach w Międzynarodowy Dzień Praw Kobiet 8 marca tysiące kobiet wyszło na ulice dużych miast. Ruchy kobiece są liczne i bardzo dobrze zorganizowane", dodaje

siłą w parlamencie, w programie umieściła walkę z feminizmem. Ugrupowanie wzywa do uchylenia przepisów dotyczących przemocy domowej i zaciekle atakuje ruchy kobiece. Partia zasłynęła również bojkotem minuty ciszy zorganizowanej przez radę miejską w Madrycie dla uczczenia pamięci zamordowanej Adaliz Villagra, ofiary przemocy domowej.

„Postawa VOX może wzmacniać zachowania agresywne i powoduje, że ofiary mniej ufają oferowanej im ochronie instytucjonalnej", wyjaśnia Lucía Avilés, sędzia i założycielka Stowarzyszenia Sędziów Kobiecych. Wzywa ona do „dogłębnej i obiektywnej analizy, aby ustalić wszystkie przyczyny" najnowszego wzrostu niepokojących danych.

Obecność w parlamencie polityków VOX i ich hasła mogą się stać nowym wyzwaniem dla ruchów kobiecych i dla wzmożonej walki z przemocą wobec kobiet.

■

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 4f71467cce

Czyńcie sobie ziemię kochaną

Katolicka prawica i wielu księży, kwestionując zmiany klimatyczne, neguje de facto nauczanie papieża Franciszka

Jarosław Makowski

1.

Głosimy to, co dobrze znamy. Ta zasada doskonale pasuje do polskich biskupów. Z dorobku Jana Pawła II, który zajmował się przecież także nierównościami społecznymi czy dialogiem między religiami, nasi hierarchowie zapamiętali jeden przekaz, sprowadzając całe papieskie nauczanie do przeciwstawienia: cywilizacja życia kontra cywilizacja śmierci. W ten sposób biskupi wymyślili sobie wroga, który jest sklejony z ich wyobrażeń kryjących się pod hasłem cywilizacja śmierci – a więc rozwiązłego, rozpustnego, grzesznego, zrelatywizowanego osobnika, który ma obsesję na punkcie życia seksualnego, najlepiej z dziećmi. Taki najczęściej obraz osób LGBT lub domagających się edukacji seksualnej przedstawiają księża.

Ma to konsekwencje dla społecznej świadomości. Kiedy bowiem księża mówią: grzech, ludzie, a przede wszystkim wierni, myślą: seks. Nauczanie biblijne sprowadzono do kwestii rozporkowo-łóżkowych. Wyzwolenie rodzimego Kościoła z tej obsesji biskupów musi przypominać zawracanie kijem Wisły. Mimo to papież Franciszek stara się odesłać tę fałszywą świadomość na śmietnik historii. Powtarza, że w katolickim nauczaniu za bardzo skupiono się na ludzkiej seksualności, co sprawia, że jedynie odstępstwa w tych kwestiach postrzegane są przez wiernych jako grzech. Unikasz płacenia podatków? To nic, jesteś sprytny! Nie chcesz przyjmować uchodźców, którzy uciekają przed cierpieniem? Dobrze, jesteś prawdziwym polskim katolikiem. Uprawiasz seks przedmałżeński? To cudzołóstwo. Grzech, z którego musisz się wyspowiadać! I odpokutować.

Dlatego Franciszek wprawił w osłupienie katolików w Polsce, gdy przy okazji zeszłorocznego synodu dla Amazonii odbywającego się w Rzymie powiedział, że trwają prace nad wprowadzeniem do Katechizmu Kościoła katolickiego pojęcia grzechu ekologicznego. Co byłoby istotą tego nowego grzechu? Mówiąc najkrócej, jest to przewina przeciw przyszłym pokoleniom, zgodnie z zasadą, że nie dziedziczymy planety po przodkach, ale pożyczamy ją od naszych dzieci. Tyle że wciąż zbyt mało osób, w tym katolików, zdaje sobie z tego sprawę. Tymczasem, przekonuje papież, „zasada maksymalizacji zysku oderwana od wszelkich innych czynników prowadzi do modelu wykluczenia i brutalnie atakuje tych, którzy teraz ponoszą koszty społeczne i ekonomiczne, podczas gdy przyszłe pokolenia są skazane na ponoszenie kosztów środowiskowych".

Nauczanie biblijne sprowadzono do kwestii rozporkowo-łóżkowych. Papież stara się odesłać tę fałszywą świadomość na śmietnik historii.

Każdy, kto śledzi nauczanie Franciszka, w zasadzie wiedział, że pytanie dotyczy nie tego, czy, ale kiedy grzech ekologiczny trafi do katolickich przewin, z których wierni powinni się spowiadać. Przede wszystkim ze względu na „zieloną encyklikę" *Laudato si'*. Dlaczego jednak to zielone wyznanie wiary spotyka się w Polsce z ostrym atakiem ze strony katolickiej prawicy, która nie tylko kwestionuje rozstrzygnięcia naukowców dotyczące zmian klimatu, ale jeszcze tak interpretuje teksty biblijne, jakby zachęcały one do dewastacji i gwałtu na naszym wspólnym domu – Ziemi?

2.

Ostateczny sygnał do walki z „ekologiczną tyranią" dał nieoceniony abp Marek Jędraszewski. Pod koniec roku udzielił wywiadu prawicowej Telewizji Republika, w którym wyjaśnił, że jednym z największych wrogów zagrażających „pobożnym ludziom" jest… ekologizm. Dlaczego? Bo, jak mówi, próbuje się go „narzucać jako obowiązującą doktrynę. I to już jest bardzo niebezpieczne". Dalej hierarchę przeraża to, że „ta aktywistka" (mowa o 17-letniej Grecie Thunberg) staje się „wyrocznią dla wszystkich sił politycznych i społecznych". Mówi, co należy myśleć i jak postępować.

I na koniec arcybiskup Krakowa wytacza najcięższe działo z punktu widzenia Kościoła: ekolodzy to heretycy, bo ich ustalenia, a także ustalenia naukowców dotyczące zmian klimatu, są sprzeczne z… Biblią. W niej jest jasno napisane, że „wszystko, co stworzył Bóg, jest dobre", a ukoronowaniem całego dzieła stworzenia jest człowiek, który dostaje nakaz: „Czyńcie sobie ziemię poddaną". Natomiast dziś ten porządek próbuje się, zdaniem hierarchy, odwrócić. Dlatego abp Jędraszewski bije na alarm: „Neguje się istnienie Boga jako stwórcy, kwestionuje się także rolę i godność każdego człowieka. To jedna wielka inżynieria, próba przekształcenia człowieka i świata na swoją modłę. Ma się jakąś ideę i za pomocą przemocy próbuje się ją przekuć w rzeczywistość, to jest właśnie ideologia".

Spróbujmy rozebrać sposób myślenia abp. Jędraszewskiego na czynniki pierwsze – bo dla katolickiej prawicy stał się on bojownikiem o prawdę i biczem na „lewackie ideologie". Zacznijmy od – zdawać by się mogło – najmocniejszej z punktu widzenia hierarchy dziedziny, czyli hermeneutyki biblijnej. Kluczowy w tym kontekście tekst odnajdujemy w Księdze Rodzaju. Czytamy: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną" (1,28). To wersja oryginalna. W świadomości ludzi dominuje wer-

eprasa.pl 4f71467cce

19 kwietnia 2019 r. papież Franciszek pozdrowił Gretę Thunberg w czasie cotygodniowej audiencji na placu św. Piotra.

sja zwulgaryzowana, za którą niemałą odpowiedzialność ponosi szkolna teologia, sprowadzająca ten passus do jakże miłego dla ucha człowieka nakazu: „Czyńcie sobie ziemię poddaną!". A to znaczy tyle: Bóg dał człowiekowi, „koronie stworzenia", ziemię we władanie.

Katolicka prawica tak właśnie ten tekst interpretuje; topornie. Bóg dał człowiekowi ziemię na własność, aby ten ją okiełznał, opanował, eksplorował. Celem nadrzędnym w takim ujęciu jest szczęście człowieka, który – by je osiągnąć – musi się trudzić, harować w pocie i znoju. A tym, co stawia opór, jest ziemia, natura. Zadanie człowieka polega więc na tym, by ten opór ziemi złamać. I człowiek go łamie. Ten toporny typ myślenia – notuje anglikański teolog Andrew Linzey w znakomitej książce „Teologia zwierząt" – reprezentuje coraz bardziej anachroniczny wątek zachodniej tradycji intelektualnej, który możemy nazwać „należeć do i istnieć dla". Oczywiście dla człowieka.

Sęk w tym, że specyfika biblijnego zalecenia nie ma nic wspólnego, jak notuje protestancki teolog Jürgen Moltmann, „z panowaniem nad światem". I dodaje: „Biblijny nakaz jest przykazaniem dotyczącym pożywienia – zarówno ludzie, jak i zwierzęta mają żyć z owoców, które rodzi ziemia na drzewach i roślinach. Nie było mowy o zdobyciu władzy". W podobnym duchu tekst ten interpretuje rodzimy teolog, franciszkanin, o. Stanisław Jaromi. W wydanej przez Znak pod koniec 2019 r. książce „Boska Ziemia" przekonuje, że całe stworzenie należy do Boga, co oznacza, że zamiast mówić: „Czyńcie sobie ziemię poddaną", adekwatniej byłoby krzyknąć: „Czyńcie sobie ziemię kochaną".

Franciszek wprawił w osłupienie katolików w Polsce ideą, by do katechizmu wprowadzić pojęcie grzechu ekologicznego.

Takie postawienie sprawy wiązałoby się ze zmianą myślenia, zmianą stylu życia i przyznaniem, że zielony katolicyzm, co dla katolickiej prawicy jest nie do zaakceptowania, stanowi istotę kościelnego nauczania.

3.

Zielony katolicyzm z punktu widzenia katolickiej prawicy jest groźny również jako – używając ich kategorii – ideologia mająca potencjał walki o rząd dusz. Szczególnie ludzi młodych. Dlatego i abp Jędraszewski, i prawicowi politycy zaczęli atakować dzieci – Szwedkę Gretę Thunberg, która zainicjowała strajk klimatyczny, a w Polsce 13-letnią Ingę Zasowską, która rozpoczęła pod Sejmem Wakacyjny Strajk Klimatyczny. Autorami hejterskich wpisów byli posłowie prawicy i prawicowi publicyści. „Trudno o tej dziewczynce (Indze) powiedzieć: »rezolutna«. Równie trudno uwierzyć, że to jej własna inicjatywa", komentował poseł partii władzy Kamil Bortniczuk. Inny poseł PiS, Leszek Dobrzyński, ironizował: „Siedzę na otwartej werandzie, marznę i mam jedną prośbę do wszystkich panien strajkujących klimatycznie: dajcie sobie na luz, chociaż do listopada! Potem już trudno, może być zimno".

Dlaczego od Katowic po Gdańsk przedstawiciele Młodzieżowego Strajku Klimatycznego wzbudzają tyle bezinteresownej nienawiści ze strony polityków obozu władzy i katolickiej prawicy? Bo młodzi nie biegają już tak ochoczo w koszulkach z „żołnierzami wyklętymi" na piersi. Trudniej ich namówić do udziału w biegach „Tropem Wilczym". Nie kręcą ich też, jak

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 4f71467cce

jeszcze kilka lat temu, zmitologizowane opowieści o bohaterach prawicowej polityki historycznej. Ani, co pokazał ostatni sondaż przeprowadzony przez CBOS, Kościół, który w Polsce łączy wiarę z nacjonalizmem. Jako głęboko wierzący i wierzący łącznie określiło się w 2018 r. 63% uczniów ostatnich klas szkół ponadgimnazjalnych, podczas gdy w 2008 r. było ich 81%. Coraz mniej młodych chodzi na religię – w 2018 r. zadeklarowało to 70%, a jeszcze w 2010 r. – 93%. Z kolei wcale nie uczestniczy w praktykach religijnych 35% 18- i 19-latków w porównaniu z 11% ogółu Polaków. Dziś młodzi Polacy odkrywają swoje, jak by powiedział Jan Paweł II, „nowe Westerplatte". Sprawą, której chcą się poświęcić, jest walka ze zmianami klimatu.

Młodym ludziom obca jest letniość. Młodość wiąże się z radykalizmem. Do tej pory czerpała z tego młodzieńczego buntu prawica, która zwróciła się do młodzieży z radykalnym, nacjonalistycznym przekazem. Do nowego wychowania partia władzy zaangażowała nie tylko szkołę, ale również Kościół i popkulturę. Prawicowa retoryka i symbolika podbiły serca i umysły młodych. Tyle że im bardziej jakiś typ ideologii przeradza się w tępą indoktrynację, tym większe prawdopodobieństwo, że młodzi ludzie go odrzucą. I właśnie z taką sytuacją, jak się zdaje, mamy teraz do czynienia.

Polityka nie znosi pustki, podobnie jak świat idei. Po ewidentnym zachwycie młodzieży ideologią nacjonalistyczno-martyrologiczną przychodzi zwrot. I to za sprawą nie polityki państwa i jego instytucji, ale danego świadectwa. Inspiracją dla młodych, także 13-letniej Ingi, jest Greta Thunberg. Jej upór, determinacja i konsekwencja sprawiły, że nie tylko spotyka się z liderami politycznymi całego świata, by ich namawiać do porzucenia starej polityki, ale też inspiruje młodych ludzi na świecie, także w Polsce, by zaczęli walczyć o swoją przyszłość, którą jako rodzice im kradniemy, zaniedbując sprawę klimatu.

Po pierwsze, młodzi Polacy zrozumieli, że kondycji planety nie dziedziczą po rodzicach, ale zapożyczają ją od swoich przyszłych dzieci. Po drugie, na rzecz powstrzymania zmian klimatycznych angażują się, jak świat długi i szeroki, celebryci i osobistości popkultury. To też przyciąga młodych. Po trzecie, bycie eko, troska o przyrodę, minimalizm – czy nawet tak drobne sprawy jak odrzucenie plastiku – to dziś pociągający styl życia. A wszystko to przecież – jak od lat krzyczy prawica – jest lewacką ideologią, z którą postanowił zawalczyć także Kościół, atakując zaangażowane społecznie dzieciaki.

4.

I rzecz ostatnia: katolicka prawica oraz wielu księży, kwestionując zmiany klimatyczne, neguje *de facto* nauczanie papieża Franciszka. Dziwne to tym bardziej, że o „ekologicznym" nawróceniu mówili i Jan Paweł II, i Benedykt XVI. Ale żaden papież do tej pory nie poświęcił tej sprawie osobnej encykliki. Żaden też papież z taką częstotliwością nie przypominał o potrzebie przeciwdziałania zmianom klimatu. I w końcu żaden papież nawet nie pomyślał, by grzech ekologiczny zapisać w Katechizmie Kościoła katolickiego.

Abp Jędraszewski wytoczył najcięższe działo: ekolodzy to heretycy, ich ustalenia, a także ustalenia naukowców dotyczące zmian klimatu, są sprzeczne z… Biblią.

Każda rewolucja zaczyna się od zmiany języka. Bo, jak pouczał żydowski filozof Franz Rosenzweig, „język to więcej niż krew". To, jak mówimy, wpływa na sposób, w jaki myślimy, a w konsekwencji – w jaki działamy. Franciszek jest tej zależności między językiem a działaniem absolutnie świadomy. Za sprawą jakich słów proponuje nam więc swoją „lingwistyczną rewolucję"?

Zwrot we Franciszkowym języku, gdy kieruje on uwagę na kwestie ekologiczne, widzimy już w podtytule encykliki *Laudato si'*. Brzmi tak: „W trosce o wspólny dom". Troska i dom to dwa słowa klucze. Amerykański językoznawca George Lakoff, recenzując encyklikę Franciszka, pisał, że już w tym jednym zdaniu widzimy nową ramę interpretacyjną i sposób (także nowy), w jaki papież będzie mówił o wyzwaniach klimatycznych.

Jeśli z uwagą podejdziemy do lektury *Laudato si'*, zauważymy, że kluczowe pojęcie troski pojawia się w tekście z innymi słowami kluczami: czułością, współczuciem, sprawiedliwością i ochroną. Gdy papież analizuje styl działania swojego patrona, św. Franciszka z Asyżu, pisze, że w jego czynach „nierozerwalnie są połączone troska o naturę, sprawiedliwość wobec biednych, zaangażowanie społeczne i pokój wewnętrzny" (nr 10). Łatwo zobaczyć, że pojęcie troski obejmuje nie tylko naturę, ale – szerzej – także ludzi, jako część dzieła stworzenia.

W podtytule encykliki jest drugie pojęcie klucz nowego papieskiego słownika. To słowo dom, które zarazem jest powszechną i zrozumiałą dla każdego metaforą, wpisaną w ludzkie DNA. Dom to przecież bezpieczeństwo, to przystań, do której zawijamy, gdy grozi nam niebezpieczeństwo lub gdy jesteśmy utrudzeni. To ciepło i czułość innych domowników, naszych bliskich. Ale dom to również miejsce, którego bronimy, o które się troszczymy, dbamy, niezależnie od tego, kim jesteśmy, jaki mamy kolor skóry, jakim językiem mówimy. Franciszek, mając świadomość odniesień uruchamianych w umyśle czytelnika przez metaforę domu, rozciąga ją na całą planetę i pisze: „Ziemia to nasz dom".

Nie powinno więc dziwić, że pisząc o gwałtach zadawanych planecie, papież dostrzega „jęki siostry Ziemi", skargi, które wymagają od nas obrania innej drogi rozwoju. I dalej, jeszcze dosadniej, stwierdza: „Nigdy nie traktowaliśmy tak źle i nie okaleczyliśmy tak naszego wspólnego domu, jak miało to miejsce w ciągu ostatnich dwóch stuleci. A jesteśmy wezwani, aby być narzędziami Boga Ojca, żeby nasza planeta była tym, co On wymarzył, stwarzając ją, i by odpowiadała na Jego projekt pokoju, piękna i pełni" (nr 53).

Posłuchajmy, jak tę metaforyzację problemów klimatycznych ocenia Lakoff, który, będąc człowiekiem niewierzącym, nie kryje jednak podziwu dla papieskiego tekstu: „Używając metafory Ziemi jako domu, papież uruchamia schemat, w którym wszyscy ludzie na świecie są rodziną żyjącą we wspólnym domu". Mówiąc krótko,

eprasa.pl 4f71467cce

cała ludzkość to rodzina, a Ziemia to nasz dom; jesteśmy jako rodzaj ludzki zamieszkujący Ziemię powiązani na dobre i złe.

Na tym nie koniec, bo kryzys klimatyczny pociąga za sobą kryzys kulturowy i etyczny. Taki sam destrukcyjny stosunek, jaki człowiek ma wobec Matki Ziemi, ma również wobec innych ludzi. „Obojętność lub okrucieństwo wobec innych stworzeń tego świata zawsze w jakiś sposób przekłada się na sposób traktowania innych ludzi", notuje Franciszek. Ta sama logika „użyj i wyrzuć", która jest praktykowana wobec naszej planety, jest praktykowana wobec bliźnich. A pierwszymi ofiarami kryzysu klimatycznego są nie ludzie bogaci, ale biedni, zepchnięci na margines życia społecznego.

Dramatyczny los „ludzi odpadów", „ludzi odrzutów" czy „ludzi na przemiał" szczegółowo przeanalizował Zygmunt Bauman w książce „Życie na przemiał". Miała ona charakter profetyczny. W 2005 r. cały świat przyglądał się, jak huragan Katrina niszczy Nowy Orlean. Dziś widzimy, jak pożar niszczy Australię. W pierwszym wypadku zobaczyliśmy, jak prywatyzacja sektora publicznego w USA czyni państwo bezbronnym wobec kataklizmów naturalnych. Widać było jednocześnie, że to biedni i wykluczeni stają się ofiarami bezosobowej, niszczycielskiej siły natury. Jeśli jesteś biedny, możesz się spodziewać, że nie zostaniesz ewakuowany. Nie masz przecież pieniędzy, by za ewakuację zapłacić, by ktoś cię przetransportował w bezpieczne miejsce, z dala od katastrofy. W Australii ofiarą niszczycielskiego żywiołu padają nasi „bracia mniejsi" – zwierzęta, które nie potrafią się schronić przed szalejącym ogniem.

Co więcej, paradoks w pierwszej sytuacji polega na tym, że biedni nie chcą opuszczać domów, gdyż zazwyczaj jest to cały ich dobytek. Inaczej ludzie bogaci lub, jak nazywa ich polski socjolog, „globalni turyści" – nie dość, że mieli domy ubezpieczone, to jeszcze dzięki swojej mobilności mogą bez większych problemów rozpocząć nowe życie w innym, bezpiecznym miejscu naszej planety. Jasne, że żywioł i zniszczenia, jakie niosły ze sobą Katrina czy ogień w Australii, nie czyniły różnicy między bogatymi a biednymi. Ale konsekwencje dla jednych i drugich były zgoła odmienne.

Biblijne zalecenie nie ma nic wspólnego z panowaniem nad światem.

Ludzie wierzący w Polsce mają dwa wyjścia: albo słuchać katolickiej prawicy i razem z nią podważać zagrażające naszemu istnieniu konsekwencje zmian klimatycznych (byłby to przejaw głupoty i zaślepienia), albo z mocą głosić zielony katolicyzm, będący dziś takim sposobem przeżywania wiary, który mierzy się z wyzwaniami. Zwolennikiem zielonego katolicyzmu jest papież Franciszek.

Jarosław Makowski

eprasa.pl 4f71467cce

Zamiast aniołów in vitro

Nasze pierwsze dziecko z in vitro ma dziś 32 lata i trójkę własnych dzieci poczętych w sposób naturalny

Rozmawia Barbara Jagas

PROF. MARIAN SZAMATOWICZ

– ginekolog-położnik, doktor honoris causa Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, prekursor metody in vitro w Polsce – pierwszy zabieg w 1987 r. Laureat Busoli PRZEGLĄDU z 2003 r.

Nie ukrywam, że jestem wzruszona, rozmawiając z panem, prekursorem in vitro w Polsce, dzięki któremu urodziło się tyle dzieci.

– Dziękuję pani, ale nie wszyscy mają o mnie podobne zdanie. Na przykład przed laty na spotkaniu opłatkowym arcybiskup białostocki powiedział coś takiego: „Profesorze, ileż się złego w Polsce przez pana dzieje...".

Przecież podarował pan ludziom cudowną metodę, dzięki której mogli zostać rodzicami.

– Mam i dowody wdzięczności. Dostałem niedawno zdjęcie naszego pierwszego dziecka, które ma dziś 32 lata i trójkę własnych dzieci poczętych w sposób naturalny.

W Polsce ludzie chyba ciągle jeszcze się nie przyznają do tego, że są z in vitro.

– Pod tym względem wiele się zmieniło na plus. Kiedy zaczynaliśmy in vitro i ośrodek białostocki był jedynym, gdzie takie dzieci się rodziły – a nie było wtedy komputerów i poczty elektronicznej, więc korespondencja odbywała się listownie – proszono, aby przesyłać informacje od nas w kopercie bez pieczątki.

Nie wiedziałam o takim kamuflażu... Ale mamy kolejny rok, można go potraktować jak nowy początek życia. Czym – pana zdaniem – jest życie, kiedy się zaczyna?

– Proszę pani, to pytanie do filozofów. Mnie interesuje etyka w postępowaniu lekarskim – jeśli jest choroba i można ją pokonać dostępnymi narzędziami i metodami medycznymi, jest to postępowanie etyczne. Pani wie, że filozofowie różnie określają, gdzie zaczyna się życie. Jedni – że od trzeciego miesiąca, drudzy, że od poczęcia, i wtedy mówią, że kiedy komórka jajowa połączy się z plemnikiem, to już jest człowiek. A przecież zdarzają się ciąże, gdzie jest puste jajo płodowe, nie rozwija się zarodek i tam na pewno nie ma człowieka.

Czym się różni życie poczęte dzięki in vitro od poczętego w sposób naturalny?

– Niczym, w inny tylko sposób doszło do zapłodnienia. Natomiast doktryna Kościoła katolickiego jest taka, że życie ludzkie powstaje ze stosunku płciowego małżonków, którzy są pomocnikami Pana Boga w kreowaniu nowego życia. Dlatego m.in. Kościół jest przeciwny in vitro.

Skąd się wzięło u pana zainteresowanie nauką i wspomnianą metodą zapłodnienia? Dla mnie to rodzaj cudu, cudu nauki, który fascynuje.

– U mnie to było bardzo proste. Gdy kończyłem studia, chciałem zostać internistą. Ale trafiłem na staż do szpitala wojewódzkiego w Białymstoku, gdzie spotkałem dwóch wybitnych nauczycieli – prof. Stefana Soszkę i prof. Aleksandra Krawczuka, którzy od lat próbowali pomóc parom niemogącym mieć dzieci. Wtedy się tym zainteresowałem i podjąłem specjalizację z położnictwa i ginekologii. Następnie na jednym z wyjazdów zagranicznych nauczyłem się leczenia niepłodności poprzez operowanie uszkodzeń układu płciowego kobiety. Niestety, skuteczność tego leczenia była na poziomie kilkuprocentowym. Natomiast okazało się, że nowa metoda – zapłodnienie pozaustrojowe – daje u młodych kobiet możliwość zajścia w ciążę i urodzenia dziecka nawet w 40%. Zaciekawiło mnie to, zresztą informacje na ten temat docierały do nas wcześniej. Wiedzieliśmy o pierwszej dziewczynce z in vitro, Louise Brown, która urodziła się w 1978 r., potem o innych dzieciach. W 1983 r. dzięki pobytowi w Szwecji w ramach *visiting professors*, w klinice ginekologicznej Szpitala Uniwersyteckiego w Göteborgu zobaczyłem na własne oczy, jak to się robi. Wziąłem kartkę papieru i zacząłem spisywać, co jest nam potrzebne, aby takie zabiegi wykonywać w Polsce, jakie trzeba mieć umiejętności i jakiego typu narzędzia. Byłem wtedy kierownikiem Zakładu Endokrynologii Ginekologicznej AM w Białymstoku, a potem, gdy prof. Soszka przeszedł na emeryturę, zostałem dyrektorem Instytutu Położnictwa i Chorób Kobiecych.

eprasa.pl 4f71467cce

I chcę tylko powiedzieć, że miałem zespół młodych, ambitnych i energicznych ludzi z otwartymi głowami, dzięki którym mogliśmy wprowadzić in vitro w Polsce. Kiedy potem zostałem odznaczony Krzyżem Komandorskim, powiedziałem, przytaczając słowa Napoleona, że „żołnierze wygrywają wojnę, a dowódcy otrzymują ordery".

Coś w tym jest. A co pan obecnie uważa za największy postęp w ginekologii i położnictwie?

– Na dziś to chyba endoskopia. Podam pani taki przykład. Kiedy byłem kierownikiem kliniki, pacjentka, która miała operację przy otwartej jamie brzusznej, przebywała w szpitalu od 10 do 14 dni. Teraz nie ma tak rozległej ingerencji, bo wykorzystujemy endoskop i taka kobieta po dwóch dniach po zabiegu jest w domu. Druga rzecz to leki na niepłodność, których kiedyś nie było. I trzecia – mamy obecnie 39 wyspecjalizowanych ośrodków leczenia niepłodności za pomocą in vitro, podczas gdy wcześniej trzeba było samemu sobie radzić. Ale to wszystko stało się dzięki konsultacjom z naszymi kolegami z zagranicy, współpracy z Europejskim Towarzystwem Medycyny Rozrodu, profesorami Robertem Edwardsem i Jeanem Cohenem, którzy je zakładali i organizowali coroczne konferencje, w których uczestniczyło po 10-12 tys. specjalistów.

Co się zmieniło, jeśli chodzi o technikę in vitro, na przestrzeni tych już ponad 40 lat, czyli od narodzin Louise Brown?

– Nastąpił rozwój obrazowania tego, co się dzieje w narządach wewnętrznych człowieka, i teraz pobiera się komórki jajowe wyłącznie przy wykorzystaniu USG. Milowym krokiem w metodach wspomaganej prokreacji było wstrzyknięcie pojedynczego plemnika do komórki jajowej, co zapoczątkowano w 1992 r. w Belgii. A ponieważ zarodek musi być hodowany w specjalnym środowisku, zbliżonym do naturalnego, gdzie są płyny, odpowiednia wilgotność i temperatura, to rozwinęły się inkubatory i mamy już takie z systemem *time-lapse*, dzięki czemu można śledzić podziały komórkowe w zarodkach.

Można podglądać, jak tworzy się życie ludzkie!

– Ale mamy istotny problem, który do dziś nie został rozwiązany. Aby ciąża się rozwijała, muszą być spełnione dwa kluczowe warunki: dobrej jakości zarodek i odpowiednio przygotowane endometrium – błona śluzowa w macicy, gdzie on się zagnieżdża. I jeśli dziś uważa się, że skuteczność in vitro jest na poziomie średnio ok. 30% na jeden cykl, to głównym czynnikiem, który szwankuje, jest nieprawidłowo przygotowane endometrium.

10% populacji ma problemy z płodnością i tym osobom należy pomagać.

Może sztuczna macica mogłaby zastąpić naturalną?

– Na razie to projekt dla wcześniaków, bo taka macica byłaby lepsza niż inkubator... Natomiast można przeszczepić macicę i pierwszy taki przeszczep został wykonany w 2015 r. w Szwecji. Był udany, tzn. w tej macicy rozwinęły się zarodki z in vitro i kobieta urodziła dziecko.

Czy można by taką macicę przeszczepić np. 70-letniej kobiecie, która pragnie zostać matką?

– Teoretycznie to możliwe. Ale raczej się tego nie praktykuje, bo wiek ma swoje ograniczenia. Ja jestem nastawiony na pomoc parom. Chociaż zdarzały się sytuacje dramatyczne, np. gdy kobieta przeszło 40-letnia straciła swoje jedyne dziecko w wypadku i chcąc zajść w ciążę, nie mogła skorzystać z własnych komórek jajowych. W jej przypadku zastosowaliśmy in vitro, ale musiała też mieć dawczynię oocytów i w ten sposób urodziła dziecko. To są często trudne wybory. 90% populacji nie ma problemów z płodnością, ale 10% je ma, co w Europie przekłada się na ok. 35 mln par. I tym osobom należy pomagać. Natomiast inne zdobycze nauki, dzięki którym można ingerować w płeć mającego się urodzić dziecka czy klonować człowieka, mnie nie interesują.

To wyprzedził pan moje pytanie.

– Podzielam pogląd większości zajmujących się medycyną rozrodu, że klonowanie powinno być dopuszczalne wyłącznie w celu poznawania mechanizmów powstawania patologii i pomocy chorym, gdy dzięki klonowaniu tkanek można kogoś wyleczyć. I jestem np. ogromnym entuzjastą hodowli zwierząt transgenicznych, które będą bazą przeszczepów dla ludzi.

A co by pan powiedział kolegom lekarzom i naukowcom, którzy uważają, że metoda in vitro to łamanie praw boskich? Podobno do jej przeciwników należał współodkrywca struktury DNA James Watson.

– Powiem inaczej – człowiek ma wolną i nieprzymuszoną wolę i nie ma obowiązku leczenia niepłodności. Ale jeśli jest para, która powodowana instynktem rodzicielskim potrzebuje takiej pomocy, to trzeba jej pomocy udzielić. Patriarchowie ze Starego Testamentu postępowali inaczej. Abraham najpierw miał syna ze swoją niewolnicą egipską, ale potem Sara urodziła mu Izaaka, kiedy miała 96 lat, a stało się to przy pomocy aniołów. Izaak z Rebeką, zgodnie z opisami w Biblii, także doczekali się potomstwa przy pomocy aniołów. Po prostu kiedyś kontakt z aniołami był łatwiejszy, a teraz... medycyna musi ich zastąpić, oczywiście w sposób mniej doskonały.

To ładnie powiedziane.

– Prawo do posiadania potomstwa należy do podstawowych praw człowieka. Okazuje się, że jest wykładnia Kościoła katolickiego, która mówi, że człowiek nie ma prawa do posiadania potomstwa, ma je tylko do prokreacji, czego wynikiem dopiero jest potomstwo. Ja takich poglądów nie podzielam. Z drugiej strony podoba mi się to, co mówi prof. Marian Filar, który porównuje Kościół rzymskokatolicki, jeśli chodzi o jego odniesienie do medycyny rozrodu, do autobusu, który jest na szczycie góry i musi z niej zjechać, ale ma bardzo silnie wciśnięte hamulce i od czasu do czasu musi te hamulce popuszczać. Ten sam prof. Filar podaje, że Kościół zmienił doktrynę względem tych spraw, co polega na tym, że dopuścił planowanie naturalne. A jest to przecież abstynencja seksualna w okresie koncepcyjnym.

Dziś za największy postęp w ginekologii i położnictwie uważam endoskopię.

Tak, to ewidentnie ingerencja w plany boskie.

eprasa.pl 4f71467cce

– Prawdopodobnie jest też jakieś ciche przyzwolenie na stosowanie środków antykoncepcyjnych. Może dlatego, że statystyki światowe są alarmujące, jeśli chodzi o liczbę przerwań ciąży. Ja jestem przeciwnikiem aborcji, a zwolennikiem skutecznej antykoncepcji. Natomiast to, co się dzieje w Polsce, jest postawione na głowie.

W jakim sensie?

– Zrezygnowano z dofinansowania in vitro, dzięki któremu w wyniku ostatniego trzyletniego programu urodziło się przecież ponad 22 tys. dzieci. Natomiast były minister zdrowia Konstanty Radziwiłł wprowadził program ochrony prokreacyjnej, który polega na diagnostyce, ale nie dopuszcza finansowania leczenia niepłodności metodami wspomaganej prokreacji. Ten nowy program to tak naprawdę ciche wsparcie naprotechnologii. Z tego programu urodziło się raptem 70 dzieci. Jeżeli chodzi o inny program, o „Rodzinę 500+", to nie wiem, na ile polepszyła się sytuacja materialna dzieci, ale w kwestii poprawy sytuacji prokreacyjnej był to i jest totalny niewypał. A przecież wydano gigantyczne pieniądze!

Na szczęście niektóre samorządy wprowadziły dofinansowanie in vitro.

– Ja usiłowałem zainicjować finansowanie in vitro w Białymstoku, ale nie udało się. Prowadziłem rozmowy na ten temat, ale panuje przekonanie, że rada miasta takiego programu by nie uchwaliła. Sprzeciw wynika z doktrynalnego podejścia do wielu kwestii w medycynie rozrodu. Na przykład nasienie do in vitro uzyskuje się poprzez masturbację, a doktryna katolicka jasno mówi, że ma ono być złożone w pochwie kobiety podczas stosunku płciowego. Nasze rozwiązania są więc grzeszne. Innym zarzutem jest „mordowanie zarodków". Człowiek jest tak ukształtowany, że jego komórki rozrodcze mają do 65% defektów genetycznych i to jest przenoszone na zarodki, które wtedy giną w sposób naturalny, a więc są stracone życia. Ale okazuje się, że naturze wolno to robić, natomiast jeśli w pozaustrojowym zapłodnieniu dochodzi do obumierania zarodków, mówi się o mordowaniu tysięcy czy milionów żyć. Taka jest więc nieprzychylna retoryka, która nam towarzyszy.

Laureaci Busol 2003 r.

Pan dalej pracuje?

– Tak, pracuję w szpitalu klinicznym, gdzie mam jedną ósmą etatu, bo od 2005 r. jestem na emeryturze. Przychodzę do kliniki codziennie, korzystając z tego przywileju, że jestem doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, zajmuję się w niewielkim zakresie dydaktyką w UMB. Wykładam też na Wydziale Nauk o Zdrowiu Państwowej Wyższej Szkoły Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży, gdzie uczę pielęgniarki medycyny rozrodu. Do niedawna operowałem, ale przestałem, bo trzeba by to robić codziennie, by nie wyjść z wprawy.

Jakie operacje pan wykonywał?

– Najpierw wszystkie z zakresu ginekologii. Potem głównie przypadki związane z leczeniem niepłodności, np. bardzo odpowiadały mi operacje wyłuszczania mięśniaków, które są jednym z czynników ograniczających zajście w ciążę. Robiłem także korektę zmian pozapalnych na terenie jamy brzusznej, które są drugą przyczyną niepłodności u kobiet – po zaburzeniach funkcji jajników. Ale jak już wspominałem, skuteczność takich zabiegów była bardzo niska. Pierwsza kobieta, która urodziła w Białymstoku dziecko dzięki in vitro, wcześniej miała operowane jajowody. Wiedziała, że nie ma żadnych szans na potomstwo, i wyraziła zgodę na zastosowanie nowej metody, którą dopiero co wdrażaliśmy. Efekt był pomyślny.

Kiedy stosuje się in vitro?

– Gdy są zmiany w jajowodach. Podam skrajny przykład – u młodej kobiety mającej dwukrotnie ciążę pozamaciczną, w wyniku czego obcięto jej oba jajowody. W tej sytuacji nie miała ona żadnej szansy na to, by doczekać się potomstwa. Jedyną metodą było zapłodnienie pozaustrojowe. Kolejny przykład wskazania – u młodej dziewczyny z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego powikłanego pęknięciem zrobiono operację, w efekcie której miała zrosty w jamie brzusznej, uniemożliwiające jej potem naturalne zajście w ciążę. Innym wskazaniem jest mała liczba plemników. Przykładem jest mężczyzna, który ma zachowane wytwarzanie plemników i one są do pozyskania z jąder czy z najądrzy. Następne wskazanie to endometrioza, gdzie mamy ogniska błony śluzowej macicy w jamie brzusznej, które następnie powodują niepłodność. In vitro stosuje się także w sytuacjach, gdy operacyjne lub farmakologiczne leczenie niepłodności nie daje rezultatów i wtedy jest to metoda ostatniej szansy.

W wyniku ostatniego trzyletniego programu dofinansowania in vitro urodziło się ponad 22 tys. dzieci.

FOT. ZBIGNIEW KRZYWICKI, MARIUSZ GRZELAK

eprasa.pl 4f71467cce

To powinno przekonywać ludzi.

– Powinno. Nie mamy precyzyjnych statystyk, ale według szacunków bez technik rozrodu wspomaganego medycznie ponad 50% par z niepłodnością nie ma żadnych szans, aby doczekać się potomstwa.

Jest pan ciągle entuzjastą swojego zawodu...

– Często żartuję, że stypendium ZUS niestety radości nie daje.

Jest pan też społecznikiem, niejednokrotnie był pan radnym, a w 1989 r. kandydował do Senatu.

– Wtedy przegrałem, bo nie miałem zdjęcia z Wałęsą.

Dzisiejsze problemy marszałka Grodzkiego są nie do pozazdroszczenia.

– Znalazł się w obrzydliwej sytuacji nagonki. Ale wierzę, że da sobie radę i Senat pod jego kierunkiem będzie wypełniał funkcję, jaka jest mu przypisana prawnie. Natomiast na pewno nie będę głosował na aktualnego prezydenta, bo on nie wywiązuje się ze swojej roli.

Zahaczyliśmy o politykę... Czy do rzeczy będzie pytanie o jakieś pana inne pasje?

– Zawsze miałem dodatkowe aktywności-pasje. Początkowo było to wędkarstwo. W 1946 r. ojciec po raz pierwszy wykupił pozwolenie na wędkarstwo w starostwie w Augustowie. Wędkowałem w różnych akwenach, i to namiętnie. Potem zajmowałem się myślistwem. Następnie odkryłem wspaniały sport, ale niestety za późno – grę w golfa.

Za późno?

– Tak, za późno, bo mam dolegliwości, które odbierają mi już radość z uprawiania tego sportu. Ale zachęcam innych, młodszych, aby zajmowali się tą dziedziną.

Dużo pan wędkował?

– To były setki godzin spędzonych nad wodą, w różnych miejscach. Nawet się pochwalę, bo na Oceanie Indyjskim wyciągnąłem z wody 30-kilogramowego tuńczyka. Łowiłem też w Laponii za kołem polarnym i tam udało mi się złapać pstrąga.

W pana zawodowe ślady poszedł syn, który dziś jest już profesorem. Czy trochę z panem konkuruje?

– Bo ja wiem? Obecnie jest kierownikiem kliniki, którą i ja kierowałem. Po prostu taka jest kolejność. Kiedy prof. Soszka przeszedł na emeryturę, ja przejąłem po nim stanowisko na 21 lat. Po mnie kierownikiem był prof. Knap, a gdy odszedł na emeryturę, w konkursie wystartował syn. Ale kiedy przyglądam się jego pracy, to mu nie zazdroszczę.

Dlaczego?

– Bo to dzisiaj trudne miejsce aktywności. Ale jestem z niego dumny, ponieważ on jest naprawdę dobry w tym, co robi, czyli w operacjach endoskopowych.

Gratuluję syna.

– Przy okazji dodam, że mam wnuka, który także ma rezydenturę z położnictwa i ginekologii.

To mamy klan ginekologów!

– Tak jest!

Niezła rodzinka.

– Wnuk ma już syna, więc ja mam prawnuka, natomiast dwa dni temu urodziła się prawnuczka.

Cieszy się pan?

– Są powody do radości, ale to mi dodaje lat...

Barbara Jagas

eprasa.pl 4f71467cce

Pośladki przemówiły na scenie

Teatr 2019 – plusy i minusy

Mein Kampf

Tomasz Miłkowski

Minął rok, co jak zwykle prowokuje do przeglądu. Jak zawsze pojawiają się jakieś sygnały, nowe mody, może trendy. Co przeminie, a co wzrośnie, czas pokaże. Tymczasem zebrałem po siedem plusów i minusów minionego roku teatralnego.

PLUSY

Powrót Masłowskiej

Dramaturgia Doroty Masłowskiej, która była objawieniem przed laty (rewelacyjne „Między nami dobrze jest"), wróciła z wielkim impetem prapremierą „Innych ludzi" w reżyserii Grzegorza Jarzyny w TR Warszawa i premierą „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną" w reżyserii Pawła Świątka w krakowskim Teatrze im. Juliusza Słowackiego.

Grzegorz Jarzyna ma dobrą rękę do tekstów tej autorki. Toteż jej hiphopowy poemat musical „Inni ludzie", o Warszawie końca drugiej dekady XXI w., w okowach neokapitalizmu, smogu i zatruwającej umysły retoryki, przybrał kształt widowiska przerażającego trafnością diagnoz. Jarzyna, eksponując żywioł języka, który u Masłowskiej zawsze jest probierzem i jądrem rzeczywistości, zaprzęga do uruchomionej machiny teatralnej zsynchronizowane z akcją sceniczną: muzykę, chóry, projekcje wideo, a przede wszystkim armię współpracowników.

Kiedy powieść „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną" wyszła 17 lat temu, okazało się, jak trafnie Masłowska daje świadectwo zmian mentalnych i kulturowych zachodzących w Polsce pod wpływem triumfującego pochodu płaskiej kultury masowej i żarłocznego kapitalizmu. Jej błyskotliwy debiut ukazany po latach na krakowskiej scenie błyszczy nowością za sprawą świetnego zamysłu adaptatora (Mateusz Pakuła), który rozpisał tekst wyłącznie na postacie kobiece. Na scenie zamiast głównego bohatera powieści, prowincjonalnego *macho* Silnego, króluje galeria kobiet z jego otoczenia. Koncertowo zagrany spektakl pokazuje, jakie niebezpieczeństwa rodzą w Polsce populizm i ksenofobia.

Lupa na Capri

Krystian Lupa, odwołując się do wielkich reportaży Curzia Malapartego, „Kaputt" i „Skóra", ukazał upadek cywilizacji europejskiej. Spektakl „Capri – wyspa uciekinierów" w warszawskim Teatrze Powszechnym mówi o duchowym spustoszeniu, jakie stało się następstwem kataklizmu II wojny światowej, uwodzicielskiej siły faszyzmu i nazizmu. „Dwa tysiące lat stracone" – taka pada diagnoza ze sceny, a spektakl potwierdza niebezpieczny stan zmierzchania, znaczony zbrodniami nazistów i moralnym upadkiem przegranych i zwycięzców. Poruszająca wizja świata w głębokim kryzysie.

Spektakl formalnie skomplikowany, z precyzyjnie namalowanymi obrazami jak freski w starych kościołach i pałacach, jak rzeźby w galeriach, trwający niemal sześć godzin, trzyma w napięciu widza, prowadzonego na koniec do jaskini. Czyżby ludzkość miała zaczynać wszystko od początku?

Gołda wspomina

Gołda Tencer w minionym roku dokonywała cudów, aby ukazać niebywałą aktywność Teatru Żydowskiego. Bezdomny teatr stawał się niemal wszechobecny. Te zdumiewające osiągnięcia (także w kolejnych edycjach festiwalu Warszawa Singera) przyniosły jej wielkie wyróżnienie – Nagrodę im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego polskiej sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych AICT „za tworzenie nowych przestrzeni polskiego teatru, a zwłaszcza prowadzenie i unowocześnianie Teatru Żydowskiego im. Estery Rachel i Idy Kamińskich".

Wybitna artystka i niestrudzona dyrektorka Żydowskiego wydała także wraz z Katarzyną Przybyszewską-Ortonowską książkę wspomnieniową „Jidisze mame". To wielka księga. Monumentalna – objętość prawie 600 stron, mnogość zdjęć, chyba kilkaset, setki bliskich, znajomych

eprasa.pl 4f71467cce

i nieznanych twarzy. Powstała nie tylko opowieść o losach małej Geni z ulicy Próchnika 28 w Łodzi, która kieruje dzisiaj wielką Fundacją Shalom, dorocznym festiwalem Warszawa Singera i Teatrem Żydowskim. To także opowieść o jej pokoleniu, o generacji rówieśników, koleżankach i kolegach z Żydowskiej Szkoły im. Icchoka Lejba Pereca w Łodzi. Nie do przecenienia świadectwo historii, a przy tym lektura fascynująca, pociągająca rozmachem i klimatem.

Błyskotliwa komedia Modzelewskiego

Już podejrzewałem, że polscy autorzy zapomnieli, jak się pisze komedie. Na scenach komercyjnych dominują farsy i komedie anglosaskie, nie zawsze pierwszego gatunku. Tymczasem w warszawskim Teatrze Współczesnym na Scenie w Baraku radosna niespodzianka – znakomita komedia Marka Modzelewskiego „Wstyd" w perfekcyjnej reżyserii Wojciecha Malajkata. W tej świetnie napisanej tragikomedii kluczem otwierającym szafy z trupami staje się wesele, do którego w ostatniej chwili nie dochodzi. Autor i reżyser grzebią bohaterom w duszach i w pamięci, wywlekają na wierzch poutykane brudy. Okaże się, że zerwane wesele to najmniejszy powód do wstydu, jaki powinni oni odczuwać. A do tego koncert czworga aktorów: Izy Kuny, Agnieszki Suchory, Jacka Braciaka i Mariusza Jakusa.

Wiśniewski czyta „Dziady"

Janusz Wiśniewski zaskoczył wielbicieli i przeciwników interpretacją „Dziadów" Adama Mickiewicza na deskach warszawskiego Teatru Polskiego. I jedni, i drudzy spodziewali się charakterystycznego dla artysty korowodu miniscenek, składających się na obraz zagubionego świata. Tymczasem reżyser, słynący ze spektakli autorskich, rezygnuje z ich atrakcyjnych atrybutów i oddaje głos poecie, dzięki czemu słowo Mickiewicza olśniewa pięknem. Zachwycające role stworzyli tu Wiesław Komasa (ksiądz Piotr) i Krzysztof Kwiatkowski (Senator). Udany debiut zapisze na swoim koncie młodziutki Jakub Kordas (Konrad).

Dopiero w finale przedstawienie wpada w rytm znany z autorskich spektakli Wiśniewskiego, z przygasającą i rosnącą muzyką Jerzego Satanowskiego i cyzelowanym ruchem scenicznym Emila Wesołowskiego podczas balu u Senatora. Ale najważniejsze jest przesłanie, które należy do Ducha (monumentalny Henryk Łapiński). Duch wypowiada na koniec pamiętne słowa z prologu III części „Dziadów": „Ludzie! Każdy z was mógłby samotny, więziony, / Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony!". Wszystko zatem w rękach nas samych. Wybór należy do człowieka.

Mein Kampf

Gorąco dyskutowany spektakl w reżyserii Jakuba Skrzywanka (dramaturgia Grzegorz Niziołek) w Teatrze Powszechnym w Warszawie stawia pytania nie tyle o to, czym był hitleryzm, jakie były jego źródła, ile o to, jak głęboko idee nazistowskie tkwią w świadomości społecznej. Zdarzenie to wpisuje się w logiczny ciąg „teatru po »Klątwie«". Już w prologu zderzamy się z prowokacją estetyczną – program Hitlera aktorzy przedstawiają jako wypowiedź animowanych własnych obnażonych półdupków (dosłownie). Dziesięć albo i więcej minut trwa wykrzyczany monolog tyłka obróconego w stronę widowni, a po jego zakończeniu zlany potem i czerwony z wysiłku aktor (Oskar Stoczyński) próbuje nawiązać bezpośredni kontakt z widzami. Takich przekroczeń jest więcej – przerwę reżyser wykorzystał, aby wyprowadzić aktorów do foyer. Przebrani w monstrualnych rozmiarów kostiumy małpoludów o ogromnych tyłkach, obwisłych piersiach (kobiety) i wybujałych członkach (mężczyźni), zaczepiają i zapraszają widzów na widownię. Wtedy zaczyna się „rasowy" finał: Aleksandra Bożek czyta fragmenty „Mein Kampf" poświęcone hodowli czystych rasowo Niemców. W to czytanie wkradają się gry erotyczne, orgie małpoludów i wyświetlany na ekranie cytat z przedwojennego filmu „Czarna perła" z piosenką „Dla ciebie chcę być białą" Eugeniusza Bodo i Reri. Celowo niedopasowane połączenie idiotycznej piosenki z fragmentami „Mein Kampf" tworzy prawdziwą mieszankę wybuchową.

Niezwyciężony Kościelniak

Wojciech Kościelniak, mistrz polskich musicali, wciąż zaskakuje premierami. W minionym roku zachwycił spektaklem „Jutro zawsze będzie jutro" z wrocławskimi studentami, którzy z songów Bertolta Brechta stworzyli emocjonalne widowisko o tym, co dla człowieka najważniejsze. Dowiedli, jak współczesne to teksty. Ale najsilniej zalśnił

Wstyd

jego „Śpiewak jazzbandu" według sztuki Samsona Raphaelsona w Teatrze Żydowskim. Autor postawił parę prostych pytań: czy syn kantora może zostać tylko kantorem? Czy jeśli ciągnie go w inną (muzycznie) stronę i ulegnie pokusie, to popełni zdradę? Powstał spektakl pełen energii, znakomitych partii wokalnych i brawurowych scen zbiorowych (porywająca choreografia Eweliny Adamskiej-Porczyk) do oryginalnej muzyki Mariusza Obijalskiego. A przy tym wysmakowane widowisko, nawiązujące do epoki przełomu kina niemego i dźwiękowego.

MINUSY

Passini w opałach

Spektakl Teatru Maska „#chybanieja" (scenariusz Artur Pałyga, reżyseria Paweł Passini) oświetla z wielu stron, poparte konkretami, zjawisko pedofilii w Kościele, jej uprawiania, tolerowania, a nawet tuszowania. Ten mocno wyakcentowany motyw, prowadzący jednego z bohaterów, młodego wikarego, do porzucenia stanu duchownego, dał pretekst do próby zablokowania premiery w rzeszowskim teatrze przez prezydenta tego miasta. Tadeusz Ferenc, powołując się na opinie zaniepokojonych hierarchów, chciał wrócić do niesławnych praktyk cenzury.

eprasa.pl 4f71467cce

Tymczasem władze kościelne zdystansowały się od tej decyzji, oprotestowanej przez liczne grono twórców kultury, a patronującemu Festiwalowi Nowe Epifanie Centrum Myśli im. Jana Pawła II ani przez myśl nie przeszło, aby wykreślać spektakl z programu. Przeciwnie, został zagrany na otwarcie imprezy, przyjęty niemal owacyjnie, choć z należną powagą.

Pantomima zagrożona

Sztuka pantomimy napotyka dzisiaj przeszkody wewnętrzne i zewnętrzne. Słynna wrocławska Pantomima Tomaszewskiego nie dotrzymuje sama sobie kroku i budzi wiele zastrzeżeń. Wysoko sztandar niesie warszawski Międzynarodowy Festiwal Sztuki Mimu, któremu przewodzi Bartłomiej Ostapczuk, lecz już od lat boryka się z kłopotami finansowymi, miasto Warszawa udaje, że tego festiwalu nie ma, a ostatnio nawet pojawiło się zagrożenie, że Teatr Warszawskiego Centrum Pantomimy straci siedzibę

Śpiewak jazzbandu

i w ogóle zniknie – tuż sprzed 20-leciem wspomnianego festiwalu. Na szczęście tym razem pomocna dłoń ratusza została wyciągnięta, ale przyjdzie pora na podziękowania, kiedy ocalenie tej pięknej inicjatywy (teatru i festiwalu) stanie się faktem. Warto przypomnieć, że w minionym roku Teatr Pantomimy Ostapczuka olśnił publiczność festiwalową spektaklem „Once" w reżyserii Antona Adasinsky'ego.

Niebagatelne oskarżenie

Rzecz dotyczy dyrektora krakowskiej Bagateli, ale bagatelna nie jest. Kilkanaście kobiet (aktorek i nie tylko) zatrudnionych w Teatrze Bagatela obwiniło dyrektora o molestowanie i mobbing. Śledztwo ostatnio przyśpieszyło. Oskarżany, ale nieprzyznający się do winy dyrektor został zatrzymany, szykuje się trudny proces, zwłaszcza dla ofiar.

Sprawa jest piekielnie brzydka i, jak można domniemywać, dotyczy nie tylko jednego teatru. Wcześniej dobiegały jedynie jakieś sygnały, ale prześladowane wreszcie powiedziały dość.

Apage feministki

Rafał Węgrzyniak wcielił się w rolę Katona, wyznając w recenzji z „Diabłów" w Teatrze Powszechnym: „Spektakl w Powszechnym mimowolnie ukazuje, jakim zagrożeniem dla cywilizacji europejskiej są opętane ideologią feministki. Bynajmniej nie chodzi im o akceptację orgazmu łechtaczkowego, jakoby zakazywanego przez Kościół i konserwatystów rządzących w Polsce na czele z Jarosławem Kaczyńskim podobno zamierzających kontrolować przy pomocy prokuratury życie seksualne stające się w ten sposób kwestią polityczną. W istocie celem feministek ujawnionym wprost w »Diabłach« jest obalenie trwającego ponad dwa tysiące lat w Europie chrześcijańskiego patriarchatu". Och, gdybyż to prawda była! Niestety, teatr nie ma w tej kwestii mocy sprawczej.

Grossman na zimno

Janusz Opryński, założyciel i wieloletni guru lubelskiego Teatru Provisorium, legenda polskiego offu, posłużył się w spektaklu „Wszystko płynie" (Teatr Soho, prapremiera podczas Konfrontacji Teatralnych w Lublinie) opartym na prozie Wasilija Grossmana całym rejestrem środków należących do kanonu teatru offowego. Jednak dwuosobowa „relacja z piekła" – jak piszą twórcy przedstawienia – wypadła niby sopel lodu. Emocje zastąpione formą wystygły. Był to pokaz, jak we współczesnym teatrze dialog zamiera na rzecz wykalkulowanych obrazów, kosztem treści. Wielka szkoda, bo przecież opowieść o łagrach i zbrodniach nazistowskich powinna wstrząsać widzem. Ale jak ma zachwycać, skoro nie zachwyca?

Dyrektorskie kontredanse

Przed kilkoma laty, po operacji zmiany dyrekcji we wrocławskim Teatrze Polskim, na stronie polskiej sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych AICT (www.aict.art.pl) znalazł się komentarz pod znamiennym tytułem „I po teatrze": „Po wyborze Cezarego Morawskiego na dyrektora Teatru Polskiego we Wrocławiu pracownicy teatru zapowiadają strajk. Krystian Lupa (przedstawiciel ZASP w komisji konkursowej) zgłosił *votum separatum* i zapowiedział zerwanie współpracy z Wrocławiem. Najwyraźniej skończyła się pewna epoka. Teatr Polski, jaki znamy, przeszedł do historii".

Święte słowa. Choć dyrektor konkursowy został już odwołany, Teatr Polski nie może się wygrzebać spod sterty obelg i nienawistnych relacji wewnętrznych. Widać, jak wysokie bywają koszty niefortunnych interwencji władzy w subtelną materię zarządzania instytucjami artystycznymi. Władza jednak nie wyciąga wniosków. Po wielu miesiącach wciąż nie został powołany na stanowisko dyrektora Muzeum Polin dotychczasowy dyrektor prof. Dariusz Stola, wybrany przez komisję konkursową. Podobno to nic nie szkodzi.

Policja w teatrze

19 października przed spektaklem „Śmierć białej pończochy" Mariana Pankowskiego w reżyserii Adama Orzechowskiego w Teatrze Wybrzeże pojawiła się policja, aby ustalić wiek młodych widzów i jednocześnie ocenić „stopień nagości występujący w tym przedstawieniu". To efekt donosu pewnego nauczyciela z Warszawy („przedstawiciela organizacji pozarządowej"), zaniepokojonego możliwością demoralizacji młodzieży.

Nie nastąpił ciąg dalszy – policja przybyła i odjechała, uspokojona, że niebezpieczeństwo nie nadciąga. Nie stwierdzono naruszenia prawa. Teatr od początku informował, że spektakl jest przeznaczony dla widzów od 16. roku życia. Przedstawienie cieszy się dobrą opinią recenzentów – zostało uznane za najlepsze w roku 2018 w Gdańsku i województwie pomorskim.

Tomasz Miłkowski

FOT. MAGDA HUECKEL

eprasa.pl 4f71467cce

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

Ja – kacapski idiota

W noworocznym numerze „Gazety Polskiej" pisze Piotr Lisiewicz: „Kto znając Rosję, nie jest rusofobem, jest albo kacapskim agentem, albo idiotą". Najprościej byłoby oczywiście odpowiedzieć, że kto czyta „Gazetę Polską", jest albo całkowicie ogłupiałym fanatykiem, albo samozakłamanym ciemniakiem. Znalazłoby się zresztą w pisemku Tomasza Sakiewicza nader wiele materiałów potwierdzających tę tezę.

Żeby jednak nie być oskarżonym o „wyrywanie zdań z kontekstu", na co skarżą się wciąż miłościwie nam panujący, gdy tylko coś nakłamią, wygłupią się lub nawiążą stosunki dyplomatyczne z San Escobar, trzeba przyznać, że nienawistne bzdury Lisiewicza spowodowane zostały nieszczęsnymi wypowiedziami Władimira Putina dotyczącymi przedwojennej polityki Rzeczypospolitej. Nie ulega wątpliwości, że były one niepotrzebne, niesprawiedliwe i w znacznej mierze historycznie fałszywe. Być może wymagały też polskiej odpowiedzi. Ale na pewno nie stanowią jej głupie wyzwiska wypluwane przez Lisieckiego. Nie stanowi jej również totalna negacja i potępienie w czambuł. W Europie uwagę na oskarżenia Putina zwróciła drobna mniejszość, którą sprawy nadwiślańskie w ogóle interesują. Ci nieliczni znają jednak historię i odpowiedź władz warszawskich udzielona Rosjanom będzie ich raczej przekonywać, że w tym akurat sporze wart Pac pałaca w naciąganiu faktów, więc remis i nie ma o co łamać krzeseł.

Balon antyrosyjskich nastrojów jest już tak nadmuchany, że może tylko pęknąć.

17 września 1939 r. wojska radzieckie weszły do Polski na podstawie tajnego zapisu w pakcie Ribbentrop-Mołotow. Było to niewątpliwie (acz armia polska była już rozbita) działanie amoralne i zdradzieckie. Jednakże 2 października 1938 r. oddziały polskie pod dowództwem gen. Władysława Bortnowskiego wkroczyły do Czechosłowacji, współdziałając obiektywnie z hitlerowcami zajmującymi w tym samym czasie czeskie Sudety. Uwagę zwraca identyczność używanych przez Rosjan i Polaków argumentów. Jedni i drudzy mówili o „powrocie do macierzy" okupowanych ziem (w Rzeczypospolitej wydano nawet znaczki pocztowe z tym sloganem) i „ochronie ich ludności". Dodajmy, że Polakom ich agresja nie dała nic poza hańbą, natomiast Stalin oddalił o kilkaset kilometrów linię wyjścia armii niemieckich podczas ich ataku na ZSRR. Zabrakło ich potem hitlerowcom, żeby zdobyć Moskwę, choć dotarli na jej przedpola. Teza, że każde państwo musi działać w swoim żywotnym interesie, jest powszechnie przez polityków przyjmowana. W przeciwieństwie do Polski Becka i Rydza-Śmigłego Rosja może się na nią powołać, toteż sobie tego nie żałuje i znajduje szerokie zrozumienie.

Antysemickie deklaracje ambasadora Lipskiego wyrwane zostały być może z kontekstu (patrz wyżej o wyrywaniu), nie zmienia to jednak w niczym faktu, że przedwojenna Polska była do szpiku antysemicka, co potwierdziło się podczas okupacji, w powojennych pogromach żydowskich niedobitków i trwa do dzisiaj, w enuncjacjach choćby... „Gazety Polskiej". Śmieszni demagodzy wykrzykują potem, że słowo pogrom pochodzi z języka rosyjskiego (ściślej, jest to nie rusycyzm, ale rutenizm, *vide* ukraińskie *pohromyty*). Nikt nie zaprzecza, że – szczególnie w XIX w. – Żydzi byli w Rosji prześladowani. Wszelako akurat podczas II wojny światowej ZSRR był dla Żydów krajem ratunku. „Ocalonym na wschodzie" był nie tylko Julian Stryjkowski, ale i setki tysięcy jego pobratymców. Nieprzypadkowo w 1948 r. Golda Meir z pierwszą wizytą dyplomatycznej misji izraelskiej przybyła do Moskwy właśnie. I chociaż Żydowski Komitet Antyfaszystowski został w listopadzie 1948 r. rozwiązany, a fale antysemickie jeszcze niejednokrotnie powracały, to ZSRR był w latach 1939-1945 azylem dla unicestwianej ludności żydowskiej bez względu na etymologiczne igraszki.

Gdyby rząd polski w odpowiedzi Putinowi uczciwie rozdzielił, co było w jego stwierdzeniach propagandowym przekłamaniem, a co powiedzieć miał prawo, zostałoby to zapewne przyjęte przez zagranicę z życzliwym zrozumieniem. A tak zostaje magiel. Putin w nas rzekomym przyczynieniem się do wybuchu II wojny światowej, to my w niego Lisiewiczem. Z tym że Lisiewicz na historii się nie zatrzymuje. Dla niego Putin, głowa potężnego państwa, to „nędzny, podrzędny podpułkownik KGB". Doprawdy, ambasada rosyjska w Warszawie nie musi mu odpowiadać, że Duda to pucułowaty, niedorobiony prawnik, którego wstydzi się nawet promotor jego pracy doktorskiej. Po pierwsze, dlatego że ważąc ciężar gatunkowy pana Lisiewicza, żadna waga nawet nie drgnie. Po drugie, gdyż oficjalna odpowiedź jego duchowych przewodników okazała się wystarczająco stronnicza, by przyjmować ją na serio do wiadomości. Jeśli zaś w całej tej „narodowej jednomyślności" chodziło o rozdmuchiwanie antyrosyjskich nastrojów, to próżny trud. Balon jest już tak nadmuchany przez władzę, pod rękę zresztą z „Gazetą Wyborczą" czy piewcami nieskalanej i znieważanej Polski, że może tylko pęknąć, co oczywiście bardzo by ucieszyło takiego jak ja niepoprawnego kacapskiego agenta albo idiotę.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4f71467cce

KURTYNA W GÓRĘ

STUDIUM DEPRESJI

Adaptacja sceniczna powieści Houellebecqa nie była prosta. Ta pierwszoosobowa opowieść snuta przez 46-latka pogrążonego w depresji bardziej nadaje się na monodram niż na wieloosobowy spektakl. A jednak twórcom udało się pokonać tę barierę, ponosząc tylko niewielkie straty. Pomysł podwojenia głównego bohatera, którego grają Marcin Czarnik i Roman Gancarczyk, pozwolił postaci na samoobserwację, a Florent-Claude poświęca najwięcej uwagi samemu sobie. Różnica wieku i temperamentu aktorów daje tu pole do dodatkowej gry: Czarnik demonstruje histeryczną energię bohatera, Gancarczyk zaś melancholijne usposobienie, podszyte autoironią. Owocuje to zaskakującym komizmem wielu sytuacji.

Houellebecqowi, a za nim Miśkiewiczowi, udało się stworzyć wiarygodny portret człowieka, który postanowił się usunąć na ubocze życia. Florent-Claude, należący do elity klasy średniej, dobrze zarabiający rządowy ekspert, traci nadzieję. Jego libido zamiera, ambicje zawodowe usychają, pragnienia bledną. Stan względnej równowagi utrzymuje jedynie dzięki antydepresantom. Pewnego dnia postanawia zniknąć. Zrywa z kochanką, pracą, domniemanym prestiżem. Nowy Florent-Claude przygląda się temu dawnemu. Uciekając od siebie, próbuje dokonać obrachunku. Ważnym doświadczeniem okazuje się spotkanie z Aymerickiem, przyjacielem ze studiów (świetny Krzysztof Zarzecki). Florent-Claude obserwuje upadek wielkich nadziei przyjaciela, jego życiową klęskę. Świat rozczarowuje na równi tych, którzy odwracają się do niego tyłem, jak i tych, którzy próbują go zmieniać. Na depresję chorują nie tylko ludzie, ale także kraje, kontynenty, cały świat. Taka cicha apokalipsa.

Tomasz Miłkowski

„Serotonina" według powieści Michela Houellebecqa, tłumaczenie Beata Geppert, reżyseria Paweł Miśkiewicz, Studio teatrgaleria, premiera 20 grudnia 2019

ZASŁUCHAJ SIĘ

Carl Wolf
Mendelssohn, Schubert, Chopin
DUX

Płyta z utworami Schuberta, Chopina i Mendelssohna wydaje się szczególnie interesująca, poznajemy bowiem tutaj ucznia Krystiana Zimermana. Carl Wolf, Niemiec związany ze szwajcarską Bazyleą, gdzie swoją klasę prowadzi nasz najwybitniejszy pianista, nie jest postacią tuzinkową, choć idzie po śladach mistrza. Wybrał do nagrania ulubiony repertuar nauczyciela – Zimerman niedawno świetnie nagrał sonaty Schuberta – gra błyskotliwie i intelektualnie, tak samo jak mistrz naucza w Bazylei, zachwala też polską inżynier dźwięku Małgorzatę Albińską-Frank, która czuwała nad nagraniem, wreszcie wydał swoją płytę w polskiej firmie DUX. Do krążka dołączona jest książeczka tylko po niemiecku i angielsku, ale doskonale zagrane nokturny Chopina przypominają najlepsze polskie wzory wykonawcze. Przyjemność i patriotyzm muzyczny.

Bronisław Tumiłowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Louisa May Alcott
Małe kobietki
tłum. Ludmiła Melchior-Yahil
Poradnia K, Warszawa 2019

Siostry March najbardziej urocze są wtedy, gdy nie udaje im się być wzorem cnót, choć starają się ze wszystkich sił – z wyjątkiem wrogiej konwenansom Jo. Współcześnie możemy się zżymać na łopatologiczny przekaz, ale pamiętajmy, że to powieść dla dziewcząt z lat 60. XIX w. Rozdziały w pierwszej części są jak przypowiastki z morałem: dziel się z biednymi, mimo że sama masz mało; liczy się bogactwo ducha, nie pieniądze; kochaj siostrę swoją, nawet jeśli to pustogłowa smarkula, bo jak wpakuje się w tarapaty, wyrzuty sumienia cię zagryzą. I nie leń się, bo małe zaniedbanie łatwo urośnie do katastrofy (słuszne, ale jakie okrutne!). A kłopoty, podobnie jak sytuacje komiczne i wzruszenia, przydarzają się często tej barwnej gromadce, córkom pastora z czasów wojny secesyjnej: rozsądnej Meg, impulsywnej Jo – uzdolnionej literacko i wzorowanej na samej autorce, nieśmiałej Beth obdarzonej talentem muzycznym i próżnej Amy – talentowi plastycznemu. Dziewczęta mają młodego sąsiada, wiadomo więc, że zaczną się perypetie miłosne, zwłaszcza gdy w drugiej części młode damy będą już gotowe, mniej lub bardziej, na miłość.

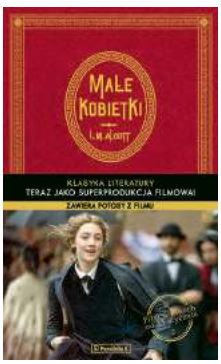

Klasyka literatury, uzupełniona w tym wydaniu fotosami z filmu.

Aleksandra Pańko

eprasa.pl 4f71467cce

NA EKRANACH

JOJO RABBIT

reż. Taika Waititi, prod. USA, w kinach od 24 stycznia

Ponoć każdy mały chłopiec chce zostać albo policjantem, albo strażakiem. No, prawie każdy, bo 10-letni Johannes marzy tylko o jednym: by być jak jego idol… Adolf Hitler. Dzieciak brzydzi się tchórzy, pacyfistów i Żydów, a każdego, kto ginie w imię walki o dobro Trzeciej Rzeszy, uważa za bohatera. Jest przy tym słodkim szczeniakiem, którego skłonności trudno brać poważnie, zwłaszcza gdy sam oblewa test na męstwo, bo nie potrafi się zdobyć na ukręcenie głowy żywemu królikowi. A to warunek, by dostać się do Hitlerjugend. Reżyser cały czas lawiruje między absurdem a powagą. Na nazistów patrzy z bezpiecznej perspektywy – oczami dziecka, co pozwala mu na grubo ciosane żarty. Führer (w tej roli Taika Waititi) w wyobraźni Jojo jest pokraczny, zawistny i śmieszny. Przypomina dziecko, które z zazdrości dopuszcza się podłości. Na takie pokazanie Hitlera w kinie nie odważył się nikt od czasu Charlesa Chaplina. Waititi, sam pochodzenia żydowskiego, wykazuje się odwagą, ale nie bagatelizuje Zagłady. „Jojo Rabbit" pozwala się pośmiać, ale nie ma co liczyć na bajkowe zakończenie. Bez chusteczek się nie obejdzie.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

SZTUKA ZWANA NAIWNĄ I CO DALEJ…

Aleksander Jackowski (1929-2017) był najwybitniejszym polskim znawcą plastyki nieprofesjonalnej. Współtworzył Państwowy Instytut Sztuki, gdzie kierował Pracownią Sztuki Nieprofesjonalnej, był też redaktorem naczelnym kwartalnika „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa". Inspiracją dla wystawy stała się jego najważniejsza praca „Sztuka zwana naiwną" – obszerny album sprzed 25 lat gromadzący najwybitniejszych polskich twórców nurtu *outsider art* od międzywojnia do lat 90. (stąd podtytuł wystawy „Recepcja myśli Aleksandra Jackowskiego w kolekcji Muzeum Śląskiego"). Poza pracami autorów, o których pisał Jackowski, pokazywane są dzieła twórców współczesnych.

MUZEUM ŚLĄSKIE W KATOWICACH, DO 31 MAJA

GRABOSKI ARTI
Fuksy 2000-2020

Arti Grabowski (rocznik 1977), artysta interdyscyplinarny: malarz, rzeźbiarz, aktor, performer i reżyser teatralny, przedstawiany jest jako „miłośnik minimalizmu, artystycznych przewyższeń, kulinarnych przeciążeń, nietuzinkowych fetyszy, herbaty matchy, oplątw, obrzęków, a nade wszystko nosaczy sundajskich". Na bogato. Nie dziwi więc, że w środowisku artystycznym wywołuje kontrowersje i wzbudza mieszane uczucia. „Arti prowokuje często najprostszymi środkami. Dąży do katastrofy, błazenady. Wprowadza chaos. Stosuje niby-symboliczne gesty i liczby, które bardzo często nic nie znaczą. (…) Jego akcje opierają się w dużej mierze na wysiłku fizycznym. Są połączeniem sztuki i sportu. Działaniem, które wartościuje się samo w sobie", czytamy we wprowadzeniu do wystawy. Może być ciekawie.

SOPOT, PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI, 24 STYCZNIA-1 MARCA

SERIAL

BABYLON BERLIN 3

12 odcinków czeka na miłośników „Babylon Berlin", serialu zrealizowanego przez Toma Tykwera, Achima von Borriesa i Henka Handloegtena na podstawie powieści Volkera Kutschera. Akcja nowego sezonu rozpoczyna się kilka tygodni przed Czarnym Piątkiem, kiedy dochodzi do krachu na giełdzie. Inspektor Gereon Rath i Charlotte Ritter prowadzą śledztwo w sprawie brutalnego zabójstwa aktorki Betty Winter. Gereon wciąż zmaga się z nałogiem i stara się dostosować do życia w rodzinie, a młodziutka Charlotte walczy o uznanie w wydziale zdominowanym przez mężczyzn. Wracają starzy bohaterowie, by zmierzyć się z zupełnie nową sytuacją. Nareszcie.

HBO I HBO GO, OD 24 STYCZNIA, GODZ. 21.00

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KRZYSZTOF BIELIŃSKI,

eprasa.pl 4f71467cce

Czy gościni się rozgości

Zmian w języku nie da się zadekretować. Wystarczy im nie przeszkadzać

Małgorzata Kąkiel

Groch (rodzaj męski) z kapustą (rodzaj żeński)? Obojnactwo? Jakiś rodzaj dialektyki? Noblistka Szymborska jest poetką (bo raczej chyba nie podziwiamy poety Szymborskiej), a noblistka Tokarczuk pisarzem (tak godniej). Minister (Iksińska) przyszła. Pewna aktorka filmowa uznanie zdobyła przede wszystkim jako reżyser teatralny, a wybitna socjolog była długoletnim pracownikiem, dyrektorem instytutu, działaczką Ligi Kobiet Polskich, w wolnych chwilach zaś chórzystką. *Clou* niczym najprawdziwszy gwóźdź tkwi w ustawie o szkolnictwie wyższym, gdzie zapisano: „Nauczyciela akademickiego będącego w ciąży nie można zatrudniać w godzinach ponadwymiarowych bez jego zgody".

Niezły bałagan. Co z tym zrobić? Napchało się tych bab wszędzie i same kłopoty z nimi. Jak ktoś zauważył, praktycznie nie ma obecnie zawodu czy stanowiska niedostępnego dla kobiet – wyjątkiem pozostało kilka Kościołów i religii. Chociaż proponowałabym już zacząć się zastanawiać nad żeńską formą księdza. Książyni? Księdzka? Lepiej być zawczasu przygotowanym. Zwłaszcza że od wieków istnieją przeorysze i zakonnice. Te formy nikogo nie bodą, bo przecież trzeba było oddzielić pierwiastek męski od kobiecego. Ale jak Izabela Jaruga-Nowacka użyła formy ministra, nastało powszechne kręcenie kółka na czole. A Wanda Nowicka (o której można w sieci przeczytać, że występuje w dwóch odmiennopłciowych osobach – jako polityk lewicy i działaczka społeczna)? Bodaj pięć lat temu skierowała do Kancelarii Sejmu pismo, domagając się umieszczenia żeńskich form na stronach parlamentu. Łukasz Warzecha do dziś jej to pamięta. Bo nie spytała, które panie sobie tego życzą, a które nie. Ludzi pytać trzeba – przyznaję. I nikogo do niczego zmuszać się nie godzi. Ale skąd dziś taka burza z piorunami, kiedy lewicowe posłanki chcą, żeby mówiąc o nich, posługiwać się feminatywami? To nieznane dotąd trudne określenie – feminatyw – miało szansę wygrać w konkursie na polskie słowo roku 2019. Poległo w starciu z klimatem.

Poseł Gosiewska o kanapie

Powróćmy jednak na front. Nowo wybrana posłanka (nowo wybrana poseł? nowo wybrany poseł?) Magdalena Biejat (partia Razem) poinformowała w tweecie, że będzie gościnią w TVP Info. I to był ten pocisk, który o jedną konserwatywną krwinkę za dużo upuścił. Bo jakże to tak? Jakaś młoda lewicówka ręce wyciąga po nasz ojczysty język i, wygibasy w nim czyniąc, dokonuje spustoszenia w narodowej, krwią dziadów uświęconej tradycji? Może nawet przy tej okazji do kogoś w koszmarze sennym Gombrowicz „Trans-Atlantykiem" wrócił i ojczyzną-synczyzną (w aktualnej sytuacji – córczyzną) postraszył? Chociaż nie, chyba nie można przesadzać z aż takimi skojarzeniami, za ambitny rozpęd. Bo np. odezwał się poseł Tarczyński i z właściwą sobie – że się tak grzecznie wyrażę – topornością słowną coś tam sugerował, iżby pani Biejat końcówki gdzieś sobie wsadziła (pojawiły się jakieś brudne buty, mózg), bo w przeciwnym razie on o dobro polskiej dziatwy zmuszony będzie walczyć.

Już od końca XIX w. w prasie pojawia się rzeczownik świadkini.

No i poszły konie po betonie. Z bojowym wsparciem dla posła Tarczyńskiego ruszyła poseł Małgorzata Gosiewska (nie, nie posłanka – redakcjo, proszę, nie zmieniaj) z PiS. Odniosła się do listu grupy posłanek elektek, zwracających się z prośbą do pani Elżbiety Witek (marszałka, marszałek, marszałkini?), by w oficjalnych sejmowych dokumentach i na tabliczkach pojawiły się feminatywy. Małgorzata Gosiewska uznała to za przejaw „psucia języka polskiego", „ośmieszania funkcji". W radiowej Trójce dowodziła: „Posłanka – z czym nam się kojarzy, patrząc na język polski? Nie kojarzy się dobrze (…). Posłanka to chyba jakaś kanapa". Można zrozumieć tok myślenia: posłanka – posłanie – jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Niektóre/niektórzy wygodnie sobie posłały/posłali, więc furt im to chodzi po głowach. Kule świszczą, „Do Rzeczy" huknęło: „Gwałt na języku". A tymczasem…

W XVIII-wiecznych słownikach funkcjonowały takie określenia jak: dozorczyna, karczmarka, klucznica, kuchmistrzyni, piekarka, wierszopisyni czy wielkorządczyni. A kiedy pod koniec XIX w. nad Wisłą uchylono kobietom drzwi uniwersytetów, podzielono je na: hospitantki, słuchaczki nadzwyczajne i słuchaczki zwyczajne.

W 1904 r. w prasie pojawiły się protesty czujnych obywateli „przeciwko gwałceniu języka polskiego i łączenia z nazwiskami żeńskimi tytułu Dr. (Doktor) zamiast Drka (Doktorka)". „W miarę przypuszczania kobiet do studiów uniwersyteckich może będziemy musieli stworzyć jeszcze i magisterkę (farmacyi), a może i adwokatkę, i nie cofniemy się przed tym, czego różnica płci wymaga od logiki językowej", deklarowali językoznawcy. W roku 1911 redakcja „Poradnika Językowego" zarzuciła paniom „brak cywilnej odwagi przyznawania się do tego, że się jest kobietą, wstyd swojej kobiecości i podszywanie go pod płaszcz męski". I masz, babo, placek. Z tym podszywaniem się pod mężczyznę trochę racji było. Taka Nawojka… Około 1414 r., przebrana za faceta, wdarła się do Akademii Krakowskiej, a w roku 1911 Zofia Lubańska (późniejsza Stryjeńska) jako student Tadeusz Grzymała Lubański chodziła na zajęcia w Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. W postaci kobiet studiować nie mogły. Ale czy do osobniczek o skłonnościach maskujących mógł mieć zaufanie Józef Piłsudski? Zastanawiał się, czy Polki będą umiały zrobić pożytek z praw publicznych,

eprasa.pl 4f71467cce

bo z natury są konserwatywne i „łatwo na nie wpłynąć". Nie do końca był w błędzie, gdyż ciągle lubią się chować za męskimi formami gramatycznymi. Na szczęście 28 listopada 1918 r. podpisał dekret o prawach wyborczych Polek – w czym pomógł protest sufrażystek (nie sufrażystów).

Magistrę na stałą posadę

No i nadciągnęły posełki, poślice, posłanki. Ojciec polskiego językoznawstwa Jan Baudouin de Courtenay w 1907 r. pisał: „Mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek ulepszać to narzędzie zgodnie z jego przeznaczeniem". Chodziło o język, który – jak przekonywał – nie jest nietykalnym bóstwem. Użytkownicy polszczyzny sami mieli intuicję nazywania faktów po imieniu. W międzywojennej prasie pojawiły się np. takie anonse: „Apteka w Modrzejowie koło Sosnowca przyjmie od 15 lipca magistra lub magistrę na stałą posadę" („Express Zagłębia" z 1939 r.). W warszawskiej książce adresowej można było znaleźć „posłankę na Sejm Zofję Prauss". Ba! W latach 20. „Polska Zbrojna", relacjonując uroczystości rocznicowe powstań śląskich, pisała: „Idą powstańcy i powstańczynie czy powstanki". „Tygodnik Polski" w 1928 r. wspominał urodzonego na Syberii syna „powstańca i powstanki". W 1935 r. „Kurier Polski" zamieszczał stanowisko „prawniczek w Polsce". Już od końca XIX w. w prasie, choćby w „Gazecie Sądowej Warszawskiej", pojawia się rzeczownik świadkini. O świadkiniach mówili podczas rozpraw sędziowie i adwokaci. W patriotycznym „Strzelcu" używano natomiast formy strzelczyni.

Danuta Buttler, Halina Kurkowska, Halina Satkiewicz w bardzo liczącej się w latach 70. XX w. publikacji „Kultura języka polskiego. Zagadnienia poprawności gramatycznej" pisały: „Owe normy, respektowane od pierwszych dziesiątków obecnego stulecia, przewidywały, że wszystkie nazwy kobiet pochodzące od nazw męskich powinny otrzymywać odpowiednie wykładniki formalne wskazujące na rodzaj żeński osoby (por. aktor – aktorka, kierownik – kierowniczka). (…) Wyłom w tej wielowiekowej tradycji nastąpił mniej więcej w okresie po I wojnie światowej, a nasilenie nowych tendencji w używaniu nazw żeńskich analizowanego typu wzrosło po II wojnie światowej".

Po II wojnie światowej, w okresie PRL, mocno się w formach rodzajowych pozmieniało. Kobiety mogły swobodnie zdobywać wykształcenie, miały dostęp do zawodów uznawanych dotąd za męskie. Aktywizacja zawodowa Polek najpierw obfitowała w brygadzistki, chlewmistrzynie, kolejarki, traktorzystki i milicjantki

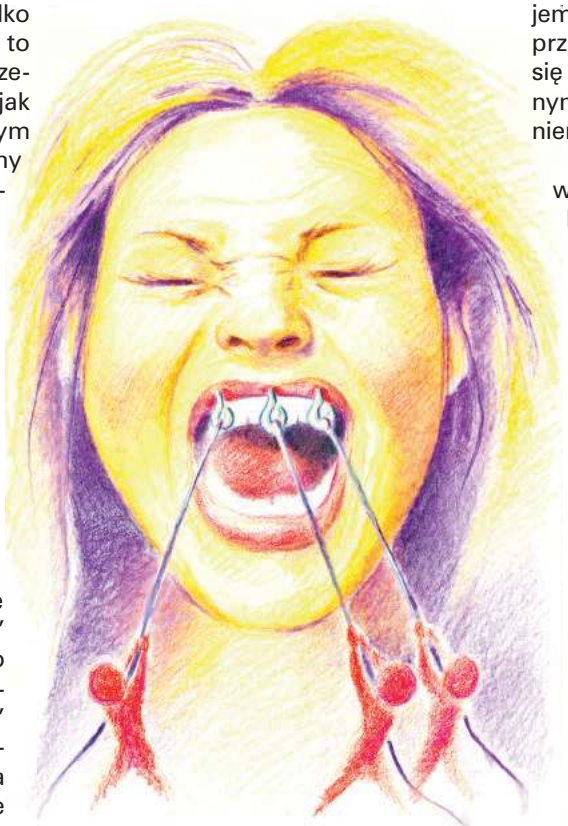

(Lodzia choćby), ale szybko znakiem równouprawnienia stały się formy bezprzyrostkowe. Oficjalnie podkreślano, że przejawem emancypacji jest obojętny stosunek do płci. Liczą się tylko kompetencje. Ba, skoro wreszcie kobiety mają dorównać mężczyznom, uznano za naturalne, że będą się do nich odnosić nazwy męskie (więcej zawodów miało już tę formę gramatyczną, ponieważ wcześniej kobiety ich nie wykonywały).

Chirurżka jak zmarszczka

Mleko się rozlało. Czego bronią nasze husarki i husarze, szumiące i szumiący, dźgające i dźgający wszystkich wokół w obronie czystości tradycyjnej polszczyzny? Prof. Jan Miodek, recenzując (bardzo przychylnie) „Słownik nazw żeńskich polszczyzny" (Wrocław 2015), pisze: „Od kilkunastu lat można zaobserwować wyraźny renesans formacji przyrostkowych. Niektórzy językoznawcy – w tym autor niniejszej recenzji – widzą w tym zjawisku powrót do typologicznych źródeł polszczyzny, któremu tylko sprzyjają ruchy feministyczne, inni – wyłącznie w feminizmie upatrują przyczyn kariery formalnych wyznaczników żeńskości. Jakkolwiek jest, obserwujemy niezwykle ciekawe zmaganie się przeciwstawnych a dopełniających się tendencji, których rezultat jest jednym z najbardziej frapujących zagadnień lingwistyki polskiej".

Prof. Mirosław Bańko (w rozmowie z Jakubem Bodzionym, „Kultura Liberalna" z 7 stycznia 2020 r.) dodaje: „Im niższy jest status zawodu, tym nazwy z sufiksem feministycznym są dla nas bardziej naturalne. Kobieta, która chce dorównać mężczyźnie na polu zawodowym, powinna używać męskiej nazwy. »Kelnerka« jest w porządku, ale »prezydentka« uchodzi za dziwactwo. Tak chyba być nie powinno".

Nieco odmienny punkt widzenia prezentuje ostatnio prof. Jerzy Bralczyk. Jak mówił choćby w „Faktach po faktach" (TVN 24), nazwa urzędu dla zachowania jego powagi powinna mieć rodzaj męski. O ile więc określenie posłanka nie przeszkadzałoby mu w Sejmie, o tyle z trudem akceptowałby je na drzwiach biura poselskiego. Używanie takich określeń jak polityczka, członkini jest odbierane jako żart – uważa językoznawca. „Nadmierne podkreślanie płci może wręcz deprecjonować osobę". Dlaczego? Wszystko to są przyzwyczajenia. Nikt nigdy nie mówił i nie mówi o Jadwidze Andegaweńskiej król (choć koronowano ją na króla), nikomu nie przyjdzie do głowy powiedzieć: król Elżbieta II pogniewała się na wnuka, albo: czytałam książkę o królu Elżbiecie I. Natomiast: kanclerz Angela Merkel, prezydent Zuzana Čaputova, premier Sanna Marin – oczywiście. Większość z nas, stosując tu końcówki żeńskie, zatchnęłaby się tak samo, jak gdyby miała powiedzieć: przedszkolanka Jan Kowalski. No jakże tak? Prof. Bralczyk dopowiada: „Męskie odmiany

RYS. ALEKSANDRA PAŃKO

eprasa.pl 4f71467cce

zawodów uważane są za bardziej nobilitujące niż żeńskie". Owszem. Bo tak się utarło. W Czechach i na Słowacji nie mają naszych problemów, ponieważ śmiało stosują żeńskie przyrostki: rektorka, dekanka, profesorka, prezeska. Zdaniem prof. Stanisława Szobera (1879-1938) kobiety najwyraźniej chcą, by „najzaszczytniejszy nawet zawód nie przysłaniał ich kobiecości". Dlatego w jego „Słowniku ortoepicznym" z 1937 r. znajdziemy psycholożkę i pedagożkę. *À propos* kobiecości, prof. Małgorzata Fuszara jako pełnomocniczka rządu do spraw równego traktowania musiała używać formy pełnomocnik, ponieważ pełnienia takiej funkcji dotyczyła umowa o pracę (to samo odnosiło się do dyrektora instytutu), jaką podpisała. „To jest bardzo zabawne, że osoby, które uważają, że się sprzeciwiają gender, w ten sposób nagle są za zmienianiem mi płci", mówiła.

Dużo jeszcze zamieszania przed nami, bo niebawem może powstać nowy problem – jak nazwać męża prezydentki/prezydenta itd., itp. Jeżeli ktoś ma włączony mechanizm myślenia, uspokoi się, czytając stanowiska Rady Języka Polskiego. 19 marca 2012 r. jej członkowie stwierdzili: „Formy żeńskie nazw zawodów i tytułów są systemowo dopuszczalne. Jeżeli przy większości nazw zawodów i tytułów nie są one dotąd powszechnie używane, to dlatego, że budzą negatywne reakcje większości osób mówiących po polsku. To, oczywiście, można zmienić, jeśli przekona się społeczeństwo, że formy żeńskie wspomnianych nazw są potrzebne, a ich używanie będzie świadczyć o równouprawnieniu kobiet w zakresie wykonywania zawodów i piastowania funkcji".

W patriotycznym „Strzelcu" używano formy strzelczyni.

25 listopada 2019 r. natomiast Rada Języka Polskiego przy Prezydium PAN wyraziła pogląd: „Większość argumentów przeciw tworzeniu nazw żeńskich jest pozbawiona podstaw. (…) W polszczyźnie potrzebna jest większa, możliwie pełna symetria nazw osobowych męskich i żeńskich w zasobie słownictwa". Językoznawcy zauważyli również, że jednakowe brzmienie wyrazów, np. pilotka jako kobieta i jako czapka nie jest bardziej kłopotliwe niż zbieżność brzmień rzeczowników pilot – osoba oraz pilot – urządzenie sterujące. A co do trudności z wymówieniem wyrazu chirurżka – poradzi sobie z nim każdy, kto umie powiedzieć zmarszczka.

Co jest najważniejsze w obu przytoczonych stanowiskach RJP? Brak przymusu. Zmian w języku nie da się zadekretować i zmusić ludzi pod groźbą kary do ich stosowania. Wystarczy zmianom nie przeszkadzać, zwłaszcza niemądrze i ideologicznie.

Małgorzata Kąkiel

Korzystałam z: Kamil Janicki, *Żeńskie końcówki, feminatywy w II RP,* wielkahistoria.pl, dostęp: 11.01.2020; Joanna Satoła-Staśkowiak, *O imionach i współczesnych nazwach zawodów w perspektywie płci – poglądowy szkic konfrontatywny,* „Językoznawstwo" 1 (12) 2018; Agnieszka Warnke, *Polszczyzna jest kobietą: rewolucyjna końcówka,* culture.pl, 1.10.2018.

eprasa.pl 4f71467cce

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zamalować wszystko

Mój pierwszy kontakt z cenzurą obyczajową dokonał się za sprawą cioteczki we wczesnych latach 80. Siostra ojca starała się czuwać nad moim życiem duchowym, a przynajmniej baczyć, by nie uległo ono przedwcześnie turbulencjom wynikłym z edukacji seksualnej. Jak wielu rówieśników byłem wiernym fanem miesięcznika „Fantastyka", który, od pierwszego numeru począwszy, odważnie sobie poczynał w sferze ikonograficznej. Heroiny kosmiczne wabiły z okładek pisma w głębokim negliżu, o czym jednak dowiedziałem się z niejakim opóźnieniem, kiedy jeden z numerów (a nie było o nie łatwo, ja miałem inną cioteczkę w kiosku Ruchu i to był przywilej „spod lady") przyniósł do szkoły kumpel. Okazało się, że na okładce jego egzemplarza widać znacznie więcej golizny niż na moim. Po lekcjach zajrzałem do niego w celach porównawczych – wszędzie tam, gdzie na okładkach moich „Fantastyk" bohaterki zakutane w czarne kostiumy kąpielowe odsłaniały czasem ledwie kawałek umięśnionej łydki tudzież ramię, w kolekcji kumpla były co najmniej półnagie. I wyszło na jaw, że cioteczka przechwytywała pismo, nim dostało się w moje ręce, i prewencyjnie czarnym jak sutanna flamastrem zamalowywała to, czego w jej mniemaniu oczy nieletnie widzieć nie powinny.

Przywołuję to wspomnienie nie tylko dlatego, że partia rządząca odgraża się, że wprowadzi pornoprohibicję. Ustami mistrza mowy wiązanej (wszystkim, którzy jeszcze jej nie odkryli, polecam facebookową stronę Wiersze Mateusza Morawieckiego pisane w Excelu) PiS ogłasza, że niebawem dostęp do pornografii internetowej zostanie ograniczony lub zablokowany. W walce o nowy model Polaka musiała nadejść i ta prekursorska chwila, choć mniemam, że rząd najpierw wybada paluszkami grunt sondażowy, bo może się okazać, że oderwanie od pornhuba denerwuje elektorat znacznie bardziej niż podwyżka akcyzy na alkohol. Ale co tam, najwyżej voyeuryści będą musieli wrócić do starodawnego lornetkowania sąsiadek (już klasyk Kieślowski w filmowej wersji szóstego przykazania diagnozował szkodliwość pokątnego łypalstwa). Uzależnionym od obrazów nagości pozostaną (na razie) muzealne akty, choć wcale nie muszę uruchamiać dystopijnej wyobraźni, żeby zobaczyć, jak to w nieodległej przyszłości znużeni pilnowacze sal wystawowych wreszcie dostaną ożywcze zadanie. Oprócz zwracania uwagi, by nie podchodzić za blisko płócien i rzeźb, będą jeszcze nakazywali zwiedzającym wyjmowanie rąk z kieszeni.

Z czasem wszelka golizna z muzeów niechybnie zniknie, granice pornografii wyznacza bowiem oko i motywacja patrzącego – na wszelki wypadek ajatollahowie PiS ubiorą wszystkich. Opaska ostrzegawcza, że ekspozycja „tylko dla dorosłych", nie wystarczy – ajatollah Jan, ongiś zdolny basista, teraz wielki naprawiacz świata z etatem na Woronicza, odwiedził był w zeszłym tygodniu warszawskie Centrum Sztuki Współczesnej i zobaczył tam takie obrzydliwości, których w jego przekonaniu nawet dorośli oglądać nie powinni. Próbując piętnować Karola Radziszewskiego jako przedstawiciela sztuki zwyrodniałej, nakręcił promocję wystawie „Potęga sekretów", na którą po prawdzie wcale nie miałem ochoty się wybierać, póki wizyta w galerii nie zaczęła nosić znamion aktu politycznego.

Radziszewski do moich ulubionych artystów nie należy, choć jego strategia i konsekwencja może imponować. Także na wystawie w Zamku Ujazdowskim przybiera raczej postawę archiwisty, kronikarza ruchów LGBT, nade wszystko w dziale poświęconym Queer Archive Institute, gdzie baczne oko Jana mogło wyłapać akty męskie, a nawet fotografię gejowskiego *fellatio*. W najgłośniejszych dziełach Radziszewski rekontekstualizuje i odkłamuje historię, jak w słynnym „Poczcie" queerów polskich od Bolesława Śmiałego po Marię Janion, do którego swoisty dodatek stanowi malarski i filmowy portret Ewy Hołuszko. To najbardziej niewygodna dla prawicy bohaterka solidarnościowego podziemia, od kiedy zdecydowała się poddać tranzycji. W dodatku Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymała z rąk Lecha Kaczyńskiego (skądinąd przyszło mi teraz do głowy, że pisowcy powinni otrzymywać Ordery Owrzodzenia Polski – skoro krytycy filmowi mogą przyznawać Złote Maliny, niech strona opozycyjna powoła kapitułę i nagradza corocznie ludzi, którzy położyli niezbite i wyjątkowe zasługi w działaniu na szkodę państwa). W innych dziełach Radziszewski ze swadą uprawia sztukę zawłaszczania, jak choćby w monumentalnym „Hiacyncie", queerującym klasyczny już „Zachód" Ralfa Winklera. Bierze też na warsztat blaszany Grzybek z placu Trzech Krzyży, najsłynniejszą warszawską pikietę przy szalecie publicznym, gdzie, jak głosi legenda, sam Allen Ginsberg „złapał mendy w brodę" – zmiażdżony wrak Grzybka straszy w jednej z sal.

Appropriation art ma różne oblicza, jednym z moich ulubionych była zabawa z własnym ego Edwarda Dwurnika, który skupował prace innych artystów, by je przemalowywać lub wręcz zamalowywać. I tu wracamy do cioteczki – myślała, że tylko cenzuruje, a była artystką. Co nam jeszcze zamalują władcy duszy suwerena, najbliższa przyszłość pokaże.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4f71467cce

Kazimierz Kutz

Wybrali mnie na sekretarza grupy, a ja wymyśliłem system samoedukacji. Podzieliłem wszystkich 60 kolegów na kilka grup, tak że w każdej był przynajmniej jeden dobry z fizyki, jeden niezły z historii sztuki, a inny na przykład z optyki. Taka była nasza odpowiedź na presję.

Chudziutkie stypendia, które dostawaliśmy, starczały tylko na żarcie w stołówce. Zostawało z tego marne 30 zł, ale i tak nie byłoby ich jak wydać, bo wszyscy wciąż zakuwali. Wiedziałem, że muszę ocaleć za wszelką cenę, więc w tym zaduchu i hałasie tyrałem jak wół po 14 godzin dziennie. W ogóle nie wychodziłem ze szkoły świadom, że to jest trampolina i jak się nie wybiję, to leżę. No i pozostawała kwestia honoru: nie mogłem zawieść matki.

Po roku rzeczywiście połowa poszła pod nóż. Wśród ocalałych byłem drugim najlepszym, po moim przyjacielu Kubie Morgensternie.

Chłopcy u nas byli przeróżni – i z miasta, i ze wsi, i z wojska… 30% to byli ludzie z rodzin inteligenckich, głównie warszawskich. Fason, gadane i luz. Połowa w ogóle do tej szkoły się nie nadawała. Nie tylko dlatego, że talentu nie mieli. Te wydelikacone wielkomiejskie chłopięta nie miały instynktu walki i przetrwania, a bez tego w szkole nie miałeś szans. Jak sobie patrzyłem na kolegów na roku, to widziałem, że wszyscy byli przepędzeni skądś dokądś: albo okaleczeni wojną, albo mieli złe rodziny i stawali się koniunkturalistami. A ja przede wszystkim miałem ten wielki plan, że muszę się nauczyć tego zawodu, być dobry bez jakichkolwiek oszustw i kantów.

Był też taki przepis, że na uczelnię musi się dostać 33% młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Dzięki temu dostał się na nią pewien chłop spod Poznania, wysoki, zwalisty byk, z niezwykłą, czerstwą urodą. Miał robić jakieś ćwiczenie, więc dostał aparat. Ale że zaczęła się wiosna, on ją poczuł całym sobą, zrobił się jakiś zwierzęco niespokojny – i nikomu nic nie mówiąc, wsiadł w pociąg i pojechał domu, bo była robota w polu. Wrócił po dwóch tygodniach. Po prostu.

Nocne życie Filmówki

W dzień kręciliśmy filmy, w nocy kręciliśmy z kobietami

Ukończył szkołę tylko dlatego, że po pierwszym roku najsłabszych kierowali do oświatówki (do dokumentu trafiali średniacy, a najzdolniejsi na wydział fabularny). Wylądował więc w oświacie, po latach został kamerzystą w telewizji poznańskiej. Jakoś się chłop utrzymał, choć instynkt ziemi potężnie nim targał.

Na drugim roku zaczęliśmy coraz śmielej wypuszczać się do miasta; po niedługim czasie spędzaliśmy tam cały wolny czas, odwiedzając wszystkie możliwe knajpy i kawiarenki i oglądając się za dziewczynkami. Odkryliśmy na ten przykład tanią jadłodajnię przy Piotrkowskiej, Roma się nazywała, i jak nas było stać, to tam żeśmy sobie chodzili na takie trochę lepsze obiadki. A jeśli mieliśmy jeszcze więcej pieniędzy, tośmy sobie szli do restauracji Halka, żywicielki naszych kolegów jazzmanów.

Naszą ulubioną knajpą była jednak Honoratka na Piotrkowskiej, z dobrą kawą i świetnymi sernikami wyrobu pani Stefanii, kobiety wielce kulturalnej. Honoratka była ciasna i zawsze pełna pięknych dziewcząt, które koniecznie chciały nas poznać, albowiem filmowiec był wtedy w ogromnej cenie. Spędzaliśmy tam sporo czasu, zwłaszcza na wyższych latach, szczęśliwi, że możemy dyskutować o filmach czy środowiskowych skandalach, podrywać i mieć w dupie socjalizm.

Wieczorami chodziło się do SPATiF-u, lokalu z dobrą domową kuchnią i nieprzyzwoicie tanią wódką, w którym spotykali się głównie aktorzy i filmowcy; inne środowiska dołączały z doskoku. Hotel Grand natomiast słynął z dużej fin de siècle'owej Sali Malinowej. Ale tam było bardzo drogo, więc spotykali się w niej głównie notable i profesorowie.

W pobliżu hotelu Savoy, słynącego z bardzo dobrej herbaciarni, do której zaglądał na herbatę odpowiedni

FOT. PAP/CAF – STANISŁAW JAKUBOWSKI

eprasa.pl 4f71467cce

Kazimierz Kutz podczas realizacji filmu „Sól ziemi czarnej", 1969 r.

gatunek dziewczynek, od dość wczesnych godzin porannych czynny był bar nastawiony na ludzi z kacem. Można w nim było tanio zjeść boską zupę – krem z porów albo barszcz. Nad barem był mały Teatr 7.15, którego dyrektorem został Jerzy Antczak, co stało się początkiem jego reżyserskiej kariery.

Ludzie, którzy przyjeżdżali rano z Warszawy do pracy, walili prosto do tego baru, jako że w pociągach nie było wtedy bufetów. Któregoś dnia siedzimy tam z Kubą na seledynowych kanapach, a tu pojawia się Wanda Jakubowska, nasza pani dziekan. Zajęła swoje stałe miejsce i natychmiast zaczęła kurzyć, bo ona cały czas kurzyła. Po chwili otwierają się drzwi wahadłowe i kelner niesie na talerzyku dwie setki. Wanda wychyla te dwie setki, wyciera usta i wychodzi. To było jej śniadanko.

Na odnajdywanie dziewczynek w lokalach i ich uwodzenie większość z nas musiała poświęcać sporo czasu. Zasadzaliśmy się na nie głównie w Honoratce, bo tam lubiły gniazdować.

Wtedy we wszystkich lepszych restauracjach grała na żywo jakaś kapela. Znana z niej była kawiarnia Kolorowa, wtedy modna, ale bez erotyki. Erotyka była w Honoratce, której królową była Ewa Morelle, potem Frykowska. Mając 16 lat, wypuściła się z robotniczej dzielnicy do śródmieścia. Wytropiliśmy ją z Kubą w herbaciarni przy Savoyu i właśnie do Honoratki wyciągnęli. Ewa, dziewczyna niezwykła, praktykowała asertywny seks z własnej inicjatywy. Była bardzo otwarta i potrafiła okrutnie ocenić potencjał erotyczny faceta, więc większość się jej bała. Mnie polubiła z wzajemnością, bo nigdy nie byłem wobec kobiet niedelikatny i jako pierwszy potraktowałem ją godnie. Z dziewcząt, które trafiały do centrum Łodzi z obrzeży, ale też z Warszawy, stworzyła rodzaj szkoły erotycznej – uczyła, co trzeba zrobić i na czym to polega. Kiedyś przygotowała na przykład pewną urodziwą lolitkę z Warszawy na prestiżowe spotkanie w Halce. Tamta poszła, ale coś spieprzyła i wróciła z podbitym okiem.

– Ty głupia kurwa jesteś! – wściekła się jedna z bardziej doświadczonych dziewcząt.

Na to tamta, chlipiąc pokornie:

– Powiedz mi, co ty robisz, że ty jesteś ciągle taka piękna?

– Kretynko, ja połykam.

Z moją grupą z rocznika byliśmy amantami i biesiadnikami. W Łodzi można było regulować zegarki, bośmy latali jak przegląd wojska przez te knajpki, ale to trzeba było przejść w jedną stronę ze 2 km, więc jak się przeszło tam i z powrotem, to już było parę godzin. Zawsze na wiosnę i po wakacjach musieliśmy robić takie przeglądy, sprawdzając, co się zmieniło, bo pojawiały się nowe dziewczyny, nowi chłopcy, nowe układy towarzyskie, i byliśmy przez tych młodszych rozpoznawani i szanowani jako starsi koledzy.

Któregoś dnia objawił się Wojtek Frykowski i zajął się Ewą, a potem się z nią ożenił. Był synem jakiegoś potwornie bogatego łódzkiego prywaciarza, pewnie mającego układy z władzą. Nic dziwnego, że Fryko już jako gówniarz był zdemoralizowany. Chciał się wkupić do Szkoły Filmowej, więc zapraszał nas do SPATiF-u. Któregoś dnia siedzimy sobie przy stoliku, świeczki się palą, a tu nagle Frykowski wyjmuje plik dolarów, bierze stówę, zwija i zapala. Chryste, sto dolarów! Wtedy! A te wszystkie biedaki, aktorzy, prawie mdleją. Kiedy się upijał, wstawał, rozpinał rozporek, wyciągał ptaka, kładł na stół i pytał: „No i czego te dupy ode mnie chcą?".

Faktem jest, że do szkoły dostała się Osiecka – i Osiecka wyszła za niego za mąż. Byłem ze Zbyszkiem na tym weselu. On miał jakiś pusty dwór pod Łodzią, dostał od ojca, tam była orgia kompletna, niezwykle huczna impreza.

Po rozstaniu z Frykowskim, któremu urodziła córkę (Wojtek ożenił się z Agnieszką Osiecką), Ewa wyjechała do Francji i została żoną Michaja Burano. Ale przyjeżdżała do Polski, bo strasznie tęskniła.

A Fryko – wiadomo – skończył tragicznie, w 1969 r. zamordowany wraz z Sharon Tate, żoną Romka Polańskiego, przez bandę Mansona.

Każdy z nas wypracowywał sobie indywidualny model funkcjonowania na rynku damskim. Jeden z najbardziej oryginalnych stworzył pewien osobnik niezwykły, choć prymityw, w którym pierwotność z biologii się brała. Był tak brzydki, że nie mógł operować w lokalach, w których pojawiali się przystojniacy w rodzaju Kuby Morgensterna. Kuba – skądinąd jebaka zawołany – kiedy wchodził do Honoratki, to wchodził jak w masło. Tworzyłem z nim *team* – po Honoratce lądowaliśmy w Kolorowej i stąd czy stamtąd dziewczyny się jakieś wyprowadzało.

Zaglądaliśmy też regularnie z Kubą do filharmonii, ponieważ szkoła dostawała darmowe bilety. Nie tylko dla muzyki, rzecz jasna. Kilka studentek szkoły muzycznej żeśmy tam wypatrzyli, a Kuba nawet do jednej dotarł.

A ten brzydal nie musiał tyle po mieście się nałazić, bo miał cenniejszy dar niż uroda – posiadał ch... jak koń. I na tym z sukcesem jechał.

Już na pierwszym roku musieliśmy nauczyć się fotografii, a wtedy aparat to była rzadkość. Trafił się jednak chłopak, który chciał być operatorem i powiedział profesorowi od fotografii, że z Jeleniej Góry może sprowadzić dowolną ilość kliszaków. Profesor się ucieszył, chłopak pojechał i te kliszaki przywiózł. Odtąd każdy student miał do nauki aparat.

Kiedy człowiek pojawił się na mieście z takim kliszakiem, dziewczyny od razu rozumiały, że to student Filmówki idzie. I ten kolega postanowił to wykorzystać. Raz w tygodniu ruszał na łowy z aparatem. Tropił samotne, zawsze przed trzydziestką – zwykle siedzące w kawiarni. Wówczas się przysiadał i kładł ten aparat na stoliku. Mówił, że robi zdjęcia

Wydelikacone wielkomiejskie chłopięta nie miały instynktu walki i przetrwania, a bez tego w szkole nie miałeś szans.

Każdy z nas wypracowywał sobie indywidualny model funkcjonowania na rynku damskim.

eprasa.pl 4f71467cce

„i pani też mogę zrobić", tylko że potem ona musi je sobie odebrać. Jedli obiadek, a przed rozstaniem robił jej zdjęcie w witrynie knajpy. Umawiał się na odbiór za dwa, trzy dni w internacie. Kiedy dziewczyna przychodziła, wypierdalał kolegę z pokoju, dawał jej te zdjęcia, zamykał drzwi na klucz i młócił. Takich doznawały rozkoszy nieziemskich, że żadna nigdy nikomu się nie poskarżyła.

Kiedyś uwiódł młodą żonę oficera milicji. Nieboga oczywiście rozsmakowała się w rozkoszy i za cholerę nie chciała jego pokoju w internacie opuścić. A ten milicjant, jak to milicjant, jakoś ją odnalazł i przyszedł do szkoły. Powiało grozą, na szczęście afery nie było. Czy ją tak szaleńczo kochał, czy wstyd mu było – nie wiem. W każdym razie sprawa została wyciszona.

Ale następnym razem tak łatwo nie poszło. Opanowaliśmy wtedy z Kubą i Lorentowiczem zarząd uczelniany ZMP. Na przewodniczącego namaściliśmy Zbyszka Chmielewskiego, ja miałem funkcję w wydziale agitacji i propagandy, Kuba prowadził wydział naukowy, a Leszek organizacyjny. Latem wyjeżdżało się na różne obozy i my przez organizację musieliśmy kandydatów na nie kwalifikować i wysyłać. Forowaliśmy najbiedniejszych, a ten nasz ogier był biedny…

Lato się skończyło, a tu z zarządu głównego ZMP z Warszawy przychodzi polityczny donos o tym, co się działo na obozie, kiedy jeden student ze Szkoły Filmowej przyjechał. A jak on przyjechał, to zjadł kolację i od razu którąś ustrzelił. Poszedł z nią do lasu, a ona po powrocie pochwaliła się koleżance, że facet ma takiego long playa, że hej. Sęk w tym, że to była narzeczona szefa obozu, a przy okazji córka partyjnego dygnitarza. Koleżanka narzeczonej wszystko całemu obozowi wypaplała i zrobiła się afera. Jego z wywczasów wypierdolili i rzecz nabrała rangi politycznej. Po linii partyjnej przyszło do szkoły polecenie, żeby go na mordę wylać, bo to przecież kompromitacja szkoły.

Sprawa trafiła do nas, do ZMP. I mieliśmy problem. Ja mówię, że afera tylko dlatego jest, że córka dygnitarza wychędożona została, że przecież nie ona się skarży, tylko jakiś działacz. Po dyskusji uznaliśmy, że nie możemy dopuścić do tego, żeby gościa ze szkoły wywalili, bo przecież on naturę ma taką. Postanowiliśmy pozbyć się go tylko z ZMP, co przecież w praktyce nic nie oznaczało. I on tę szkołę skończył, choć nie był specjalnie zdolny. Pracował potem w oświatówce i słuch o nim zaginął. (…)

Na drugim roku zaczęliśmy śmielej wypuszczać się do miasta; niedługo spędzaliśmy tam cały wolny czas, oglądając się za dziewczynkami.

Już przed wojną było wiadomo, że jeśli ma powstać porządna kinematografia, trzeba stworzyć filmowe szkolnictwo artystyczne. Najpierw w Krakowie w roku 1945 powstał więc Instytut Filmowy – mała grupa ludzi zaczęła robić filmy. W 1948 r. przenieśli ten Instytut do Łodzi, bo leżała znacznie bliżej Warszawy. Narodziła się koncepcja, by stworzyć tam szkołę filmową z prawdziwego zdarzenia. Wyszukali więc klasycystyczny pałacyk, który dawniej należał do Oskara Kona, właściciela Widzewskiej Manufaktury, i zorganizowali w nim szkołę. Już samo znalezienie się w pałacu – nigdy wcześniej w pałacu nie byłem – było dla mnie niesamowitym przeżyciem. Uświadomiłem sobie, że Szkoła Filmowa stanowi dla mnie magiczną granicę cywilizacyjno-estetyczną.

Zaglądaliśmy regularnie do filharmonii, ponieważ szkoła dostawała darmowe bilety. Nie tylko dla muzyki, rzecz jasna. Dla studentek szkoły muzycznej.

Tyle że to nie był prosty, czarno-biały podział. Po przeciwnej stronie Targowej, przy której była szkoła, rozpościerał się ogromny park, za którym była już dzielnica robotnicza. W tym parku nakręciłem pierwszą etiudę. Jak tylko z nowym miejscem lekko się oswoiłem, zaprosiłem brata w odwiedziny. Poszliśmy przez park na drugą stronę, do dzielnicy robotniczej, a tam kocie łby i familoki. Uderzył nas smród – te familoki nie miały kanalizacji, z domów wszystko wyciekało takimi rynnami. A 150 m dalej był ten pałac.

My też byliśmy z familoków, ale u nas, na Śląsku, pomyje i gówna ulicami nie spływały. U nas osiedle miało szambo, wywozem nieczystości zajmowały się koleje, i każde dwie rodziny miały jeden sracz, który co sobota szorowały. (…)

Za pozwoleniem władzy zorganizowano wyprawę do Berlina, do dawnej wytwórni filmowej UFA. Tam nasi zarekwirowali kamery, lampy, wózki i całe osprzętowanie, po czym jako łup wojenny przywieźli wszystko do Łodzi. Pracowaliśmy na tym bardzo długo, choć sprzęt był jeszcze z lat 30. Ale mieliśmy swoją satysfakcję, żeśmy też coś tym skurwysynom ukradli. Wokół tego heroicznego i zbożnego rabunku tworzył się jakiś nimb zawodowy.

Kiedy sprzęt trafił do Łodzi, ruszyła produkcja filmów. Najstarsi koledzy, jak Różewicz czy Kawalerowicz, zaczęli kręcić od razu, choć nigdy w żadnej szkole nie byli. Pierwszym czystym wychowankiem Filmówki był Andrzej Wajda.

O charakterze szkoły zdecydował w znacznym stopniu ogromny napływ młodych ludzi pochodzenia żydowskiego – choćby taki Romek Polański, Kurt Weber czy wielu innych. W sumie to co drugi był tu Żydem, a przecież częścią żydowskiej mentalności jest coś w rodzaju poczucia permanentnego zagrożenia. Jako Ślązak też to miałem, przylgnąłem więc do Żydów bardziej niż do innych.

Z tej zbieraniny, którą z początku byliśmy, jakoś po roku wyodrębniła się mała hermetyczna grupa najinteligentniejszych i takich, co przyszli do szkoły, żeby ją skończyć i robić filmy, a nie bawić się w politykę. (…)

Fragmenty książki Kazimierza Kutza *Będzie skandal. Autoportret*, współpraca Robert Siewiorek, Wydawnictwo Znak, Kraków 2019

eprasa.pl 4f71467cce

Ile nas? Raz!

Edward Mikołajczyk

Od kilkunastu dni trwają naokoło poszukiwania „małego, złego kraju w Europie", na który Irańczycy byli gotowi zwalić choćby część odpowiedzialności za nieszczęścia, jakie na nich spadły z początkiem roku. Niby wszyscy wiedzą, o które państwo chodzi, ale kiedy trzeba to głośno powiedzieć, nagle ubywa ludziom pewności, zaczynają się rozglądać i bredzą od rzeczy, że no, przypuszczalnie… Albania.

W kampanii prezydenckiej będzie jeszcze czas, aby się przyjrzeć bliżej i koniecznie za pomocą szkła powiększającego polityce mocarstwowej Polski, dlatego dzisiaj proszę o zgodę na porzucenie tego tematu, abym zamiast tropić małych i złych, mógł się zachwycić ostatkami piękna na mapie politycznej świata.

Znajduję je we wschodniej Afryce i nazywają się Wakanda (im bardziej, drogi Czytelniku, przeczytasz tę nazwę, wykręcając usta po amerykańsku, tym lepiej dla Wakandy). Miejscowi mają dość paskudny zwyczaj, mianowicie nie pomagają ludzkości, najwidoczniej odcinając się od gatunku. Zdaje się, że własną bazę galaktyczną utrzymują w innej przestrzeni. Nadrabiają to zaniedbanie, przestrzegając surowej zasady, że nie wolno im opuszczać granic kraju w celu uczynienia komuś zła, korzystając z wielkiej przewagi technologicznej nad resztą świata. Podobno w przeszłości wielu władców już świerzbiła ręka, ale w ostateczności dali sobie na wstrzymanie.

Są zasadnicze kłopoty z wyrysowaniem granic Wakandy i ustaleniem rzeźby terenu. Kraj ten bowiem rozporządza technologią, która czyni go niewidzialnym dla satelitów. Domyślam się, że to nie jest patent, który można nabyć w Rembertowie, musi więc budzić zdumienie, że tak długo nie odnotowano żadnej próby kradzieży, i to z udziałem najbardziej zamaskowanych i poprzebieranych agentów. Tymczasem nic. W amerykańsko-wakandyjskich stosunkach np. pełna sielanka. Jeszcze dwa miesiące temu można było przeczytać o wolnym handlu między oboma krajami. Jako przedmiot obrotu komunikat wymieniał krowy mleczne, kaczki i osły, nie precyzując, które zwierzęta w jaką udały się stronę.

Liczenie naszych sojuszników zakończyło się równie szybko i dramatycznie, jak się zaczęło.

Po zdjęciu komunikatu ze stron rządowych wyparowała też Wakanda. W Departamencie Stanu pewnie rozważano, czy potwierdzić, że mimo wielu straży do federalnego raportu wdarło się fikcyjne państwo z komiksu, czy nie zasugerować prasie, że operacja była częścią większego planu uzyskania dostępu do unikatowej technologii. I że wszystkiego nie można na razie ujawnić. Kłamstwo byłoby większe, ale wstyd mniejszy.

Dla Ameryki jedna Wakanda mniej, jedna więcej nie ma żadnego znaczenia. I na początku stycznia, kiedy Amerykanie zliczali siły przed wybuchem konfliktu na Bliskim Wschodzie, nikt pewnie w żadnym sztabie nie zauważył braku Wakandyjczyków. Diametralnie inaczej musiało to wyglądać po polskiej stronie. Tutaj liczenie sojuszników zakończyło się równie szybko i dramatycznie, jak się zaczęło. Ilu nas? Raz.

W takim momencie należy wrócić do jakże szczęśliwego okresu polskiej dyplomacji, kiedy jej szefem był Witold Waszczykowski. Odznaczył się ów mąż stanu największą w historii resortu wydajnością w ważnym momencie poszukiwania głosów poparcia dla naszego uczestnictwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Dla podratowania bilansu z podróży po Karaibach przywiózł w bagażu dyplomatycznym całkiem nowe państwo, San Escobar. I, niestety, zamiast kuć żelazo, póki gorące, tylko poczerwieniał i nie wychodził z biura przez parę dni. Gdyby wtedy oddał sprawę zawodowcom, mielibyśmy teraz, po trzech latach, własną Wakandę na Karaibach, powiązaną sojuszami z Kolumbem z Polski. On tymczasem pewnie się konsultował ze słynną fundacją, która akurat dłubała jakąś bardzo patriotyczną łódkę na stulecie i nie miała czasu.

Wakandyjki – koleżanki mieszkanek San Escobar.

Przepadł więc San Escobar jako nasz wypróbowany sojusznik. Liczę jeszcze raz naszych sąsiadów, dobrych i złych, małych i dużych, którzy by Polsce pomogli obronić swoich synów na misjach albo chociaż wsparli na miejscu, a rachunek ani drgnie. Może Viktor Orbán, pomyślałem, zwłaszcza że w grudniu wysforował się na czoło klientów niemieckiej zbrojeniówki. Kupuje czołgi i haubice oraz – na drugą nóżkę – caracale od Francuzów i systemy Mistral. Ale Orbán potrzebuje dużo nowego żelastwa do dzwonienia, bo ma w czerwcu do obejścia 100. rocznicę upadku Wielkich Węgier. Przecież nie będzie tego wlókł do Białej Podlaskiej. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4f71467cce

Kompas Młodej Sztuki

Irmina Staś, Ornament 133, 2019

Od 2008 r. ranking Kompas Młodej Sztuki kieruje uwagę na najbardziej obiecujących artystów do 35. roku życia. Tym razem 71 instytucji kultury oceniało ponad 200 twórców. Pod uwagę brane były osiągnięcia z ubiegłego roku bądź przekonanie, że młodzi artyści mają szansę w przyszłości zaistnieć w świecie sztuki.

Zwyciężyła Irmina Staś (rocznik 1986). Studiowała na Wydziale Grafiki i Malarstwa ASP im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi oraz na Wydziale Malarstwa ASP w Warszawie. Dyplom z wyróżnieniem rektorskim otrzymała w Pracowni Przestrzeni Malarskiej prof. Leona Tarasewicza (2012). Asystentka w Pracowni Koncepcji Obrazu Pawła Susida na Wydziale Sztuki Mediów warszawskiej ASP. Zadebiutowała w 2012 r., jest laureatką wielu nagród i wyróżnień, brała udział w licznych wystawach, m.in. w Muzeum Narodowym w Gdańsku w 2019 r. Jej prace ujawniają fascynację ludzkim ciałem. Malarka chce uchwycić ulotność egzystencji. Na obrazach widzimy często jeden, zwielokrotniony fragment ciała lub fragmenty roślin, które tworzą abstrakcyjne desenie.

Drugie miejsce zajęła Agnieszka Polska (rocznik 1985), artystka sztuk wizualnych tworząca filmy, animacje,

Agnieszka Polska, The Happiest Thought, Full Dome wideo, 23 min, 2019

Kamil Kukla, 19PGP, 2019

eprasa.pl 4f71467cce

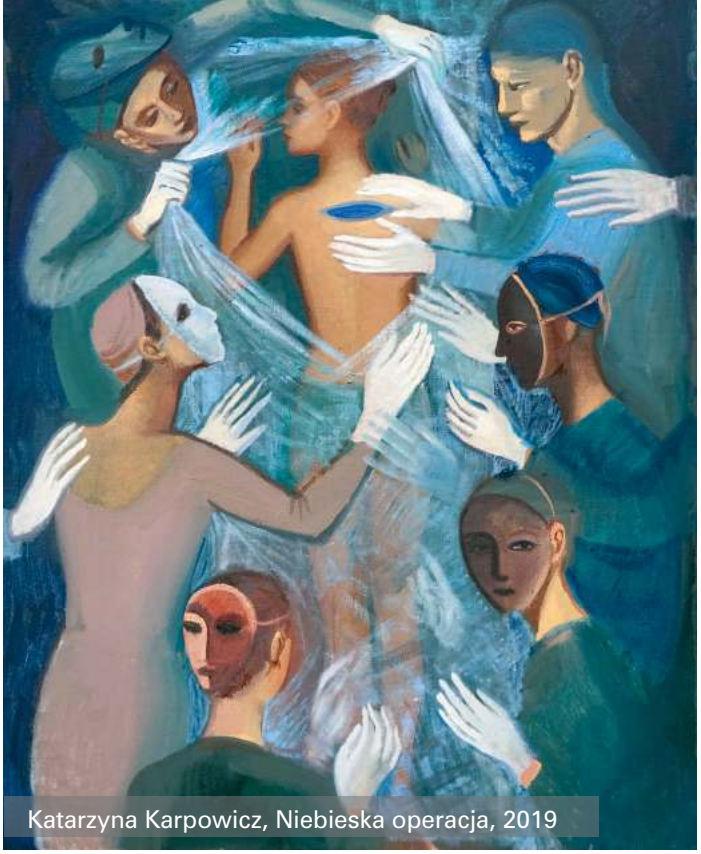
Katarzyna Karpowicz, Niebieska operacja, 2019

Karolina Jabłońska, Autoportret z telefonem, 2019

fotografie. Absolwentka ASP w Krakowie i Uniwersytetu Sztuk Pięknych w Berlinie. Laureatka konkursu Preis der Nationalgalerie 2017, dzięki czemu miała wystawę w prestiżowym Muzeum Sztuki Współczesnej Hamburger Bahnhof, gdzie zaprezentowała pracę „The Demon's Brain", łączącą film i animacje. Próbowała w niej odpowiedzieć na pytanie, jak możemy jako jednostka przejąć odpowiedzialność za otaczający nas świat.

Trzecie miejsce przypadło Katarzynie Karpowicz (rocznik 1985). Po ukończeniu z wyróżnieniem Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie studiowała na Wydziale Malarstwa tamtejszej ASP w pracowniach prof. Grzegorza Bednarskiego i prof. Leszka Misiaka. Dyplom obroniła z oceną celującą w 2010 r. Jej prace znajdują się w wielu kolekcjach w kraju i za granicą oraz w Muzeum Sztuki Współczesnej w Gdańsku. W 2019 r. zdobyła stypendium Fundacji Grazella im. Anny Marii Siemieńskiej dla wybitnych młodych twórców. W twórczości wykorzystuje malarstwo figuratywne. Jej melancholijne obrazy ukazują osamotnienie człowieka w otaczającym go świecie.

Pokonkursowa wystawa odbyła się w Fundacji im. Bolesława Biegasa w Warszawie.

Cały ranking dostępny na: www.kompasmlodejsztuki.pl/ranking_2019.

Julia Curyło, Trójca, 2015

FOT. NORBERT PIWOWARCZYK, ADAM GUT, ARCHIWUM PRYWATNE (4)

eprasa.pl 4f71467cce

W górach silna jak nigdzie

Jestem kobietą, sama chodzę w góry i wiem, co robię

Tekst i zdjęcia Magda Lassota

„Pani tak sama w góry? Czy pani się nie boi?" – jak ja nie lubię takich komentarzy. A najbardziej, gdy padają z ust mężczyzny, bo nie wiem, co ma na myśli. Mam się go bać, jest dla mnie zagrożeniem? I wtedy rzeczywiście zaczynam się bać.

Nie lubię też osądzania bez żadnej wiedzy, mówienia mi, że gdzieś nie dojdę, że nie zdążę przed zmrokiem, pytań, czy mam czołówkę i czy na pewno wiem, co robię. Taki ktoś przecież nie ma bladego pojęcia, dokąd idę, czy zdążę i co mam w plecaku. Czy nie widzi, że idę znacznie szybciej od niego, pewnym krokiem, nie łapię panicznie oddechu? Że w przeciwieństwie do niego jestem odpowiednio ubrana, mam dobre buty i kijki trekkingowe?

Zastanawia mnie, czy te wszystkie komentarze naprawdę biorą się z faktu, że jestem kobietą. Czy w takim razie, skoro jestem kobietą i akurat nie mam z kim pójść w góry, mam nie chodzić wcale i siedzieć w domu?

Otóż nie. Nadal będę chodzić. Tylko następnym razem będę przygotowana i wymyślę na te komentarze ciętą ripostę, bo ta zawsze przychodzi za późno.

•

Zaczęłam chodzić w góry sama, bo nie miałam z kim. Na początku bolało mnie to, wydawało się smutne, teraz się cieszę. Teraz chodzę sama, bo naprawdę to lubię, często tak właśnie wolę. Bo znajomi nie zawsze mogą lub nie chodzą tak, jak ja bym chciała, a faceci – wiadomo, raz są, raz ich nie ma. Przestałam więc uzależniać swoje wyjścia od innych, czekać, aż ktoś mnie w góry zabierze. Odważyłam się, postawiłam pierwszy krok, choć nie było łatwo, a potem szłam coraz dalej i dalej, aż sama zaczęłam chodzić w Himalajach.

Postawiłam pierwszy krok, choć nie było łatwo, a potem szłam coraz dalej, aż sama zaczęłam chodzić w Himalajach – mówi Magda Lassota.

Nie umiem powiedzieć, kiedy pokochałam góry. Gdy miałam kilka miesięcy, rodzina przeprowadziła się z Warszawy do Kotliny Kłodzkiej, do niewielkiej wioski otoczonej Sudetami, górami niewysokimi, ale zawsze. Czy to miało wpływ na moją miłość do gór? Nie wyssałam chodzenia po górach z mlekiem matki, nikt mnie od najmłodszych lat w góry nie zabierał. Rodzice pierwszy raz weszli na Śnieżnik po 20 latach mieszkania u jego podnóża. Nie pamiętam, kiedy ja weszłam pierwszy raz na Śnieżnik, chyba z wycieczką szkolną w liceum. I raczej wtedy się nie zakochałam. A teraz, prawie 20 lat później, wchodzę na tę górę za każdym razem, gdy odwiedzam rodziców. Dla przyjemności, treningowo, bo czuję, że muszę, i nie jestem w stanie zliczyć, ile już razy byłam na jego szczycie. W duchu dziękuję rodzicom, że zdecydowali się przenieść w góry, wybudować tu dom i dać nam szansę poznania życia na łonie natury.

eprasa.pl 4f71467cce

Zanim pierwszy raz wybrałam się w Himalaje, przeszłam Sudety, Karkonosze, Tatry, a potem Andy. Ale wtedy nie chodziłam jeszcze sama, zawsze z kimś: znajomymi, siostrą, bratem, partnerem. W Andach też byłam z ówczesnym chłopakiem. W Kolumbii, w Ekwadorze, w Peru, a potem w Boliwii. W Boliwii właśnie, bez żadnego przygotowania i wiedzy o używaniu raków i czekana, weszliśmy na nasz pierwszy sześciotysięcznik. Nie sami, z przewodnikami. Nie było łatwo, ale było cudownie. Klęłam na czym świat stoi, bałam się, że zginę, ale weszłam i nigdy tego nie zapomnę.

Potem chłopak zniknął, zostało złamane serce, ale niezachwiana miłość do gór. I jeszcze wiele razy góry pomagały mi w najtrudniejszych momentach. Po kolejnych rozstaniach, zawodach miłosnych, gdy próbowałam od kogoś się uwolnić, uciec. Jechałam w góry, wyłączałam telefon. Starałam się nie myśleć, nie pamiętać, nie dać się z powrotem uwięzić, nie stracić głowy i samodzielności.

Żeby jednak była jasność, nie jestem herosem ani himalaistką. Mieszczę się gdzieś pośrodku skali – między profesjonalistą a niedzielnym turystą. Nie chodzę wyczynowo, chodzę dla siebie, bo lubię, i chodzę tak, jak lubię.

Nieco inne zdanie mają znajomi i rodzina. Uważają, że dawno przekroczyłam granicę amatorstwa, że jestem już co najmniej półprofesjonalistką. I często słyszę, że nie doceniam samej siebie. Pewnie sporo w tym racji. Bo ostatecznie na koncie mam już dwa sześciotysięczniki, drugi zdobyty w Himalajach, wspinałam się po słynnym lodospadzie Khumbu, jednym z najniebezpieczniejszych odcinków drogi na Everest, spędziłam dwa miesiące w bazie pod Everestem, na wysokości 5364 m, bo zachciało mi się robić tam fotoreportaż, a potem wyruszyłam w samotny trekking po Himalajach, nie pierwszy zresztą.

•

Moja droga w Himalaje była długa i kręta. Od lat marzyłam, żeby tam się wybrać, ale wydawało mi się to zbyt odległe, wręcz szalone. Ostatecznie trafiłam tam niejako przypadkiem. Dwa lata temu miałam się pakować w zupełnie inną podróż. Plany nie wypaliły, a ja zostałam z odłożonymi pieniędzmi i bez mieszkania, bo w związku z oszczędnościami i przyszłymi planami przestałam wynajmować mieszkanie i zaczęłam kątem pomieszkiwać u znajomych. Wtedy pomyślałam, że skoro mam kasę, czas i nie ciążą na mnie żadne zobowiązania, czemu nie pojechać w Himalaje. I pojechałam. Sama. Pierwszy trekking zrobiłam co prawda z przewodnikiem, bo była to trasa wymagająca, długa, przez trzy przełęcze na wysokości ok. 5500 m n.p.m. i dojście do bazy pod Everestem. Dostałam wtedy choroby wysokościowej, z objawami obrzęku mózgu i płuc musiałam być ewakuowana helikopterem do szpitala w Katmandu. Na szlak wróciłam już po trzech dniach, bo się uparłam. Wtedy też zrozumiałam, że wolę iść sama, bez przewodnika, który do tej choroby doprowadził. Gdy kończyliśmy trekking, skręciłam jeszcze kostkę, a on kazał mi iść o własnych siłach kilka kilometrów do jedynego w okolicy szpitala.

Po półtora tygodnia dochodzenia do siebie poszłam na kolejny trekking, w innym regionie Nepalu, już sama. Z tego wyjazdu powstał mój pierwszy fotoreportaż, pisałam artykuły, pokazywałam zdjęcia na wystawach.

Po roku wróciłam w Himalaje, żeby zrobić fotoreportaż o Evereście, o wspinaczach, o Szerpach, o tym, co się dzieje pod najwyższą górą świata, o everestowskiej gorączce. I to było dla mnie kolejne przekraczanie granic. Sama wpadłam na taki pomysł, zebrałam pieniądze na ten cel, a potem prawie dwa miesiące mieszkałam w namiocie na lodowcu na wysokości 5364 m n.p.m. I dałam radę. Po zrealizowaniu projektu, gdy skończył się sezon pod Everestem, znów sama ruszyłam w Himalaje, żeby odpocząć od tego zgiełku, poukładać sobie wszystko w głowie, poradzić ze wszystkim, co tam widziałam i co mnie tam spotkało. Góry znów miały pomóc, przywrócić mi równowagę.

Jednak mimo tych doświadczeń nadal się boję, bo z natury nie jestem specjalnie odważna. Boję się chyba wszystkiego. Ciemności, starości, samotności. Większości zwierząt, wielu ludzi i samej siebie. I w górach boję się wielu rzeczy. Nie wyobrażam sobie chodzenia w nocy po lesie albo spania w lesie w namiocie sama. Chciałabym ten lęk przezwyciężyć, bo blokuje mnie przed kolejnymi wędrówkami i górskimi marzeniami. Skoro już tak daleko zaszłam, może i to się uda i wtedy pójdę jeszcze dalej.

Teraz już wiem, jak chodzić po górach, lub chodzę tylko tam, gdzie wiem, jak to robić. Nie chodzę, gdzie nie wolno, nie chodzę też po zmroku, bo właśnie się boję. Nie ludzi, ale niedźwiedzi, które w nocy czają się za każdym drzewem. Nie wiem, skąd ten lęk. Jednak w nocy bardziej boję się potworów i wówczas każdy, nawet najdrobniejszy szelest czy woda chlupiąca w plecaku przyprawiają mnie o kolejny siwy włos. Ale i na złych ludzi jestem przygotowana, choć takich w górach jeszcze nie spotkałam. Mam przy sobie scyzoryk szwajcarski i gaz pieprzowy, pod ręką, w bocznej kieszeni spodni, gotowe do użycia. Bo o ile każdy, kto w góry chodzi sam, musi uważać podwójnie, to zdaję sobie sprawę z tego, że kobieta sama w górach musi uważać potrójnie.

Chodzę dla siebie, bo lubię, i chodzę tak, jak lubię.

Zawsze staram się być przygotowana. Zapoznaję się ze szlakiem, czasem przejścia i zagrożeniami. Upewniam się, że będę miała gdzie spać, przy czym spanie „na glebie" w schronisku w ogóle mi nie przeszkadza. Zawsze mówię komuś, dokąd idę i którędy będę szła, żeby wiadomo było, gdzie mnie szukać, jeśli nie odezwę się przez 24 godziny. W plecaku mam wszystkie potrzebne rzeczy: mapę, jedzenie i picie, ciepłe ubrania, niezależnie od tego, czy idę latem, czy zimą. Pogoda w górach szybko się zmienia, załamuje, a ja chcę być przygotowana nawet na ewentualne spędzenie nocy w górach, tak by niczego sobie nie odmrozić. Zawsze mam folię ratunkową, czołówkę i w pełni naładowany telefon, ewentualnie powerbank, bo w zimnie telefon wyładowuje się bardzo szybko.

Może dlatego plecak mam zawsze za ciężki, ale już mi to nie przeszkadza. Potrafię nieść nawet

eprasa.pl 4f71467cce

20 kg i wejść na przełęcz powyżej 5500 m n.p.m., choć sama ważę ledwie 50 kg. W to ludzie też nie wierzą, a ja naprawdę w górach jestem silna jak nigdzie!

•

Po górach chodzę również zimą. To zupełnie inna jakość chodzenia. Znacznie mniej ludzi, cicho, i ta cisza różni się od ciszy latem, jakby śnieg tłumił wszelkie odgłosy gór i lasu. Tylko skrzypi pod nogami i często przez parę godzin to jedyny dźwięk, który słyszę. Do tego zimą niedźwiedzie śpią i dzięki temu mam jedno zmartwienie mniej. Zimą także uważam, nawet poczwórnie. Nigdy nie chodzę w miejsca zagrożone lawinowo, wybieram raczej proste, wydeptane wcześniej szlaki. Często też, gdy nie mam pewności, dzwonię do odpowiednich służb, żeby się dowiedzieć, jak to jest z tymi warunkami i zagrożeniami. Natomiast wiem, że z turystyki zimowej jeszcze muszę się podszkolić, żeby móc chodzić zimą więcej, dalej i wyżej. W tym roku obowiązkowo idę na kurs lawinowy, kurs turystyki zimowej pierwszego i drugiego stopnia. W końcu marzy mi się Pakistan i coś wyższego niż sześciotysięcznik.

W górach nie przejmuję się wyglądem. Nie przeszkadzają mi brudne ubrania i buty. Nawet lubię, gdy nie świecą czystością, nowością, gdy widać na nich przebyte kilometry i trudne warunki. Nie przejmuję się potarganymi włosami, wypiekami na twarzy, wiecznie podkrążonymi oczami, spierzchniętymi ustami. W górach się nie maluję. Czuję się dobrze we własnej skórze. Nie przeszkadzają mi zmarszczki, mimo że normalnie paraliżuje mnie strach przed starością, nad czym nie mam żadnej kontroli. Ale nie w górach. W górach akceptuję to, jak wyglądam, przestaję liczyć lata, czas się dla mnie zatrzymuje.

Nigdzie też nie czuję się tak silna, odważna i pewna siebie jak w górach. Nigdzie nie jest mi tak dobrze. Tam odnajduję spokój, a ponieważ z natury jestem nerwowa, nie ma dla mnie nic ważniejszego niż te chwile wytchnienia. Lubię także się zmęczyć fizycznie, bo to pomaga na nerwy.

I nie czuję się samotna, chociaż chodzę sama. Bo to jest niezwykły czas, czas sam na sam ze sobą, odkrywania siebie, swoich mocnych i słabych stron, ciekawych miejsc i nowych ludzi.

Nie chcę jednak nikogo uczyć, jak chodzić po górach, jak trenować, jak sobie radzić w sytuacjach kryzysowych. Nie mam takiego zamiaru. Chcę pokazywać, jak to wygląda z mojej perspektywy, z perspektywy zwykłej dziewczyny, która pewnego dnia zaczęła chodzić w góry i nie umiała przestać do tego stopnia, że gdy nie miała z kim, zaczęła chodzić sama. I zobaczyła, że może, że daje jej to radość, siłę i wiarę w siebie.

Dlatego, dziewczyny, zachęcam: nie bójcie się chodzić same w góry. Nie czekajcie, aż ktoś was w góry zabierze, nie oglądajcie się na innych, którym wciąż zmieniają się plany. Postawcie swój pierwszy krok na szlaku – same. Bo jeśli ja mogę, to każdy może.

Tak, jestem kobietą, sama chodzę w góry i wiem, co robię.

Magda Lassota

eprasa.pl 4f71467cce

Nowa fala

Polska ma siedmiu nowych ambasadorów. Minister Jacek Czaputowicz, który miesiącami nie zwracał uwagi na placówki, teraz hurtowo nadrabia zaległości. Wysyła ambasadorów m.in. do Rumunii, Szwecji (nie mieliśmy tam szefa placówki od lipca 2018 r.), Maroka (wakat od listopada 2018 r.), Brazylii (ambasador RP wyjechał z Brasilii w 2017 r.), Serbii (placówka nie ma szefa od 1 września 2018 r.) i Turcji (bez ambasadora od listopada 2018 r.).

Fakt, że w niektórych z tych państw ambasadora nie mieliśmy dłużej niż rok, świadczy i o naszej impertynencji (widocznie nie jest to ważna placówka, skoro jest nieobsadzona), i o bałaganie. Dobrze, że Czaputowicz wreszcie te stanowiska obsadza. Pytanie tylko – kim.

Zacznijmy od najbardziej doświadczonego, czyli Macieja Langa. W przeszło 20-letniej karierze w MSZ kierował placówkami w Atenach, Turkmenistanie, Afganistanie, Kazachstanie, Turcji, a przez ostatnie kilkanaście miesięcy był wiceministrem odpowiadającym m.in. za politykę amerykańską, bliskowschodnią i bezpieczeństwa, jedynym w kierownictwie z doświadczeniem dyplomatycznym.

I taką gwiazdę skierowano do… Bukaresztu. Jak to zinterpretować? Wprawdzie Jacek Czaputowicz opowiadał, że ambasada w Rumunii to dziś ważna dla Polski placówka, ale przecież nikt nie ma wątpliwości, że jest co najmniej kilkanaście ważniejszych. I że to albo zsyłka, albo emerytura.

Sam Lang nie dał po sobie poznać, jak traktuje nowe zadanie. Jak pisowiec opowiadał, że będzie rozwijał oś obronną Polska-Rumunia-Turcja. Że współpraca obronna Polski i Rumunii jest dla niego „absolutnym priorytetem". No i że będzie badał rumuńskie archiwalia w sprawie polskich żołnierzy internowanych w 1939 r. A na pytanie: „Czy jako dyplomata wysokiego szczebla, doświadczony i kompetentny, a zarazem członek kierownictwa politycznego MSZ, zgadza się pan z tezą ugrupowania, które pana nominowało na to stanowisko, o dyplomacji polskiej za czasów, kiedy pan również był dyplomatą i ambasadorem, jako o dyplomacji na kolanach, pozbawionej jakiegokolwiek wpływu w świecie?", odparł: „Oczywiście, że się zgadzam".

I my zatem zgadzamy się z opinią, że Bukareszt to jest zapłata, jaką zaoferowało mu PiS za jego usługi. Na tyle go oceniło.

A jak ocenić nominację Jakuba Tadeusza Skiby na stanowisko ambasadora w Brazylii? Jako zsyłkę czy jako wczasy? Skiba to wierny urzędnik nowej władzy, człowiek od wszystkiego Mariusza Błaszczaka. Karierę zaczynał u boku Lecha Kaczyńskiego, gdy ten piastował urząd prezydenta Warszawy. Potem Sławomir Skrzypek wziął go do zarządu NBP. W rządzie Beaty Szydło Skiba był wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji. A potem Mariusz Błaszczak rzucał go tam, gdzie trzeba było przejąć jakąś instytucję. Z reguły na miejsce po którymś z ludzi Antoniego Macierewicza. Był więc Skiba też p.o. prezesem Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, później został prezesem Polskiej Grupy Zbrojeniowej. A ostatnio był dyrektorem w Akademii Sztuki Wojennej.

„Robię to, czego ode mnie ojczyzna wymaga", tak określił swoją aktywność. Raczej na wyrost, bo bardziej w jego karierze widać rękę partii niż potrzeby ojczyzny. Ale w takich czasach żyjemy, że te sprawy się mylą.

Aha, obiecał jeszcze, że nauczy się portugalskiego.

Zakładając więc, że Mariusz Błaszczak nie planuje żadnych interesów w Brazylii, możemy uznać, że wyjazd Skiby na drugą półkulę to nagroda. Czteroletnie wczasy.

Attaché

W przeddzień indyjskiego święta zbiorów Magh Bihu mieszkańcy Panbari wspólnie łowią ryby.

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 4f71467cce

JOLKA

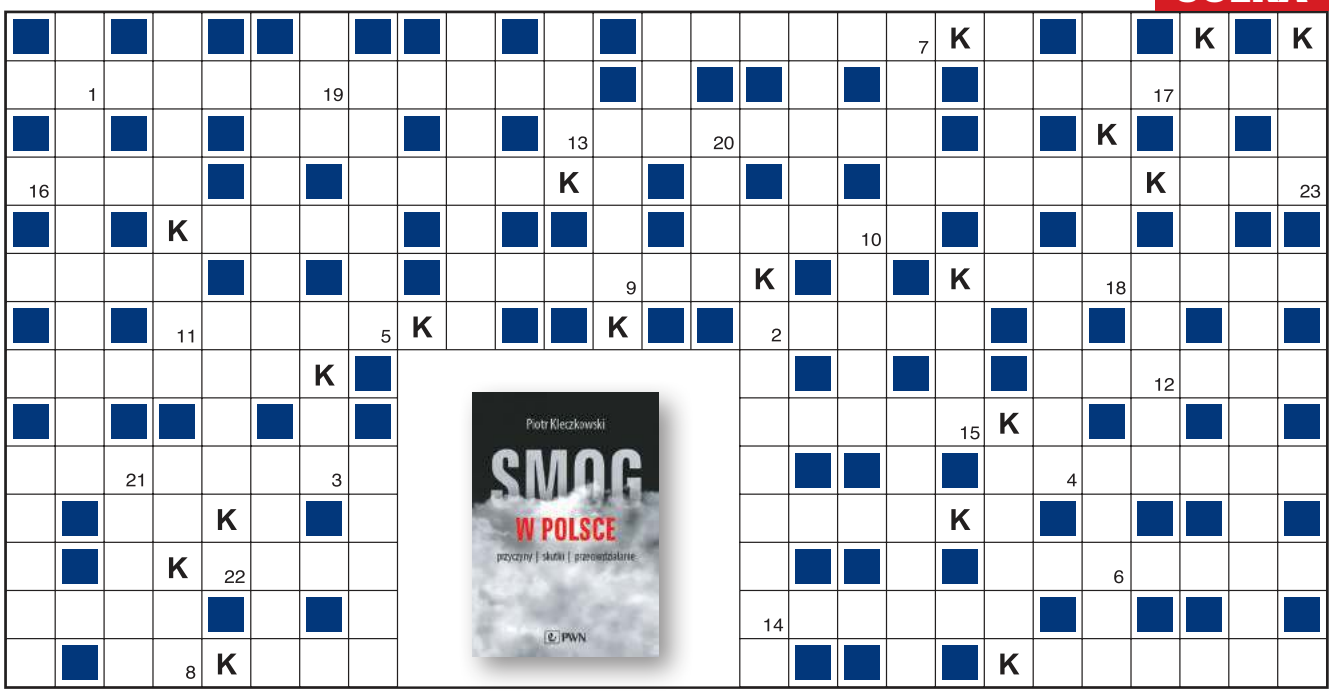

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- ostre zapalenie migdałków i gardła
- stolica z Muzeum Cywilizacji Anatolijskich
- kapłani nieśli ją za wojownikami w czasie zdobywania Jerycha
- grzeczność i ona otwierają wrota
- pieczeń lub zabawa w tłusty czwartek
- jej mistrzem był Sherlock Holmes
- krzew ozdobny, z jego owoców nalewka
- nazywane też kozą albo gajdami
- Milton Friedman lub Grzegorz Kołodko
- popularne w Polsce włókno poliestrowe
- drugie imię „szalejącego reportera”
- …literacka – przetworzony świat w utworze
- skorowidz, rejestr
- gaz bojowy użyty w Belgii w lipcu 1917 r.
- imię scenografa, reżysera i malarza Galla
- łączy punkty o tym samym ciśnieniu atmosferycznym
- …kulinarna to np. Anna Starmach
- naczynie na atrament
- turecki konkurent hot dogów
- porzeczek lub winogron
- i celna, i składzik, spiżarnia
- Zofia …Szczucka
- tak kraje, jak mu materii staje
- koniec czegoś
- samochód wojskowy lub pojazd na Marsie
- głuchy odgłos upadku
- jeden z dwóch na brygantynie
- zespół ze Stanisławem Jopkiem
- można sapać jak to kowalskie narzędzie
- rozgranicza pola
- uwielbiana przez melomana
- jej przednia część spoczywa na ciągniku
- stolica Kenii
- domowe, chorobowe albo buntu
- chluba kolekcjonera
- wicher, pisarz lub niszczyciel z II wojny
- głębia bezdenna
- wrzutowy w automacie albo wiertniczy
- ojczyzna Maria Vargasa Llosy
- cztery kąty i on piąty
- o Nibelungach albo o Rolandzie
- rządzenia żądny
- średnia w matematyce
- immunoglobulina
- stan dr. Judyma
- jej samcem nie jest jeleń
- kaznodzieja Piotr, filozofka Barbara
- w piosence Golców: „Gdy widzę… to kwiczę”
- Rzym, ale nie Krym
- pędzi w czerwonym wozie
- laickość
- na ulgową nie zawsze można liczyć
- kawa, herbata lub tytoń
- pszczeli albo do depilacji
- prowokacyjne zachowanie
- „śnieżna” dzielnica Gdańska
- mógł zachorować na ołowicę
- „Jesteś lekiem na całe…”, śpiewała Krystyna Prońko
- miejsce pracy państwa Gucwińskich
- zagęszczana zasmażką

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-944”. Do rozlosowania książki „Smog w Polsce” ufundowane przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 stycznia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-941” z 6 stycznia: *Każdy ma swoje pięć minut.* Nagrody otrzymują: Katarzyna Grzęda z Poznania, Grzegorz Szustak z Wrocławia, Tadeusz Wardziak z Siedlec.

eprasa.pl 4f71467cce

PENETRACJE

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

PROF. ANDRZEJ SZAHAJ,
FILOZOF POLITYKI

Nie mówimy sobie prawdy. Chcemy się łudzić. Pocieszać. Nigdzie nie widać tego lepiej niż w obliczu zbliżającej się katastrofy klimatycznej. To problem systemu. Jego centrum stanowi współczesny kapitalizm. Jeśli pozostawimy go w obecnej formie, nie ma żadnych szans na powstrzymanie katastrofy klimatycznej. Kluczem do jej zapobieżenia jest bowiem głęboka zmiana gospodarcza. A także polityczna i kulturowa. Wszystko musi się zmienić, jeśli mamy ocaleć jako gatunek. Czy jesteśmy na to gotowi? Wątpię.

charaktery magazyn psychologiczny

PROF. PHILIP G. ZIMBARDO,
PSYCHOLOG

Co roku Uniwersytet Nowojorski wyróżniał tytułem doktora *honoris causa* osoby, które dokonały czegoś wyjątkowego. W 1966 r. zdecydowano o nadaniu go Robertowi McNamarze, sekretarzowi obrony, co wyrażało aprobatę dla jego działań związanych z amerykańską polityką wojenną w Wietnamie. Doszedłem do wniosku, że nie możemy tak po prostu na to się zgodzić. Zaproponowałem protest, ale taki odbywający się w ciszy, z szacunkiem. Gdy zostało wyczytane jego nazwisko, kilkuset studentów i pracowników wyszło. Nie zakłóciliśmy wydarzenia, ale jasno wyraziliśmy opinię. Nie spodobało się to władzom uniwersytetu i nie dostałem przedłużenia kontraktu w terminie. Gdy zapytałem, dlaczego zwlekają, usłyszałem, że jestem arogancki i potrzebuję trochę czasu, by „zmięknąć". Uznałem wtedy, że nie jest to miejsce dla mnie.

Monde diplomatique

SERGE HALIMI,
PREZES ZARZĄDU

Z uniwersytetami dzieje się to samo, co ze szpitalami, rolnictwem, strażą pożarną, szkołą, mostami. We Francji, podobnie jak gdzie indziej. Po 35 latach prywatyzacji, ograniczania sfer bezpłatności, obniżek świadczeń, prowadzonych po omacku kontroli we wszystkich dziedzinach dochodzimy do sytuacji, w której społeczeństwo stoi pod ścianą, pobite, bezbronne i spala swoje ostatnie rezerwy. Co pewien czas, regularnie, daje ono znać, że jest wyczerpane, i wyraża swój gniew, stawiając nieustępliwie czoło przemocy, którą uparcie stosują wobec niego kolejne partie rządzące.

PANI

PAWEŁ WILCZAK,
AKTOR

Uważam, że aktorem to jest Gene Hackman, którego wielbię i cenię. Ja mam tę możliwość, że czasami stoję frontalnie do kamery. Jestem wdzięczny losowi, że są ludzie, którzy przed tą kamerą chcą mnie stawiać. To nie jest kokieteria. Mam nadzieję, że kiedyś aktorstwo mnie dopadnie. Jestem za dużym chłopakiem, żebym nagle poczuł, że jestem spełniony. Najważniejsze w tej branży jest stawianie sobie przeszkód i wymagań. Jeżeli udaje się je w jakimś procencie spełnić, to uważam, że czas nie był zmarnowany.

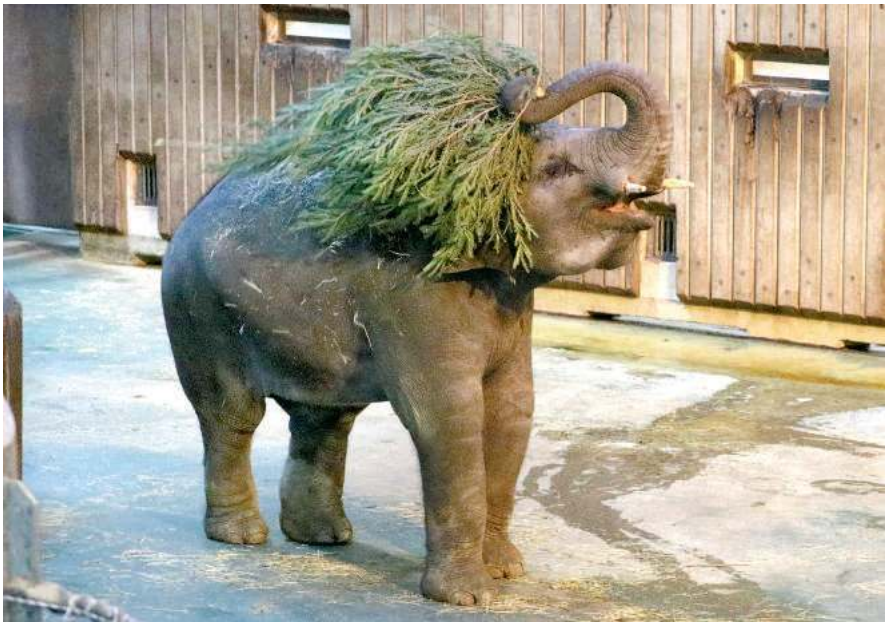

Czas świątecznych choinek minął. Te niesprzedane służą zwierzakom z zoo jako zabawki lub pożywienie.

FOT. GAVRIIL GRIGOROV/TASS/FORUM

Aby język giętki…

MAREK BOROWSKI
O MATEUSZU MORAWIECKIM

To zadziwiająca postać. Naczelny bajarz RP. Bez cienia skrupułów rzuca obietnice i dziwaczne pomysły.

ANTONI PAWLAK
O ABP. SŁAWOJU LESZKU GŁÓDZIU

Alkohol był na każdej imprezie. Urodziny, rocznica ingresu… Wszyscy samorządowi politycy chodzili na te przyjęcia.

JERZY URBAN
O ŻYCZENIACH DLA ANDRZEJA DUDY

Panu prezydentowi życzę w 2020 r. emerytury, a przez to rodakom wszystkiego dobrego.

DAWID WARSZAWSKI O TOTALITARYZMIE

Koncepcja dwóch równie zbrodniczych totalitaryzmów czyni Brygadę Świętokrzyską, chorwackich ustaszy czy łotewskie SS odpowiednikiem kościuszkowców.

PROF. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ
O ROMANSACH

W większych miastach kobiety nie ukrywają swoich romansów, a nawet je zmyślają.

DOROTA WELLMAN O TELEWIZJI

Ludzie nie są tam skorzy do głębokich przyjaźni czy do lojalności. Liczy się tylko to, kto jest pierwszy i najlepszy.

JUSTYNA KOWALCZYK O GŁUPOCIE

Jak można przyjechać do górskiej miejscowości w środku zimy na letnich oponach?

JAROSŁAW KUŹNIAR
O MARATONIE W NOWYM JORKU

Dowiedziałem się, że nie jestem takim sportowym cieniasem, jak o sobie myślałem. I że aby biegać szybciej niż 5 lutego 2019 r., muszę mniej ważyć.

ZOFIA ZBOROWSKA
O ŚLUBIE Z ANDRZEJEM WRONĄ

Pobraliśmy się na boisku do plażowej siatkówki.

AGNIESZKA KRĘGLICKA
O BRACIE MARCINIE

Lubię takie powiedzenie, że dziewczyny, które mają braci i mądrych rodziców, tworzą trwałe związki. Widzą, że życie we dwoje może być fajne, i nie przeceniają mężczyzn.

eprasa.pl 4f71467cce

„Jeśli kiedykolwiek odzyskam wzrok, będę z większą uwagą zaglądała ludziom w oczy, szukając w nich duszy” (José Saramago, „Miasto ślepców”).

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Hokus, pokus, brexit

Główny doradca Borisa Johnsona, Dominic Cummings, oznajmił, że brytyjska służba cywilna nie ma „wystarczającej różnorodności poznawczej”, w związku z czym zaprasza do współpracy „utalentowanych dziwaków”. Na jego apel odpowiedział m.in. izraelski iluzjonista Uri Geller. Twierdzi on, że pomógł torysom wygrać grudniowe wybory, przekazując im łyżkę naładowaną pozytywną energią. W podaniu o pracę dla rządu przy negocjacjach brexitowych powołuje się na wybitne zdolności parapsychologiczne oraz 20-letnie doświadczenie w wywiadzie, obejmujące m.in. usuwanie siłą woli plików znajdujących się na komputerach KGB. Pewną przeszkodą w angażu może być aktywność Izraelczyka z ubiegłego roku, kiedy to namawiał mieszkańców Wysp, by bombardowali Theresę May telepatycznymi przekazami o szkodliwości opuszczenia UE.

Jak załatwić zmysł magnetyczny

Naukowcy z Polski i Izraela sprawdzili, czy obecność ukrytego magnesu wpływa na znane z innych badań zjawisko, polegające na tym, że defekujące psy ustawiają się niemal zawsze na linii północ-południe. Do badań prowadzonych w Ejlacie nad Morzem Czerwonym zaproszono uczniów miejscowego liceum, którzy w parkach przyglądali się zachowaniu czworonogów, w tym – korzystając z kompasów w telefonach komórkowych – ustalali ich położenie podczas wiadomej czynności. Analiza zebranych danych potwierdziła, że preferencję kierunku może zaburzać nawet niewielki magnes znajdujący się w otoczeniu psa. Prawdopodobnie oznacza to, że zmysł magnetyczny potomków wilków jest bardzo czuły.

Przynajmniej pragnienie już ugaszone

Australijska marynarka wojenna, ratująca mieszkańców uwięzionych przez pożary na południowo-wschodnim wybrzeżu, zrealizowała także dodatkową misję, którą było dostarczenie 20 beczek piwa do baru w miasteczku Mallacoota. Jak wyjaśniła kompania piwowarska Carlton & United Breweries, zapasy lokalu już niemal się skończyły, a żywioł uniemożliwiał dostawę drogą lądową. – Pub bez piwa jest wystarczająco złym miejscem nawet w dobrych czasach – skomentował Peter Filipovic, dyrektor generalny koncernu. Dodał, że najlepsze, co firma mogła zrobić po tym, co przeszli mieszkańcy Mallacooty, to upewnić się, że będą mogli się napić.

37. OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ MAŁYCH FORM SATYRYCZNYCH BOGATYNIA 2020

Czekamy na zgłoszenia

Do 1 marca 2020 r. należy przesłać zgłoszenia na tekst satyryczny. Prace powinny być podpisane godłem (pseudonimem). W oddzielnej kopercie należy dołączyć swoje dane (imię i nazwisko, adres do korespondencji, adres e-mail, telefon kontaktowy). Tego samego godła (nicku) należy użyć, przesyłając prace drogą elektroniczną.

I nagroda – 3 tys. zł, tytuł Księcia Łgarzy oraz statuetka Złotego Kosy

Do 8 marca 2020 r. czekamy na zgłoszenia do głównego konkursu na krótką prezentację sceniczną (w formie multimedialnej wraz z kartą uczestnictwa). W przypadku linku do wiadomości mejlowej powinien być dołączony podpisany skan karty uczestnictwa.

I nagroda – 5 tys. zł, tytuł Króla Łgarzy oraz statuetka Kozła

Prace należy przesyłać pod adresem:
Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych
ul. Sztygarska 21
59-920 Bogatynia
lub pocztą elektroniczną
turniej.lgarzy@gmail.com; biuro@turniej.com.pl

Pojedynek Gości o Nagrodę Publiczności to przegląd najciekawszych zjawisk na scenie kabaretowej i satyrycznej. Pojedynek odbędzie się w trakcie koncertu finałowego 18 kwietnia 2020 r. w Bogatyni. Do udziału zaprasza organizator turnieju na podstawie rekomendacji.

Nagroda – 5 tys. zł oraz statuetka Szczupłego Andrzeja trafi do wybrańców bogatyńskiej publiczności.

Szczegółowe informacje dotyczące regulaminu konkursów oraz kartę uczestnictwa można znaleźć na stronie internetowej **www.turniej.com.pl.**

ZAPRASZAMY Z UŚMIECHEM

eprasa.pl 4f71467cce

Batony zdrowe jak… ryba

Technolodzy żywności z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie opracowali przekąskę dla sportowców, zawierającą składniki przyśpieszające regenerację organizmu, korzystnie wpływające na stawy itd. Powstaje ona z mięsa karpia oraz hydrolizatu białkowego ze skóry tej ryby, a ponadto m.in. z daktyli i orzechów. Baton ma wysoką wartość odżywczą i długi termin przydatności do spożycia, a dodatkową korzyścią z jego ewentualnego sukcesu rynkowego będzie wzrost obrotów firm z branży karpiowej, przeżywającej wyraźny kryzys.

Wypalona? Przybij piątkę!

Z kolei Uniwersytet Pensylwanii testuje narzędzie pomagające zapobiegać wypaleniu zawodowemu pielęgniarek i lekarzy. System High Five (czyli Przybij Piątkę) nawiązuje do mediów społecznościowych i służy przesyłaniu wybranym współpracownikom memów i GIF-ów o tematyce medycznej – humorystycznych lub będących formą gratulacji za dobrze wykonane zadania. Minister Szumowski wobec polskich pielęgniarek tak bardzo wysilać się nie musi. Podwyżki, choć banalne, w zupełności wystarczą.

Koty – szatańskie pomioty?

Cenny wkład w światową naukę wniósł także Uniwersytet Oklahomy. Prof. Samuel Perry po przebadaniu ponad 2 tys. mieszkańców USA wykazał, że osoby angażujące się w praktyki religijne rzadziej mają w domu koty niż te omijające świątynie szerokim łukiem. Naukowiec tłumaczy, że część korzyści z posiadania pupila jest podobna do tych, które uzyskują członkowie wspólnot wiernych. Ludzie aktywni religijnie mają zaspokojoną potrzebę interakcji i nie szukają dla niej substytutów. Innymi słowy, jedni wybierają zbawienie, drudzy – mruczenie!

Szczęścia nie dają? Sprawdźmy

Japoński miliarder Yusaku Maezawa przekaże tysiącowi osób po 9 tys. dol. – aby sprawdzić, jak wpłynie to na ich zadowolenie z życia. Nietypowe kieszonkowe trafi do wylosowanych użytkowników Twittera, którzy 1 stycznia udostępnili wpis bogacza; następnie będą oni regularnie ankietowani. Maezawa nazywa całe przedsięwzięcie eksperymentem społecznym i ma nadzieję, że zainteresuje ono naukowców i ekonomistów. Biznesmen, który dorobił się fortuny w branży odzieżowej, jest znany nie tylko z zamiłowania do sztuki i drogich samochodów, ale także z poparcia dla idei tzw. bezwarunkowego dochodu podstawowego, czyli świadczenia wypłacanego wszystkim ludziom na zaspokojenie elementarnych potrzeb.

FOT. KAMIL ŚLUSARCZYK/UNSPLASH, ALEX VASEY/UNSPLASH

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD CONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 4f71467cce

PETER GRIC – Android-Pieta II

ARKADIUSZ DZIELAWSKI – Przeprowadzka

Magical Dreams V

Centrum Promocji Kultury
Warszawa, ul. Podskarbińska 2
do 30 stycznia

Więcej na: www.magical-dreams.pl

JAROSŁAW JAŚNIKOWSKI – Nocny ekspres

„Magical Dreams" jest największą w Polsce międzynarodową wystawą promującą kierunek współczesnego realizmu magicznego, surrealizmu i sztuki wizjonerskiej. Została zainicjowana w 2011 r. i przerodziła się w znaczące biennale światowego realizmu magicznego, o randze wystaw „Imaginaire" organizowanych przez duńskiego malarza Clausa Brusena czy „Safadore", których inicjatorem był Roger Erasmy, wybitny znawca Salvadora Dalego. W tej edycji udział bierze prawie 40 znakomitych artystów z Europy i Ameryki Północnej. Na wystawie znajduje się ok. 90 eksponatów (malarstwo, rzeźba).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4f71467cce

SZUKASZ CIEKAWEJ PRACY?
ZOSTAŃ FUNDRAISEREM!

APLIKUJ NA: WWW.WIOSKISOS.ORG/FUNDRAISERZY

TEL 22 622 16 72 EMAIL: INFO@SOS-WD.ORG

eprasa.pl 4f71467cce

ABSOLUTNIE ZNIEWALAJĄCY

SCREENDAILY

EVA **GREEN** MATT **DILLON**

PROXIMA

REŻYSERIA **ALICE WINOCOUR**

OFFICIAL SELECTION

tiff

TORONTO INTERNATIONAL FILM FESTIVAL 2017

NAGRODA SPECJALNA

SSIFF

SPECIAL JURY PRIZE

MUSIQUE ORIGINALE RYUICHI SAKAMOTO

AVEC ZÉLIE BOULANT-LEMESLE ALEKSEY FATEEV LARS EIDINGER SANDRA HÜLLER

SCÉNARIO ET RÉALISATION ALICE WINOCOUR AVEC LA COLLABORATION DE JEAN-STÉPHANE BRON IMAGE GEORGE LECHAPTOIS COSTUMES SOPHIE CHAVANNE DÉCORS FLORIAN SANSON MONTAGE JULIEN LACHERAY

SON PIERRE ANDRÉ VALÉRIE DELOOF LAURE-ANNE DARRAS MARC DOISNE SCRIPTE CÉCILE RODOLAKIS 1er ASSISTANT RÉALISATEUR NICOLAS GUILLEMI-

TYLKO W KINACH OD 24 STYCZNIA

eprasa.pl 4f